MICHALINA SZWARCÓWNA

TAJEMNICZE ŚWIĘTO

TAJEMNICZE ŚWIĘTO

MICHALINA SZWARCÓWNA

TAJEMNICZE ŚWIĘTO

KSIĘGARNIA NAUKOWA — LWÓW MCMXXIV
POLSKIE TOW. PEDAGOGICZNE — LWÓW, M. ARCT — WARSZAWA
SPÓŁKA Z OGR. ODP. WE LWOWIE
FILJA W DROHOBYCZU I RÓWNEM

TEJŻE AUTORKI:

KSIĘGA TĘSKNOTY (wyczerpane).

TAK ZWANA MIŁOŚĆ. Jednoaktówki.

Z DRUKARNI »DZIENNIKA POLSKIEGO« LWÓW, UL CICHA 5. - TEL Nr. 283.

MOIM RODZICOM

TREŚĆ:

DOSTRZEŻONE OMYŁKI DRUKU:

str.	37	wiersz	22	zamiast	Kniaźnin	ma być	Potocki
„	49	„	5 od góry	„	Hiacynta	„	a Hiacynta
„	49	„	8 od dołu	„	malowane	„	malowana
„	49	„	7 od dołu	„	rozmdlone	„	rozmodlone
„	52	„	11 od góry	„	dystynowane	„	destynowane
„	55	„	7 od dołu	„	monentem	„	momentem
„	64	„	9 od góry	„	Pax	„	Fac

Tajemnicze święto.

Uczta, którą hrabina Elwira wydała na cześć Casanovy, dobiegła końca i z nad biesiadnego stołu wzleciał głośniejszy gwar kończących się rozmów, niby gromada ptactwa z nad przedziwnej łąki, na której rosły kryształowe i srebrne kwiaty. Całe towarzystwo przeszło do salonu, gdzie służba otwarła już drzwi i okna, wychodzące na park, w którym stała noc, przeszyta nawskróś zwycięskimi grotami księżyca i gwiazd.

Casanova usunął się zręcznie i oparł samotnie o okno, patrząc w gęstwę parkową. Chciał, by to dostojne towarzystwo mogło swobodnie obserwować go zdaleka. Słynny awanturnik, pełen dziwacznych pomysłów, którego przyjaźnią obdarzali książę de Choiseul i pani Pompadour (nee Poisson), alchemicznych tajemnic wyznawca i tłumacz, najzagorzalszy jednak dusz ludzkich poszukiwacz i badacz — jakże grać na nich umiał!

To był jego ukochany instrument i podobnie jak z klawikordu mistrz tego wieku, Rameau, umiał Casanova wydobyć z duszy ludzkiej te dźwięki, które wola jego usłyszeć chciała. I tworzył z nich gwoli swej rozkoszy piękne madrygały o łobuzerskim rytmie, gwoli swej wygodzie pyszne „courantes“ w takt niezwykłego sprytu. — Artysta rzeźbiący życie swoje tą niesamowitą tęsknotą, co gnała go z rodzimej Wenecji na Korfu, z Korfu do Paryża, z Paryża do Madrytu, a z Madrytu do Warszawy, dopiero wśród tego kalejdoskopu wrażeń, przygód, nie-

bezpieczeństw czuł, jak gorąca fala zadowolenia przepływa jego istotę. I w tej chwili, stojąc u okna w salonie hrabiny Elwiry, umysł jego, jak mądry, przezorny dowódca rozpatrywał plan kampanji dzisiejszego wieczoru, z którego pragnął przedewszystkiem wyłowić moment porozumienia się z księżną Lindą.

Nie podnosząc powiek, czuł spojrzenia, biegnące częściej niż często w jego stronę. Z pod cudnych frendzli rzęs, płonących nieledwie od żaru utajonego w głębi źrenic, patrzyły nań młode comtessy z żrącą ciekawością i gorącym dreszczem, który rozkosznie przeszywał kark i piersi. Bowiem wiedziały, że Giovanni jest sławnym ogrodnikiem w wirydarzu miłości, a kwiaty hodowane przez niego, kwiaty-kobiety, wychodzą z jego objęć stokroc piękniejsze, niż poprzednio. I mędrsze.

To też każda z nich dziś wieczór przed przyjściem na ucztę, na twarz swą kładąc przyłbicę z słodkiego, niewinnego uśmiechu, otwierała równocześnie całą swą tajemną istność na przyjęcie wrażeń niezwykłych. Te zaś z kobiet, dla których ramiona Casanovy nie były obce, oblatywał chwilami płomień i dlatego zapewne ich powieki stawały się tak blade, jak ranna mgła i tak ciężkie, jak wschodnia kotara. Rozmowa wśród zebranych nie przygasła oczywiście ani na moment, a Casanova stojąc ciągle nieruchomo z wyrazem doskonale zrobionej beznadziejnej nudy, czujny był jednak na każdy szmer, niosący głośniejsze słowo z różnobarwnego półkręgu, jaki utworzył się na lśniącej posadzce, po której igrały światła ciężkich świeczników, wiszących u stropu, jak złote, wyprężone węże z olbrzymią płonącą głową w dół.

Wreszcie uznał, że teraz nadeszła chwila, by zwrócić się ku towarzystwu i uczynił to jak człowiek, wyrywający się przemocą ze swego nastroju celem zadośćuczynienia nałożonym nań obowiązkom. Jego przenikliwe, mądrością doświadczeń świecące oczy objęły odrazu całe

świetne zebranie, przelatując jak sępy nad jasną postacią księżny Lindy. Zauważono natychmiast ruch Casanovy i wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

Czekano przecież na to z tak umiejętnie pokrytą niecierpliwością!

On zaś, wiedząc o tem doskonale, zmrużył swe piękne oczy (mimo, że pierwsza ich młodość minęła) i ledwo uchwytny uśmiech rozświetlił mu twarz.

W tej samej chwili, gdy Casanova uczynił krok naprzód, hrabia Roger, młody i wedle najnowszej mody przyodziany chevalier, zawołał wesoło:

— Mistrzu, pogódź nas! Oto hrabina Elwira powiada, że śmierć powinna nadejść w chwili, gdy podnosimy do ust kielich najwyborniejszego wina. Ja zaś twierdzę, że wogóle nie powinno się umierać.

Casanova przystąpił bliżej.

— Mesdames, nikt tak cudownie nie mówi o śmierci jak młodość (tu spojrzenie jego objęło kobiety i było jako głęboki ukłon dworski) a tymczasem śmierć — to stara rozpustnica o przewrotnych instynktach, która wcześniej czy później, każdą i każdego z nas porwie w swe lubieżne ramiona. Skądże jednak w tem gronie tak ponure myśli?

— Byłam wczoraj u wróżki — wyrzekła Elwira.

— I cóż? — zapytano chórem.

— I karty orzekły, że czeka mnie przykrość.

Hrabia Roger stojąc za fotelem Elwiry, pochylił się i dlatego zapewne usta jego musnęły różowe ucho hrabiny.

Casanova dotknął ich kątem oczu i rzekł jakimś dalekim głosem:

— Nie hrabino, nie czeka cię żadna przykrość. Widzę bowiem, że łamie ją jakaś mocna ręka.

Elwira uniosła się w fotelu.

— Doprawdy, doprawdy? — powtórzyła z radosnym uśmiechem.

— Tak — rzekł z namaszczeniem Casanova, patrząc pokolei badawczo na wszystkich.

Obecnych przeleciał dreszczyk, jak gdyby Casanova odwrócił pięknie ozdobioną kartę tytułową ich duszy, by przeczytać istotną treść. Tylko księżna Linda cudownie przegięta, bawiąc się niedbale wachlarzem, patrzyła mu długo w oczy.

— Kiedyż wreszcie — pytały spojrzenia Casanovy.

— Que sais-je? Może jutro, może dziś — obiecywały turkusy księżnej.

— Niema duszy niedraśniętej — wyrzekł po chwili, nie patrząc już na nikogo, a goście odetchnęli. — Trzeba ją tylko umieć goić prędko a skutecznie.

— Otóż to właśnie! — potwierdzono.

— Na wszelkie rany i smutki duszy istnieje jedno, jedyne lekarstwo (magisterjum cudowne): okład z żywego człowieka.

Goście poruszyli się. Nie wiedziano: śmiać się, czy oponować.

Uczyniła się krótka cisza.

— Okład z żywego człowieka? — wpadł w tę ciszę głos jakiejś ślicznotki w różowej, jedwabnej sukni o greuzowskim rysunku twarzy.

— Wypróbowane, mesdames et messieurs — uroczyscie niemal zapewniał niezrównany cynik. — Wszystko zależy od umiejętnego stosowania. Wiek, obustronna sympatja t. zn. jednaka wspólna temperatura, oto główne warunki. W przeciwnym razie skutek raczej szkodliwy. To samo zresztą mówi mój przyjaciel Crebillon, doskonały poeta, choć alchemja mu niezbyt znana.

— Nie dowierzamy poetom — zaśmiały się tu i ówdzie głosy kobiece.

— Jemu można, gdyż kocha obok ideałów i życie. A jeśli nie napisał tego w swych utworach, to jedynie

z tej przyczyny, że jest egoistą i najlepsze recepty życiowe dla siebie chowa. Ja jednak...

Tu wyciągnął rękę ruchem kapłana, udzielającego błogosławieństwo, jak gdyby przypomniał sobie, że nosił ongiś sukienkę duchowną.

— Rada jest świetna — zaśmiał się hrabia Roger, a wraz z nim i inni — i przyczyni się niemało, iż wielu z nas nie powie kiedyś o sobie, jak ów nieszczęsny Villon:

Je plains le temps de ma jeunesse!
Soudainement s'en est volé
Et ne m'a laissé quelque don!

— Et ne m'a laissé quelque don! — powtórzyła księżna, wzdrygając się na samą myśl takiej zbrodni, a za nią wszystkie kobiety, aprobując tem samem radę mistrza.

Casanova, który w czasie rozmowy zbliżał się krok za krokiem ku księżnie, znalazł się napozór przypadkiem przy jej fotelu i skłoniwszy się dwornie, rzekł:

— Miłościwa księżno, nie było wypadku, aby nie wyzdrowiała dusza, którą ja leczę.

— Mistrzu, ale — czy zdarzyło się, by chorowała na rozkaz?

— Nie wiem, czy się zdarzyło, wiem tylko, że staje się to, co jest mojem pragnieniem — szepnął, a wzrok jego był jak uścisk palący.

— Nawet wówczas, gdy mistrz spotyka mistrzynię?

— Jakaż rozkosz wtedy dopiero — o księżno!

Elwira jednak, pragnąc dziś gościom swym dać, dzięki bytności Casanovy, większe niż zwykle emocje, przerwała im rozmowę. Zbliżyła się bowiem i rzekła zręcznie:

— Mistrzu, skoro rady twoje są tak doskonałe, sto kroć doskonalsze musi być to, co sam przeżywasz. Mówią nawet ludzie, że to spisujesz...

— Ach tak! Ach tak! — zawołała ślicznotka, którą poprzednio recepta Casanovy wprawiła w zdumienie.

Casanova wiedział, że takie zakapturzone prośby nastąpią, mając jednak swój plan, rzekł tylko z uśmiechem:

— Owszem — spisuję, ale dla potomnych.

— A my — a cóż my? — zaprotestowano żywo.

— Mistrz ma słuszność, dla potomnych spisuje nam opowie — czy tak? — prosiła już Elwira.

Wtem usłyszał słodki głos Lindy:

— Ja jednak pragnę czegoś innego, niż przygód twoich, mistrzu — mówiła księżna — i pewna jestem (tu spojrzała wokoło), że wszyscy w zgodzie będą ze mną. Skoro opowiesz nam jedno z przeżyć twoich, cóż to za trudność?

— To prawda — potwierdził Roger, a goście otoczyli rozmawiających, wiedzeni przeczuciem ciekawości.

— Czego żąda miłość wasza odemnie? — zapytał Casanova grzecznym, lecz chłodnym tonem, w duszy zadowolony, iż prośba wyszła z ust Lindy, do tego bowiem dążył.

Przechyliła cudną głowę i alabaster twarzy pokrył się różem.

— Nie pragnę napoju miłosnego, ani tajemnic czarnej magji, odkrycia przeszłości twojej lub przyszłości mojej...

— Zdumienie mnie przenika, księżno!

— Trudniejsze dam ci zadanie. Sława twej mądrości i twego dowcipu glob przewędrowała. Powiedz, powiedz nam — ciągnęła z uśmieszkiem, przechylając się w fotelu.

— Cóż? — badał prawie zaciekawiony.

— Powiedz nam historję, wziętą z fantazji, nieprawdopodobną, a przecież pełną sensu, swawolną, a jednak morałem podpartą — historję, która kryłaby żądło,

a była równocześnie ukłonem wobec nas, kwiatów ludzkości!

— Otóż świetny pomysł! — klasnęła w dłonie hrabina, rada niepomiernie widokiem podnieconych wokoło twarzy swych gości.

Casanova sam był zdziwiony. Podniósł brwi i powtórzył:

— Swawolna i moralna, żądło i ukłon... — Księżno, to jest twardy orzech!

A wyobraźnia jego już pracowała.

— Wszak wiem, komu go daję — skłoniła się z gracją.

— Proszę o kilka minut namysłu.

— Vingt, si vous voulez! — zaśmiała się triumfująco. Oczy ich, skrząc się namiętnie, spotkały się na długą chwilę.

W salonie podniósł się wśród gości gwar zadowolenia. Rozpletli koło, utworzone w pobliżu Casanovy, Elwiry i Lindy i jak duże kolorowe motyle rozpierzchli po salonie.

W tym momencie weszli muzycy i rozpoczęli pełną prostoty i wdzięku melodję Lully'ego. I podczas, gdy viola d'amore słodko łkała, spytał Casanova, nie poruszając prawie ust:

— Nagroda?

Nie zwracając głowy ku niemu, tym samym zduszonym głosem:

— Poproszę o ramię, gdy pójdziemy do parku — odparła księżna.

— Wygrałem! — odezwało się w jego duszy jak fanfara.

Przeszedł pokój, cofając się znów pod okno, skąd tak dobrze widział wszystkich. Oparł się o nie teraz plecami, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

Głośniejszy niż poprzednio szum rozmów otoczył go, jak chmura. Wesołe pary defilowały przed nim, a kobiety

rzucały mu przechodząc spojrzenia, jak rzuca się kwiat, choć wiedziały, że mistrz, odpowiadając spojrzeniem, widzi jednak tylko jedną kobietę. Mimo ten fakt, nie były zazdrosne. Wiedziały, że dla każdej z nich nadejść może sposobna chwila.

Casanova, mając w pamięci słowa księżny, ogarniał barwne, roześmiane grono, bardziej niż kiedykolwiek przepojony pragnieniem, by ten salon stał się widownią jego zwycięstwa. Ale do tej pory nie znalazł ani jednego pomysłu.

A minuty upływały.

Już muzycy rozpoczęli gawot, z którego ostatnim akordem zniknąć im rozkazano z salonu, a Casanova ciągle szukał tematu dla swego opowiadania, które miało ukoronować wieczór hrabiny Elwiry, jemu zaś dać w nagrodę sam na sam z najpiękniejszą z kobiet. Oczy jego, błądząc dookoła, zatrzymały się nagle na ramionach, wykwitających kusząco z koronek i jedwabi. Znał te ramiona, całował je tylekroć, znał te kibicie pyszne, pieścił je i tulił tylekroć upojony! Pamiętał łatwość zdobycia i tajemniczość schadzek, bogactwo pomysłów i spryt wykrętów. Pamiętał również wielkość pychy...

I błyskawicznie złośliwości pełen pomysł zrodził się w jego mózgu. Omal nie drgnął z radości.

. Pochwycił go skwapliwie, przetrząsnął, obejrzał ze wszystkich stron... i wyprostował się dumnie, opuszczając z leniwą gracją ramiona wzdłuż ciała.

Widząc ten ruch, hrabina Elwira zawołała żywo:

— Jakto, czyżbyś już był gotów, mistrzu?

Casanova miast odpowiedzi skłonił się nisko.

Rozmowa zamilkła, jak gdyby na nią ktoś rzucił dywan.

Delikatnym, cichym krokiem podchodziły kobiety do foteli, sadowiąc się śpiesznie, mężczyźni zaś stanęli za plecami swych dam, tworząc dla ich pięknych głów doskonałe tło.

A twarzą w twarz z nimi stał Casanova.

Jego tłem była noc letnia, wypełniająca otwarte okno.

Wśród zupełnej ciszy słychać było chwilami przelot nocnego ptaka i syk świec w wielkich świecznikach.

Oczy Casanovy i Lindy spotkały się na krótki moment.

I wówczas, słysząc niemal, jak im pulsa biją z niecierpliwości, począł opowiadać.

. . . .

Księżna Yp-Selon mieszkała wraz z mężem swym, księciem Yp-Selonem w przepięknym pałacu, trudno bowiem, aby księżna nie mieszkała w pałacu; że zaś mieszkała z mężem swym, dowodzi, że była przedewszystkiem zapobiegliwa, jako matka i przezorna, jako żona.

Pałac ten znano dobrze.

Pyszne zabawy, świetne polowania, znakomite jadło, a nadewszystko towarzystwo wysokich rodów, które skupiało się w pałacu, czyniło zeń gwiazdę, rzucającą blask na całą okolicę, czyniło zeń instrument, którego tony były tonami całej okolicy.

Oczywiście nie każdy miał szczęście znać pałac od wnętrza, każdy jednak, patrząc na cudny fronton, myślał: Mon Dieu, jeżeli fronton jest tak piękny, jakież musi być wnętrze?!

Oboje księstwo lubili zabawy i umieli się bawić — jak wogóle tylko książęta bawić się umieją. Byli oboje młodzi i piękni, o tem wiedzieli sami i o tem zapewniali równie gorąco ją — mężczyźni, jego — kobiety. Aby szczęście było zupełne, los, który garnie się tylko tam, gdzie jest już jasność i wesołość, dał im ładną, zdrową dziecinę, córeczkę.

Mijały lata.

Księżniczka rosła i często widziano ją, gdy w wiośnie swych szesnastu lat przechadzała się po parku. Nagle,

pewnego dnia spadła na całą okolicę smutna wiadomość: księżniczka zachorowała. Musiała to być jakaś straszna choroba, gdyż cała radość pałacu zgasła momentalnie. Park opustoszał i szeregi pokojów, okna pozasłaniano, bramę zamknięto.

Zbiegło się przyjaciół i znajomych wielu z zapytaniem o zdrowie księżniczki, ale odpowiedź była skąpa i stale jednaka:

— Księżniczka ciągle jeszcze chora!

A gdy ktoś z możnych panów chciał przysłać swego lekarza, wówczas rodzice dziękowali, mówiąc:

— Księżniczka już zdrowsza! — i nie dopuszczali nikogo do łoża chorej.

Tak upłynął miesiąc.

Po upływie tego czasu po raz pierwszy otwarły się okna pokoju księżniczki. Więc pośpieszono w paradnych karocach winszować rodzicom. Jakiż jednak był ich przestrach, gdy ujrzeli księżnę! Wierzono w jej miłość macierzyńską, nikt jednak nie sądził, że będzie ona tak głęboka. Zdawało się, że księżnie przybyło dwadzieścia lat, co dla każdej kobiety jest zawsze fatalne, jakikolwiek byłby prawdziwy jej wiek. Przyjaciółki księżny dotarły aż do pokojów księżniczki i znalazły ją... przed lustrem w rozwianej sukni. Badała właśnie siebie samą z bezmierną ciekawością. Panie spojrzały na dzieweczkę i omal nie krzyknęły ze zdumienia, mimo, iż były doskonale wychowane. Księżniczka bowiem po chorobie, czy też wskutek niej, stała się zadziwiająco piękna. Skóra jej twarzy i ciała, dotąd nieokreślonego koloru, stała się biała i wonna, jak konwalja, usta poczerwieniały i rozchyliły się, gdyby korona kwiatu, w którego wnętrzu kryje się miód. Cała postać nabrała tych kształtów, które prowadzą mężczyznę z ziemi do raju, ale zato z raju już do piekła.

Nie chciano wprost wierzyć, że chorowała.

— Cóż to za cudowna choroba! — mówiły, patrząc na nią

— Czy objawia się gorączka? — badano.

— O tak, silna gorączka — odpowiadał książę, spuszczając przytem oczy.

Mimo tak pochlebnych słów gości, smutek wyzierał z twarzy rodziców. Księżniczka natomiast promieniała wesołością. Czuła nieznaną przedtem lekkość i gorącość, przebiegającą ją od stóp do czoła, upajało ją powietrze, zachód słońca, głąb parku i choć to wszystko musiała pokryć dobrem wychowaniem, t. zn. umiarkowaniem w głosie, spojrzeniu i chodzie, ten stan duszy jednak przebijał zwycięsko nazewnątrz, jak światło lampjonów przez gałęzie drzew. A gdy ktoś z gości pytał, jak czuje się po chorobie, zakłopotanie wypełniało jej cudne, zielonawe oczy.

— Ja chorowałam? — powtarzała niedowierzająco. — Nie, ja byłam tylko daleko, daleko od was...

Goście i księżna zamieniali wówczas spojrzenia znaczące, które mówiły, że trzeba zostawić jej to złudzenie.

W rok potem, prawie w ten sam dzień, księżniczka zachorowała po raz wtóry. Tym razem jednak ukryto w tajemnicy najgłębszej ten wypadek, głosząc dookoła, iż księżniczka wyjechała na wieś. Przyjęcia w pałacu odbywały się jak poprzednio, a księstwo w roli gospodarzy mieli wesołe i swobodne twarze. Gdy jednak znikł ostatni pojazd z pałacowego podwórza, biegła księżna do pokoju księżniczki i zostawała tam całą noc. Rozpacz jej nie miała granic. Po długiej naradzie postanowiła wreszcie zwrócić się do swego starego zaufanego lekarza, którego staraniom powierzała się sama w chwilach dolegliwości.

Noc była głęboka, gdy posłaniec stanął przed domem lekarza. Trzy głuche uderzenia obudziły śpiącego.

— Kto woła? — spytał lekarz, otwierając okno.

— Księżna Yp-Selon — brzmiała odpowiedź.

Usłyszawszy znane nazwisko, lekarz ubrał się z pośpiechem, wziął swą torbę i pognali, jak wichr.

W pałacu czekano na nich z niecierpliwością.

— On nas nie zdradzi — myślała księżna — stary i przywiązany do nas. Gdyby jednak...

Oczy jej błysnęły złowrogo, świadcząc pięknie o miłości macierzyńskiej.

Nie przeczuwając tych myśli, wszedł właśnie lekarz do komnaty, pochylił się w ukłonie, a gdy podniósł oczy i spojrzał na księżnę, drżenie go przebiegło. Księżna miała na sobie czarną, powłóczystą szatę, a oczy jej były nabrzmiałe od łez.

— Miłościwa pani — wyrzekł z niepokojem — czyżbym przybył zapóźno?

— Nie — odparła księżna.

— Kto chory?

— Księżniczka. Chodźmy do niej.

Biorąc płonący, złoty kandelabr, poszła naprzód. Przeszli długi korytarz, zanim dotarli do drzwi, za któremi był pokój księżniczki. Księżna przekręciła klucz w zamku.

— Zamknięta! — zdziwił się w duchu lekarz. Ale milczał, gdyż znał tajemnice niejednego pałacu. Drzwi otwarły się bez szelestu i ukazała się ciemna głąb.

— Zostawiają ją bez światła! — znów błyskawica przeleciała myśl lekarza ale cierpliwie, bez słowa, czekał, nauczony doświadczeniem, które utrzymało przeszło sześćdziesiąt lat głowę jego na karku.

Weszli szybko i równie szybko zamknęła księżna drzwi. Klucz znowu zgrzytnął w zamku. Lekarz słyszał przyśpieszony oddech książęcej piersi.

Wówczas księżna podniosła wysoko kandelabr, oświetlając pokój. Lekarz podszedł szybkim krokiem ku łóżku... i stanął jak wryty.

Łóżko było puste.

— Co to znaczy? — wyjąkał prawie ze zdumienia, choć go już wiele rzeczy dziwić przestało.

Na twarzy księżnej ujrzał dwa wąskie potoki łez. Potem wzrokiem przeleciał pokój, w którym panował miły nieład. Na krześle leżały suknie księżniczki, jej pantofelki błąkały się po dywanie, tu zwisała na jakiejś poręczy błękitna wstążka, ówdzie widniał grzebyk, wykładany masą perłową.

— Chwilę cierpliwości — szepnęła księżna. — Musimy zostać w ciemności.

To mówiąc, zgasiła kandelabr, podeszła ku oknu i uchyliła jedno skrzydło. Noc była pogodna, księżycowa. Z parku przypłynęła zaraz rzeźka woń wiosny. Marzec dobiegał właśnie końca. Księżna ujęła lekarza za rękę i zaczęła szeptem:

— Spadło na nas wielkie nieszczęście. Księżniczka, duma nasza, znika z domu na cały miesiąc. Przeszłego roku stało się to po raz pierwszy. Znikła z dniem pierwszego marca a wróciła pierwszego kwietnia w nocy. Sądzę, że tak będzie i dziś.

— Prawda, że to dziś pierwsza kwietniowa noc — odszepnął lekarz.

— Tak, i dlatego pana wezwałam.

— Znika z domu na cały miesiąc? — powtórzył eskulap, kręcąc głową, czego księżna szczęściem widzieć nie mogła z powodu ciemności. — Taka młoda istota!

— Niestety, i nie wiemy gdzie przebywa.

— Niesłychane nawet dla księżniczki — pomyślał lekarz, głośno zaś powiedział:

— A w jakim stanie wraca?

Księżnę przebiegł zimny dreszcz, gdy usłyszała słowo „stan", wobec tego jednak, iż to był lekarz, uspokoiła się i rzekła:

— W doskonałym. Jest zdrowa, wesoła i piękna.

— Skoro zatem księżniczce te wycieczki tak nadzwyczajnie służą, miłościwa pani, nie widzę powodu...

— Ale my musimy ją przecież ratować!

— Poco? Skoro wraca zdrowa, wesoła i piękna? Czyż ratunek nie jest tu nonsensem?

— Ach! Ty mnie nie rozumiesz..

— I owszem. Dla matki takie sprawy są zawsze niezrozumiałe, mimo, iż każda z nich miała także ongiś siedemnaście lat, jak jej córka. Jeśli księżna jednak koniecznie chce ratować księżniczkę, może raczej jakiś lekarz dusz...

— Nicby nie pomógł, mój stary przyjacielu. Księżniczka bowiem znika.. znika...

Matce trudno było mówić ostateczną prawdę, czuła atoli, że nie ma innego wyjścia.

— Księżniczka — zaczęła znów — księżniczka znika w zmienionej postaci.

Nowy błysk zdziwienia w duszy lekarza.

— W zmienionej postaci? To bardzo mądrze, to ostrożnie przedewszystkiem. Choć młoda, widać spryt ma duży.

Księżna chciała już dać ostrą odpowiedź, gdy wtem drgnęła, chwytając lekarza za ramię.

— Cicho, skryjmy się. Zdaje mi się, że to ona.

Lekarz wytężył słuch, ale cisza była dookoła. Była godzina trzecia nad ranem.

Ucho matki okazało się, jak zwykle, czujniejsze. Po chwili bowiem i lekarz uchwycił daleki szelest, który z każdą sekundą stawał się wyraźniejszy. Coś gnało przez park. Ukryci za firanką słyszeli, jak dobiegało do pałacu, wpadło na gzyms dolnych okien, z gzymsu na balkon, z balkonu pełnym susem na okno. W srebrnem świetle księżyca stanął w ramach okiennych cudny, biały... kot.

— Kot? — padł równocześnie okrzyk z ust słuchających

Atmosfera, naładowana zaciekawieniem, dosięgła szczytu, o który, jak wzburzone fale, biły przyśpieszone oddechy.

Casanova skinął poważnie głową i powtórzył:

— Cudny. biały kot. Zeskoczył z okna, wpadł odrazu na łóżko. Ledwo go można było odróżnić w mroku rannym wśród bieli poduszek, tylko oczy świeciły, niby dwa błędne ogniki.

Księżna. nie tracąc przytomności, zamknęła okno, zasłaniając je szczelnie.

Lekarz stał nieruchomy.

Słyszeli. trwając w milczeniu, gwałtowny oddech, rzucanie się całem ciałem po łóżku. Powoli, powoli cichło wszystko, oddech jakby gasł. Biały, nakształt kuli śniegowej, przepiękny okaz kota leżał na poduszkach napozór martwy.

Lekarz stał ciągle osłupiały.

— Księżno — zapytał wreszcie — czyżby. . — i wskazał na łóżko.

— Tak, to księżniczka. Teraz wiesz już wszystko. Taka hańba spadła na nasz ród. taki wstyd!

Przystąpili bliżej.

— Usiądźmy — szepnęła księżna. — Proszę nie spuszczać z niej oka, a tymczasem opowiem panu przebieg choroby.

I zaczęło się jedno z najdziwniejszych opowiadań, jakie kiedykolwiek słyszało ucho lekarza.

Po raz pierwszy zachorowała księżniczka przed rokiem, pierwszego marca. Księżna weszła justement do pokoju córki, by z nią wyjechać konno. Księżniczka stała przed lustrem. Nagle pochyliła się, poczęła zdzierać z siebie suknię, wydając jakieś okrzyki, które brzmiały radośnie. Księżna zdziwiona zbliżyła się do córki i z przerażeniem spostrzegła, iż uszy jej zwijają się w trąbkę i pokrywają gęstym, białym włosem. Zaczęła ją wołać po imieniu,

chwyciła za rękę, ale księżniczka odpowiadała już tylko mruczeniem. Zrozpaczona matka położyła córkę na łóżku, zamknęła drzwi, bojąc się oczu służby. I wtedy w jej oczach, w przeciągu dwunastu godzin dokonała się zupełna przemiana. Głowa zmniejszyła się, twarz zmieniła się w słodki pyszczek białej kotki, ręce i nogi w łapki, opatrzone świetnie zakrzywionymi pazurkami, nie brak było i puszystego białego ogonka. Po tej przemianie zerwała się z łóżka, skoczyła na okno, pognała w park i znikła.

— Czuwałam przy tem oknie trzydzieści okropnych nocy. Przeczucie mówiło mi, że wróci. Wreszcie w nocy z pierwszego na drugiego kwietnia wróciła. Ratuj nas, może jest jakieś lekarstwo na tę przeklętą chorobę.

Z księżniczki poczęła właśnie opadać sierść. Łapki wydłużały się, głowa pokrywała złotym włosem...

Lekarz patrzył na nią bez przerwy. Nie odwracając oczu, rzekł poważnie:

— Wiem, że istnieją niebezpieczne miesiące dla kobiet, n. p. miesiąc, w którym dostrzeże, że ma piękne ciało, którego dotąd nikt nie widział, albo miesiąc, w którym zdradziła męża, a piorun mimo to w nią nie uderzył. Że wiosna, z miesiącem kotów, okaże się pełna niebezpieczeństw dla młodych dzieweczek, nie budzi we mnie zdumienia, księżno. Wszak i one są ludźmi! Że czynić to muszą w postaci zwierzęcej, dowodzi tylko naszej niewoli, która nie pozwala nam używać dla tego celu naszego pięknego, ludzkiego ciała.

Księżna załamała ręce.

— Oszalałeś chyba, mój stary przyjacielu!

— Dotąd jeszcze nie, choć sam się temu dziwię.

— Jakto, więc żadnego, żadnego lekarstwa niemasz?

— Jeśli miłościwa pani chce koniecznie, można dać w krytycznym terminie zimne okłady na rozpaloną głowę i spragnione serce. Ale za skutek nie ręczę.

Księżna jęknęła.

— Cóż my zrobimy? Cóż my z nią zrobimy?

Uczyniła się cisza, w której następowała zmiana księżniczki.

O godzinie trzeciej po południu, a więc w dwanaście godzin po powrocie z tajemniczej wycieczki, uzyskała swój dawny, dziewiczy kształt. Gdy otworzyła oczy, ujrzała nad sobą pochylone głowy matki i lekarza. Była piękna, jak majowy poranek. Uśmiechnęła się do nich i rzekła:

— Wybornie spędziłam czas! Tak mi jest dobrze, tak lekko! Ale czy w pałacu ktoś chory? — spytała, patrząc z niepokojem na matkę i na lekarza.

— Przybyłem tylko w odwiedziny, księżniczko.

Była ożywiona cudownie, zadowolona, promienna.

— Muszę wstać, wstać, na słońce iść...

— A więc? — spytała matka raz jeszcze z rozpaczą w głosie, gdy wyszli z pokoju.

— Księżniczka jest najzdrowsza w świecie. Nie znam zresztą lekarstwa na zbytek zdrowia.

— Możeby wyjechać z nią do krajów, gdzie panuje tylko zima, albo tylko lato?

— Księżno, w zimnym klimacie przemiana nastąpi w dwadzieścia cztery godziny, w gorącym w sześć.

Skłonił się głęboko i wyszedł.

Z każdą wiosną powtarzała się znana historja. Nic dziwnego, iż mimo ostrożność, z jaką księżna osłaniała chorobę córki, szepty poczęły krążyć wśród ludzi. Czy ją ktoś ze służby podpatrzył, gdy pokrywała się sierścią, czy w jakiś inny sposób wieść przedostała się na świat, dość, że tajemnica, podawana na ucho, wędrowała dookoła. Księżna wiedziała, że stać się to musiało wcześniej czy później — wysilała teraz więc dniem i nocą swój mózg, szukając honorowego wyjścia. I rozpoczęła walkę.

W dniu przemiany udekorowano pokój księżniczki młodą zielenią, a gdy po dwunastu godzinach śliczny biały

kot spoczywał na łóżku w obecności rodziców i służby — księżna własnoręcznie otoczyła jego szyję wstążką i następnie główną bramą wyszła z nim razem do parku a przez park córka susem — matka trochę ociężale do pobliskiego lasu Po pół godzinie dotarły do polanki, oblanej światłem księżyca. Było tam już liczne zebranie kotów różnej barwy, a wszystkie cudne i kształtne. Z lasu wypadła po chwili gromada kocurów i rozpoczęły się gonitwy, harce, zabawy przy akompanjamencie przemiłych „ron-ron", omdlewających miauczeń.

Księżna czekała cierpliwie pod lasem. Gdy księżyc zaszedł, koty rozbiegły się, gdzie? — to pozostanie na zawsze ich tajemnicą. Księżna zaś wróciła do pałacu, następnego dnia jednak wieczorem już nie piechotą, ale powozem udała się na polankę. Zabawy były tak przepiękne w tym srebrnym mroku i tak odmienne od wszystkich, że księżna poczęła rozumieć chorobę córki.

Wieść o tych wycieczkach przeleciała jak grzmot całą okolicę. A księżna nosiła głowę tak wysoko, jak zazwyczaj. W bogatej, wykwintnej toalecie przyjmowała gości, gdy jednak zbliżyła się godzina dziesiąta wieczór, przepraszała wszystkich, mówiąc z uśmiechem:

— Muszę was teraz pożegnać. Ale wy, proszę, zostańcie. Wszak książę zostaje! Księżniczka jest w lesie, gdzie bierze udział w tajemniczem święcie kotów. Jadę właśnie, by ją odwiedzić. Za kilka dni kończy swój „koci" okres, by wrócić do dawnej postaci.

Szmer podziwu towarzyszył jej do progu. — Goście spojrzeli po sobie błyskawicznie.

Jakież było zdumienie księżny Yp-Selon, gdy następnego roku w marcu, obok swego powozu ujrzała na polance karocę księżny Xanty, pojazd hrabiny Zety, służbę księżny Alfy i wspaniałą czwórkę hrabiny Omega,

Wszystkie te panie przyjechały w towarzystwie córek, które w postaci zgrabnych kotów pobiegły na po-

lankę. Okazało się bowiem, że wiele panien z wysokich rodów cierpiało na tę kocią chorobę, przypadającą na wiosnę — tylko dotąd trzymano ten fakt w tajemnicy. Z roku na rok kocie towarzystwo stawało się coraz liczniejsze. Doszło do tego, że panny patrzyły lekceważąco na towarzyszkę, która nie przechodziła kociego miesiąca.

Zauważono jednak niebawem z niezadowoleniem wiele pań z burżuazji, które z dumą wiodły swe córki na leśną polankę.

Nic dziwnego, wszak przechodziły tę samą chorobę, która objawiała się dotąd jedynie w książęcych i hrabiowskich rodach Były to owe słynne, tajemnicze święta kotów, o których przestano jednak mówić z chwilą, gdy choroba ta weszła w lud.

Raz w lesie, na polance, towarzysząc matce, widziałem księżniczkę Yp-Selon i byłem oczarowany jej zwinnym kształtem i zielonemi oczyma. Ponieważ nie umiałem zmienić się w kocura, przebiegła obok mnie obojętnie, nie patrząc na mą człowieczą postać.

I oto mój los w tej bajce!

. . . .

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem cisnąc się do Casanovy, a Elwira w podzięce ścisnęła mu dłoń.

— Niech żyje księżna Yp-Selon! — wołano, czując instynktem ludzi dobrze wychowanych, iż to jest jedyne wyjście.

A mistrz patrzył na nich rozgorzałemi źrenicami, w których szalała potęga.

— Co za rozum!

— Uratowała cały ród kobiecy!

— Nie, raczej książęcy! — krzyżowały się głosy.

— Chyba o wszystkich warunkach pamiętał — rzekł wesoło hrabia Roger, patrząc na Lindę.

Duma wydęła śliczne usta księżny.

— Tak. o wszystkich! — ale wypełnił właściwie tylko

jeden: iż przykład płynie z góry, od nas! To dobrze powiedziałeś, mistrzu!

— Księżno — do ziemi nieomal kłaniając się, odparł Casanova — wszak o to tylko szło.

Pary poczęły się łączyć już i wychodzić szerokiemi, szklanemi drzwiami, które otwarła niewidzialna dłoń służby.

Noc, czekająca na nich w parku, pełna była upajającego zapachu, jak buduar pięknej kobiety.

Księżna zbliżyła się do Casanovy, mrużąc swe zielononiebieskie oczy. Uczuł, jak na widok tej postaci kobiecej mróz chwyta go w kleszcze i zmienia się natychmiast w wściekły upał.

Ręka Lindy wpełzła pieszczotliwie pod ramię Casanovy.

— Kocham — usłyszała szalony szept.

Ostre, błyszczące paznokcie wąskich, kształtnych, wypieszczonych palców wbiły się jak szpony w rękę mistrza.

— Kocie cudny — szepnęły znowu spragnione wargi.

. . . .

Nad parkiem wschodził księżyc.

Facetiae ineditae.

Trembecki odczytał właśnie swój poemat.

Imci pan szambelan jego królewskiej mości, nadworny poeta Stanisława Augusta, opuścił ręce, ćwiartki papieru, jakoby liście osobliwego genre'u dzierżące, wyciągnął szyję, łowiąc jeszcze uchem rym swój, lecz osowiały ostał na obliczu. Mistrz słowa, Helikonu bywalec szanowny, utracjusz i słynny „tueur des marquis" siedział, nie patrząc na nikogo, jeno mu wieczysta malkontencja widniała z lic.

Spojrzeli ku królowi wszyscy.

Czekano.

Wiedzieli goście Stanisławowscy, że poeta sercu królewskiemu miły, dank odbierze jako zazwyczaj w słowie łaskawem lub uśmiechu. Lecz król — o dziwo! w milczącej trwał admiracji i bez uśmiechu. Pochmurniał mocniej jeszcze Trembecki i już — już, żalem bez ochyby nabrzmiałe na ustach ważył słowa. gdy ozwał się Stanisław August:

— Widzę, że responsu czekasz. Mój Trembecki, alboż mi siurpryzę dobrem poema czynić możesz? Zwykła to rzecz u mojego poety!

A wówczas za królem wszyscy:

— Pięknie, bardzo pięknie, mości Trembecki!

— Oto — niby muzopłynne wody są rymy twoje.

— O! byle nie jako wody księże biskupie!

— Kto spragnion ich, estymę jeno dopatrzy w sło-

wach moich, dokończył ks. biskup Naruszewicz, szanowan i lubian niezmiernie na dworze królewskim.

— I cóż, mości Trembecki? — z uśmiechem pytał król. Poeta zamierzał właśnie najjaśniejszemu panu podziękę złożyć, gdy znów przerwał mu głos królewski.

— Mój Trembecki, już lepiej nic nie mów! Któż wie, może mi groźbę rzekniesz, że księdzem zostaniesz, lub dwór północnej Bellony pójdziesz rozweselać miast czwartkowe króla obiady?

Śród gości pomruk poszedł wesoły, jako iż znano ów nawyk poety.

— Wasza Wysokość — ozwał się wreszcie Trembecki — mile łechta ucha i serce taka weneracja. Wszelako dziw nie brałby mnie, gdyby indyferencja mnie spotkała. Przecież i poeta jest tylko człowiekiem.

— Co za modestja!

— Napisał djamentem na szybie pewnego zamku Franciszek I. król Francji — — —

— Vivat!

— Cóż on napisał?

— Napisał Franciszek I.: Souvent femme varie — —

— Mądry król!

— Doświadczony monarcha!

— Ja zasie twierdzę: souvent poète — — —

— Vari — uje? — podchwycił szybko starościc Węgierski, zgryźliwiec genjalny, rymotwórca śmiały, przed którym nietylko nędzne basałyki drżały.

— Bene dixisti! — rzucił król, kształtną swą głowę ku Węgierskiemu zwracając. Imaginujcie sobie Waszmoście: nasz szambelan, jako on grecki bóg — w szale.

— W szale? — schwycił znów królewskie słowo Węgierski. Wasza królewska Mość parol daję, że on lubość wyższą odczuwa, gdy tonąć może.. w szalach, bukietem niewieścim pachnących i stokroć lepsze niż winne otulających grona.

Śmiech buchnął nad stołem, jak płomień, w same lica nieskonfundowanego poety.

— Waszmoście! — począł tłumaczyć Naruszewicz — ja wam powiadam: podąża Trembecki w niewytropne knieje, bowiem niechybnie, jako w pieszczorodnej matce, serce w nim ustawnie płonie.

— Serce?— zagłuszono biskupa powtórnym śmiechem.

— Księże biskupie, ciebie nigdy nie opuszcza słodkopłodna wena.

Dopiero po chwili doszedł do głosu Trembecki.

— Twojemi słowy odpowiem, mości Kajetanie.

„Mnie dobre wychowanie i względna natura
Kazała naśladować ściśle Epikura."

— Otóż i wybrnął! — ujął się król za swym ulubieńcem.

Nad zastawionym stołem, kędy pozdłuż śród darunków wonnych Flory bieliły z alabastru muz dziewięciu ciała, stopami oparte o połyskliwe lustra, chwiały się roześmiane głowy. Z ozdób i białości ścian szedł jakowyś blask i mieszał pospołu z zielenią, co poprzez okna wchodziła z parku.

Repninowy cień leżał już nad zamkiem, lecz go jeszcze niczyje nie dostrzegły oczy i ani wiedział który z biesiadników, iż los jego w czarnej księdze duktem nieszczęścia zapisany, już się czai, tuż się czai u rzeźbionej cudnie poręczy biesiadnego krzesła.

Król roześmianą źrenicą spojrzał na Węgierskiego.

— Nie daj Boże nikomu w szpony twoje się dostać!

— Białogłowom niebezpieczeństwo grozi — dorzucił Zabłocki, a gościom przypomniały się zaraz portrety pań, niemiłosiernem piórem Węgierskiego malowane.

— Trudno, najmiłościwszy panie!

„Nie mam w ustach czułości, nie bzdurzę o cnocie,
Nikt mnie jednak przy podłej nie zastał robocie".

— Prawdę rzekłeś, Tomaszu Kajetanie! — w sukurs mu śpiesząc ozwał się Trembecki. — Co zaś do białogłów, to choćby nam bogowie użyczyli tyle poetyczności, ile jej

trzej bracia Morsztynowie mieli — jeszczeby nam trudno było anioła zoczyć w niewieście.

— Ot! et id genus sceptyków widzieliśmy, a nawróceni zostali.

— Może w Polsce, na świecie rzadziej, mruknął poeta, co na paryskim tłukąc się bruku nie poto na niejednej filutce ostrzył sobie zęby, by jej potem nie módz doskonale szarpać.

A Węgierski wtórował mu głowy potakiwaniem.

A Zabłocki małomowny, także coś mruczał pod nosem.

Tylko Naruszewicz wymierzył protest.

— Waszmościowie, jesteście jako on płochokwilny tłum, co to powtarzaniem słów pospolitych się trudżi. Przecież niejedna niewiasta już uratowała Polskę

— Niejedna zgubić może — śmiało rzucił Węgierski.

Przez spojrzenie gości przestrach przemknął, jak chmura.

— Weź więc w ręce ich edukację! Poeta jesteś! Jeden i drugi! Wiele zdziałać możecie!

— Księże biskupie — ja? Cóż ja mogę? Odpowiem chyba na odmianę teraz słowami Trembeckiego:

— „Kocham Polskę! Gdyby w niej mieszkał Horacy,
Ustać mogłaby podłość, zniknąć — — —

Głos zawiesił, a potem z podełba:

— Hajdamacy! — — — dokończył.

Król lekko brwi zmarszczył i cichość opadła na czwartkową biesiadę. Jeno szmer fontanny w wgłębieniu stojącej stoła, co podkowy miał kształt — cichość oną przerywał.

Kontur carycy zawisł nad Łazienkami i zaczepił o serce królewskie.

Nieuleczone — — — —

Po chwili Stanisław August wyciągnął dłoń w przedsionka kierunku:

— Znacie napis, który tam w medaljonie na suficie umieścić kazałem: Haec domus tristitias odit. Cóż ją zdoła odpędzić lepiej — niż imaginacja? Nic nie istnieje poza

nią — oto słowo moje królewskie. Ani korona, ani berło, ani miecz. Po mnie pozostaniecie wy — tu rozłożył szeroko ramiona, jakby ich wszystkich przycisnąć chciał do łona — pozostaniecie wy, trwalej niż laur z pod Grunwaldu, z pod Kirchholmu, z pod Smoleńska.

I szybkim a pięknym ruchem odsunąwszy koronki żabota, co na złotem szytej leżały kamizeli, zwrócił się do Węgierskiego:

— Waść, Mości Węgierski, wiesz dobrze, że nie wolno z próżną przyjść we czwartek do króla głową. Powiedzże, dużo robisz, aby nie umrzeć nazajutrz po swej śmierci?

— Niewiele, Wasza Wysokość.

— Lenistwo Waści po grzbiecie chodzi, waści i — — tu pomknął okiem ku Trembeckiemu — i innym adjutantom Feba. Lenistwo was za harbajtle trzyma.

— Najjaśniejszy panie — zaczął osowiały Trembecki — tylu ludzi pisze! Tylu! Oskoma bierze — przestać i wiecznym bazgraczom Helikonu, żabom, ten mozół ostawić.

— Lada galant, lada infamis pisze! Lada kasztelan — choć głowa u niego — jako żywo! nie do rady, ani tył do krzesła! — zapewniał Węgierski.

— A każdy pewien, że jest ptaszkiem od białej kokoszy! — zadrwił Potocki.

— I razem idziemy z onym gryzipiórkiem na fundament pod wielkanocne kołacze — zachmurzył się Naruszewicz.

— Pisać dla takiego mędrka, co pąchał kawiarnie Paryża, lub co powiada dumnie: i bez książek pszenicę rodzi moja rola!

— Moi złoci! Zawsze to lepiej, niż palić dzieła mistrzów na stosie, jako to dawniej u nas bywało.

— Ale dla „Zabaw" mógłbyś coś napisać, mości Węgierski — począł zaraz zrzędzić Albertrandy — i ty szambelanie.

— Kiedyż, mój redaktorze, one mają w tytule „Zabawy przyjemne i pożyteczne" — ja zaś nie chcę być ani przyjemny, ani pożyteczny.

— Czy mam tak napisać, jak radzi Boileau:

„Quelque sujet qu'on traite, un plaisant on un su-
[blime,
Que toujours le bon sens s'accorde avec le rime".

— Le bon sens! — uśmiechnął się Zabłocki, zazwyczaj zamyślony. — Czemuż nie: un beau coeur?

— Trudno, aby je miał ten chłodny Francuz. Wszakże on, cet Boileau — całe życie: boit l'eau!

— Trembecki! nie zrzędź na pana Boileau!

— Nie zrzędzę, Wasza Wysokość. Przeciwnie, wenerację czuję, on to bowiem powiedział: On trouve encore quelques femmes fideles et dans Paris, si je sais bien compter, il en a jusqu'a trois.

— Superbe! Ale te są wierne z wokacji — nie z namowy! Ileż zatem więcej warte!

Biesiadnicy pofolgowali sobie w śmiechu, lecz król westchnął.

— Paryż! Mon Dieu, co za miasto! Ale i w niem jest trahison, bo ona jest wszędy.

— Tedy w tej żonokradzkiej, nowej Troi mężowie jednako są niepocieszeni — wyrzekł Naruszewicz takim tonem, że obecni nie wiedzieli: pytanie-ż to było, czy twierdzenie?

Królowi roześmiały się znów oczy po odezwaniu księdza biskupa i ku trzem poetom w misterne pukle zdobną zwrócił głowę.

— Warto pomyśleć, czy może w takim trafunku un mari kontentny być? Do żony rankoru nie odczuwać?

— To być nie może!

— Nie było takiego przypadku!

— Myśl to osobliwa — Wasza Wysokość!

— Zgoła niepodobna!

— To nie godzi się ze stanem męża!

— To przeciwność pojęć!

— To zamach na godność synów Adama!

— Tak powiadacie? Tyle już pisano i mówiono o mężach niepocieszonych, zgnębionych, nieszczęśliwych, złamanych, oszalałych z tego powodu. Chciałbym raz usłyszeć coś przeciwnego — — coś wesołego — —

— Hm! wesołego?!

— Zastanówcie się! Może się myśl jakaś nawinie!

— Takiego pobłażliwca opisać!

— Rozpacznika, co nie wie, kiedy rozpaczać?

— Niedołęgę?

— Ależ nie! Myślcie a znajdziecie! Daję wam trzem jednaki temat: Zadowolenie męża zdradzonego! Każdy z was w różnym, a sobie właściwym sposobie, dla odmiany prozą go przedstawi. Nie wolno starym małżonkowi być, lub brzydkim. Komparacja wówczas i pokusa dla żony zbyt zrozumiała. Młody i zuch niech będzie! I cóż? — pytał król.

— Myślimy! — zakręcił się na krześle Węgierski, wysuwając ręce ruchem, jak gdyby czekało go ulubione zajęcie: rozdawanie kart

— Zakończmy więc facecją nasz dzisiejszy obiad. Ksiądz biskup zacznie, a ty szambelanie zakończysz. Starościca zaś w środek weźmiecie.

— Najjaśniejszy panie – więc on koniecznie musi być zadowolony, ów mąż?

— Koniecznie! I moi-by poeci sprostać temu nie mogli, gdy — – — król prosi?

— Niech mówią! — wołano ze wszystkich stron. A który wiktorję odniesie — —

— Nie, nie! — zaprzeczył Stanisław August — jedna wiktorja, a trzej w niej zwycięzcy! Zgadzacie się?

Węgierskiemu aż skry sypnęły się z oczu, jak z djabelskiej kuźnicy. Trembecki wysunął dalej nogi i osowiał jeszcze o cień. Naruszewicz, oparty o krzesło, podbródek poważnie gładził.

— Opowiem — zaczął ksiądz biskup — — —

— I ja — — —

— I ja — — —

— Skoro Wasza Królewska Mość raczysz nakłonić dla mnie łaskawego — ucha skupiał już myśli Naruszewicz, a podbródek wciąż gładził — tedy mówię, że radbym jako trefnik znakomity uśmiech wywołać.

— Słuchamy zatem, moi kochani, słuchamy!

— Nazwę facecję moją:

GRYZIPACIERZ.

Rzecz, którą tu opowiem, dowodem nam będzie, że nieprzeskoczne jest prawo natury, opiewające: źle bywa człowiekowi samotnemu na świecie. Ale że bohater mój to małżonek, łacno więc Wasza Wysokość i waszmoście zarzut czynić mi możecie, że on samotności znać nie może Znak to jednak, iż w niepamięć chyba odeszło tu obecnym owo crimen małżonków, co to powiadają: ponieważ mąż i żona to jedno, więceśmy samotni — oboje, ja z mojej strony, ona ze swojej prawicy. Miłowanie, co było wprzód, odbiega po leciech, jako skrzydłopięty rumak i cicho, jakoby w sulaty przyodzian, wsuwa się w to miejsce smętek i nuda. Przydarza się to prawie wszędy i szczęściem zwą wszyscy, gdy sercołome troski ugniatać nie poczynają nanowo któregoś z małżonków. Lecz gdy ogarniają, cóż się dzieje? Mój bohater, Franciszek daję mu imię, w wielkiej wychowan był pobożności, bowiem zawdy mówił rodzic jego: Bóg patrzy w duszę, lecz ludzie do mieszkania. Chadzał więc nasz Franciszek do kościołów, niósł swe modły ustawicznie do Stwórcy, wzdychał, pościł i przed urodziwą grzesznicą oczy ku ziemi spuszczał. Za wzór go innym stawiano. Gdy młodzikowie na redutach, balach, hulankach, pijatykach czas i wigor tracili, gdy marnowali swych uzdolnień przyszłość, łuszczybochenków zdobywając miano, Franciszek przykładnie w kościele lub w domu siedział, o świą-

tobliwych gwarząc sprawach, przed pracą, po pracy i pośród pracy. Gniew go wielki zbierał i użalenie, gdy chłopaków za podwiką uganianie widział, a nie daj Boże, gdy mu książka jakaś w rękę wpadła, co w niej autor odważnie i bez obsłonek sobie poczynał. Oburzenie zmieniało mu lica. — Grzech boski! Ignominja jawna! — wołał. — Miast o wielkich czynach pisać dla ludzi, miast onych uczyć, jak brać w krygi swe namiętności, puśliskiem je spinać — oni na swym pytlu jedną szkaradę mielą: chuć grzeszną.

I prędko mówił modlitwę i późno w noc dopiero, gdy niczyje, prócz srebrnolitego księżyca oko dojrzeć go nie mogło — wyciągał z ukrycia ową książczynę i czytał, aż mu z powiek wypadaniem groziły oczy.

I jako na wiosnę ziemia się zieleni, gdy pachnący wietrzyk ją muska, tak myśli Franciszka poczęły się budzić i pieścić wzajem ze sobą. Gruchanie tkliwe a miękkości lube, iż tak rzekę, nawiedzać go we śnie poczęły, lecz on śród dnia ze spuszczoną chodząc powieką, pociechą się koił, iż czoła nikt przeniknąć nie może. I częstokroć myślał: należałoby skosztować tej małmazji, skoro chwalba takowa o niej wszędy. Więc jak wilczaszek do trzódki, tak on skradać się począł wprzód okiem, później ręką ku młódkom. Z uboczy, cichcem, a ostrożnie podchodząc, umiał tak je zagadać, że co jedna za własną wolą, z prośbą jakowąś szła do niego, on zasię, w duchu powiedziawszy sobie: prudenter age! — w bliskoległe prowadząc je ustronie, ostrożnie mówił i mówił, pięknie i górnie a k'sobie przygarniał, by własnodłonnie zbadać, azali prawdę mówiły owe księgi, iż radość wszelka i życia delicje źródlisko swe mają w niewieście, czyli też owe krom klątw, opryskliwości, wyśmiewisk a złorzeczeń, nic innego nie mówiące. Badał z gorącością tak wielką i szczerą i hojną i pilną i jędrną i długą i płomienistą, aże zmizerowan wielce po świecie chodził. Gdy jednak ktokolwiek słówkiem napomknął o słodkościach miłości, gdy kto wolności jej żądał,

dziwował się Franciszek bez miary, iż słowa tak niecne a brzydkie, a niskie usta wymówić zdołały. Grzmiał, jak Jowisz i potępienia domagał się wieczystego dla onych grzeszników. A że w tym czasie modlitw i postów nie zaniechał, choć utrudzon wielce wracał o zmierzchu czy o świcie, przeto jeszcze silniej ugruntował dobre o sobie mniemanie. Aż raz rzekła pani matka: Mój synu, wiem ja, że niczem doczesność dla ciebie, coś duszą ku niebu uleciał. Radzę ci atoli, byś woli Bożej zadość chciał uczynić i wziął, jako przystoi w twych leciech, niewiastę układną i dobrą. Dom rozweseli i dziatek napełni go gwarem, dziatek; co tobie podobne będą.

— Żona? — pomyślał Franciszek i zastanowienie obległo mu duszę.

— Nie mieszkam ja w arkadyjskiej krainie kędy pasterek i boginek pochopność i czułość serca żywi i ochotę tuczy. Często albowiem naszym pasterkom wierzyć nie można. A gdybyż która niecnym podkopem zdradziła mnie przed światem? Lepiej, zwady ni frasunku z niemi nie mając, cnocie hołd oddać, jako się mi godzi i połączyć się z niewiastą, której miłość nie zna pierzchliwej odmiany. Trzeba mi wolę matce uczynić bez odwłoki, taka widać wola nieba, a mnie się jej nie sprzeciwiać. Małżeńskim węzłem zmażę wszystko i odtąd, hodując kwiat dla siebie, w żadne obce nie zapuszczę się ogrody. Nigdy!

Computatis computandis tedy za matczynemi radami poszedł i szukał oblubienicy stoocznym doświadczenia uporem. Nie dość mu było młodości i fortuny, chciał urodziwej i przemyślnej, by go nudność nie chwyciła. Gdy znalazł, długo nie czekał, lecz zaślubiwszy pannę, kosztował rozkoszy we własnym domu, za zgodą Bożą i rodzicielską. Lata mijały w nabożnym spokoju. Lecz po tym czasie jakowaś rozterka powstała w Franciszku. Powszednia mu się stała uroda żony i na jej widok już nie respiracje głębokie pierś wzdymały, lecz ziewanie szczęki

łamało. Znów poczuł się w samotności, gorszej niż wprzód.

Źle czynię, iż myśli moje igraszki tworzą dookoła Amarylli czy Aminty, a przecież nie może być inaczej. Powiedział Adam o Ewie: kość z kości mojej, ciało z ciała mego. Dbałość mogę mieć o nią, jako o własność miłą, lecz jakąż mi własne ciało uciechę dać może? Przysiągłem jednak wierność — i trwać w niej muszę!

Niepocieszony tłukł się wszędy, w domu, w mieście, biegając po długim poście oczami, to po tej, to po tamtej.

Insze jakieś teraz rodzą się niewiasty, insze i ładniejsze! I wzdychał, jak Job na swym barłogu i modlił się, lecz z myśli mu nie schodziły dawne zabawy i tęsknicy za niemi potłumić nie umiał. Może bez potrzeby się żeniłem? Pytaj się wszystkich mędrców, żaden nie wie, czy żony dał Bóg dobry, czyli w gniewie. Poco mi była ta troska, ów ciężar? Jakże mi wybrnąć z tej opresji, by grzechu nie popełnić? — myślał nasz gryzipacierz. Biedził się długo, aż wreszcie zaświetliła mu myśl pewna. Jakowejś nocy gwałtowny począł go dusić kaszel. Żona zbudzona, troskliwa, w te pędy jakieś wody, ziółka dała, aleć to nic nie ulżyło. Tak odtąd co noc bywało. Nie spali oboje, on w swojem, ona w swojem łóżku. Nieborak męczył się, biedaczce sen z oczu spędzał, co sprawiło, że i jej troskliwość senną się stała.

Potrosze, potrosze...

Uradzili, że sypianie odtąd musi być osobne. Miesiąc upłynął jeden, drugi, pani samotna była. Upłynął trzeci i czwarty, mąż był kaszlący, zmęczony, skwaszony, nanic przydatny.

— Mogę pościć ja, niech i ona głodu zakosztuje! — myślał Franciszek i z pod oka śledził magnifikę.

Ziewała i ona teraz. A potem poczęła zabaw szukać i miłego świegotania. Piękne szatki przyodziała, pończoszki

przejrzyste z pokrzywki włożyła na nóżkę, a co piękniejsze ptaszki a łańcuszki na fryzurę.

— Chwalebne te poczynania moją są zasługą — cieszył się Franciszek — straciła już bowiem do nich ochotę.

Gachów poczęło się zbierać koło niej coraz więcej, boć to wiemy, że piękną mieć żonkę, t. zn. dla cudzych wróblów posiać pszenicę. Szeptali jej w ucho jeden z drugim sprawy różnolite, jakie młodzianom gładkim i niegładkim bez wszelkiej nauki najłatwiej w mózgu się mieszczą. A mąż, świadek tych bobrowań po swym domu, choć pięści czasem ściskał — lecz i myślał: kiedyż wreszcie — kiedyż?

Doszło do tego, że niecierpliwości ogarniony szałem, podglądał żonę i jej z gachami w cichym kąciku różne narady. Dobrze na pętlisku trzymał oburzenie, boć żona jego własna była — lecz zaraz na pamięci miał, iż absolucji nie dostanie, gdy i ona grzeszkiem się nie splami. Czy pani wszelako ostrożna była, czy nie rozgrzana skutecznie, dość, że na żadnym żaglowcu jeszcze na pełne nie wyjechała morze. Złość trzęsła Franciszkiem, tyle jeno rozrywki miał pospołu z męką zmieszanej, gdy z ukrycia swego na nich patrzył. Jeden zaczyna gawędę od tego, że w nurka się zmieniwszy, odrazu imał się poszukiwania w głębinach. Pani się słodko uśmiechała, lecz była jako żołnierz wartujący, a mąż w swej kryjówce niecierpliwie wołał w duszy:

— Bierz! bierzże ośle! co za ceremonje!

Już, już zdawało się, że wylądują na wyspie rozkoszy. Lecz nic z tego. Duszne szeptania Franciszka gachowi siły nie dawały.

Drugi znów klękał i nie tyleż oczy, ile ręce wznosił i mówił o swem miłowaniu, aże Franciszek od śmiechu się dusił.

— Mędrek! Ty o miłości nie gadaj — ty miłośnie

sobie poczynaj. Ja tak zawżdy czyniłem i mnie i niewieście odrazu dobrze się działo.

Trzeci gach tak zuchwale, tak dziko sobie folgował, że Franciszek wzgardliwie wydął usta.

— Ot, młodzikowie głupi! Do mnie ci w naukę pójść nieciosany drągu, zbójniku! O! gdybym ja tam był przy niej w twojej skórze i w dyskurs ją wziąłbym — nie minęłaby i godzina, a cel swój osiągnąłbym. Niejednoby ci Amarylla czy Aminta rzec mogła o uczoności w chęciach i sposobach moich, a wszystko ku chwale bożej. I te antyfony wspólne, zbożne pienia i te msze ciche a niegnuśne i te rekolekcje nigdy nazbyt długie. To też gdy nam w duszy coś zagrało w te słowa: ite, missa est! — wstawaliśmy ukojenia pełni. O, co za młodzież! O, co za nieuki! Kiedyż wreszcie? kiedyż?

Tych jednak rozmówek, figlowań, choć niewinnych, podpatrywania tak Franciszka rozpaliły, tak mu sen odbierały, że jęczał i męki przechodził, jak kłuty zwierz, a musiał cicho siedzieć, więc jeno modlił się.

Boże sprawiedliwy, spraw by ta niewiasta wreszcie rozumu nabrała! Albo spuść ogień w jej żyły i ulżyj mej męce!

Nie dozwól. abym na te libacje patrzył, sam w sercu z czczością chodzący! Bo nie wolno mi grzeszyć samemu. Jakeśmy Ci we dwoje przysięgali, tak i dwoje zgrzeszyć musimy! — gryzipacierz Bogu tłumaczył.

Smutny, z płaczobojną tedy twarzą, trawił Franciszek czas na czekaniu.

A tam Aminta czeka — pomyślał — Nowa Aminta, nowa Amarylla! Może w rozkosznej nauce jakoweś odkrycia, postępy się stały? Kiedyż dowiem się o nich? Miesiące choć mijają, jednak przybywa ich życiu memu!

Aliści dnia jednego spojrzy ze swego ukrycia — a madame z labusiem siedzi!

Rozradowan, szczęście, że nie krzyknął. Labuś gładki,

pachnący, uśmiechnięty, nic, jeno nad nią się pochyla, nic, jeno pięknymi palcami raz po raz dotyka.

— Winowaty nie będę! Rozgrzeszony będę — wołał w duszy Franciszek. — Ten dopłynie do portu i kotwicę zarzuci.

I zacierał ręce i Amaryllę jakowąś spotkawszy na ulicy, cieszył ją obietnicą, iż wnet, wnet, a w wieczornej porze na gawędę przyjdzie.

Jakoż nie omylił się. Labuś, młódź ubiegłszy, nadzieje męża spełnił, ciężar wszelaki z duszy mu zdejmując.

— To mistrz! To mistrz prawdziwy! — z podziwem szeptał sobie Franciszek, śledząc labusia i jego erudycji dowody, co z dyskursu przebijała. Ale i pani moja, widzę profit miała z lekcyj, com jej dawał. Nie poleciała na byle wróbla!

Labuś — jak się okazało — niedługo począł miód spijać tęgo a raźnie ze zdobytego najsmakowitszego antałka.

Franciszkowi, skoro wreszcie tę pewność miał — aż dech zaparło.

Uradowan padł na kolana, jako że wszystko od modlitwy zaczynał. Dziękowania składał niebu, iż w tak krótkim śmiertelnego życia przebiegu, nie odmawia mu łask. Widział bowiem w tem poczynaniu połowicy swej oczywisty palec Boży i słyszał niby stuk od konfesjonału dający mu rozgrzeszenie celem działania. Lekkość więc sumienia swego po długich umartwieniach czując, wstał z klęczek i prosto do Amarylli pobiegł. Mienił się znowu być raju mieszkańcem, więc też celebrował nabożeństwo ku uczczeniu chwili do samego świtu — szczęsny i... kontentny!

* * *

— Księże biskupie, ani się spodziewałem, iż mi takiego męża sprezentujesz Jaki rezon! Jakiż humor! Jakaż przemyśliwość!

— Wdzięczen jestem, Wasza Królewska Mość!

— W rzeczy samej! — poparł te słowa szambelan — choć ja w jednym przypadku nie dawałbym aprobacji.

— Słucham — uśmiechnął się ks. biskup.

— Franciszek zbyt długo na wędzie trzymał swe zamysły.

— Zadługo? Tybyś szambelanie i roku nawet nie czekał

— Suponuję, że ks. biskup jedynie gwoli swej powadze, bohatera taką napełnił moderacją.

— Lękał się obmowy i przeto żył jakiś czas przykładnie — bronił Franciszka Naruszewicz.

Zaś Zabłocki rzekł z powagą:

— Ale ks. biskup tak wierny dał wizerunek gryzipacierza, że go prawie widzę przed sobą, jak widziałem Fircyka. w on dzień, kiedym zamiar powziął na teatrum Waszej Królewskiej Mości go wprowadzić.

— Incydent tu przedstawiony — błysnął Węgierski uśmiechem — powiada jeszcze, iż Franciszek mniej grzeszny był, niż labuś. Bo wiemy, że

„Każący kaznodzieja gorliwemi słowy —
Rzekł, że tykać zamężnej grzech jest białogłowy"

zasie Franciszek — w wolnym żyjącą stanie odwiedził Amaryllę.

— Jeśli jednak zaślepiony żądzą mąż daje wolność swej kobiecie — tłumaczył Ignacy Potocki — to winę jej zmniejsza. Trzeba, ażeby taka jejmość grzeszyła sama z siebie.

— Uspokój się, kochany, przecież gdyby upodobań Magdaleny nie miała, koncedowałaby labusia władcy piekieł i nie o pończoszce na zgrabną nóżkę myślała.

— Przekonanie moje powiada, iż źle wśród kobiet dzieje się z tej przyczyny, iż dusza ich — jak powiada pan Diderot, siedzi prawie zawsze w nogach. Wędruje ona wprawdzie od dołu do góry, ale od piętnastego roku życia instaluje się w biodrach i ani rusz do głowy ani do serca dojść nie może.

— Czekaj Węgierski — czy nie mówi on tego w „Les bijous indiscrets"?

— Właśnie tam — Najjaśniejszy Panie.

— Co za myśl kazać kobietom prawdę mówić, nie przez usta, lecz tą drogą, kędy stają się niewierne! Ach! gdybym miał taki pierścień, któryby to uczynić zdołał, jak bohater pana Diderota!

— Mielibyśmy natychmiast wojnę domową.

— Wszystkie żony zostałyby sromotnie wyrzucone

— Barbarzyńcy! — wzruszył król wzgardliwie ramionami.

— Miłość barbarzyńców z nich czyni.

— To ekskuzą być nie może. Nie neguję, że serce, ta własność męża, stałym jest pobytem miłości. Ależ jakie biedne i litości godne jest każde stworzenie, co stale a upornie w jednem tylko przebywa miejscu! Jaka marność życzeń, inercja myśli! Miłość musi ze swego stałego pobytu wyjeżdżać na willegiaturę, aby nie zemrzeć!

— Najjaśniejszy Panie — oponować chciał Naruszewicz — jabym raczej...

— Rzućcie okiem jeno po tych stadłach, co trwają w cnocie — ciągnął król dalej, na rękawie arcybiskupim rękę położywszy. One obrzydzeniem napawają tych, co żywią jeszcze adorację dla ognisk domowych. Spójrzcie, co z najpiękniejszej dziewicy czyni cnota a zazdrosny i ucz ciwy barbarzyńca: Boskie ciało tłuszczem obrasta lub wysycha, a na tem ciele leżą albo dwie dynie, albo dwa puste worki. Czyż nie płakałbym, gdyby mi ktoś arcydzieło Michała Anioła nadtłuczone ukazał, lub brudem

oszpecone? I cóż dalej? Jedyny jej polot, to warzenie strawy dla barbarzyńcy i ład domowy, jedyna twórczość, to łat niewidzialność na steranem ubraniu małżonka czy synalka.

— Wasza Wysokość, a przysięga?

— Pamiętam! Ale wszakże wiemy, że później w małżeństwie mowa jeno o duszy, o dusznem przywiązaniu, o myślach wspólnych, co nad progeniturą się skupiają. Więc dusza opływa w kontentacji. Tedy przysięga winna ważność swą ku duszy jeno kierować.

— Czy Wasza Wysokość chciałby przeprowadzić kasatę żon i laudum nowe ogłosić?

— Implicite! — uśmiechnął się Stanisław August. — Jeno, iż byłbym, jako on głos na puszczy. Wygodności zbyt wielkiej nikt się chętnie nie wyrzeka.

— Choćbym i szat duchownych nie nosił, nie dopuściłbym niewiasty do siebie i mego domu. One tak kurzów i książek nie lubią — pożal się Boże! Mnie zasię jedno i drugie potrzebne dla szczęśliwości, spokoju i weny — gorąco zapewniał Naruszewicz.

— Disjecta membra, ale co najpotrzebniejsze wylatywałyby bez pardonu oknem i drzwiami gwoli porządku domowego — zaśmiał się jeszcze Kniaźnin.

Lecz na to posępny, jak grudniowy świt, odezwał się Trembecki:

— A teraz zmówny pacierz za tych, którzy oszaleć mogą!

— Veto, veto! Waćpanowie, głośno a dobitnie!

— Injurja więc dla was posądzenie takowe?

— Nie! Ale wielu tu z nas ślubów nie pragnie z wdową ni dziewicą.

— Więc zmówmy pacierz za trzeźwych!

— Nie! Węgierski niech teraz ukaże innego szczęśliwego a mądrego męża, co choć Szekspira wielbi, jednak dla Otella abominację ma i mizerikordję szczerą.

— Prawdziwie ciekawość mnie przenika, co nam też

starościc po księdzu biskupie powie? — złośliwie powiedział Albertrandy.

— Ja sam trudność widzę, lecz waścine słowa stymulacją mi jeno być mogą. Suplikuję jednak, by najjaśniejszy Pan poniechać mnie raczył, gdybym z Pegazu miał zlecieć.

— Uchowaj Bóg! Wzlatuj-że nam, mości Węgierski, wzlatuj! — dobrotliwe były słowa króla.

Węgierski na krześle poruszył się żywo i znów rękami ruch gracza niecierpliwego wykonał

— Widzę po twej twarzy, że cię już ponosi. Czy powiesz nam, jaki tytuł dać zamierzasz?

— Mam go już, Wasza Wysokość.

Wszyscy ciekawie zwrócili się w stronę opowiadającego.

— Opowiem jakie były:

— — — — — — — — — — — — —

METAMORFOZY MADAMY HANNY.

Pogrzeb się skończył i z cmentarza do dom wrócił pan mąż i przyjaciel wierny.

Ulewa z nieba spuściła się sroga, a oni mówiący: płacze nad nią niebo! — poczęli smętnym gwarzyć głosu brzmieniem w komnacie zasiadłszy u stołu.

— Hanna nie żyje! — jęczał mąż, rwąc włosy.

— Hanna nie żyje! — wtórował mu drugi.

— Jak żyć mi bez niej! — jęczy głos mężowski.

— Jak żyć nam bez niej! — wtór pada niezmienny.

— Była jak lilja rosą pokryta!

— Była jak rosa na lilji kwiecie!

Wtem stanęła przed domem kolaska i z niej wysiada jakiś panek w czerni Już go służba wiedzie, już stanął na progu. Porwał się łzami mąż oblany i woła:

— O druhu! O mój Wincenty! Niemasz jej, niemasz naszej Hanny drogiej!

— Przybyłem właśnie popłakiwać z tobą!

— I stąd ta czerń na tobie? O dobry! O zacny!

I wiedzie go w głębię i sadowi czule.

I prawi:

— To przyjaciel drugi, Eustachy Jan. Jużby po mnie było, gdyby nie on — Eustachy Jan!

Nieznajomych, co się znajomymi stali, ścisnęły się prawice i już we troje społem przyjaciele godnie poczęli łączyć wspólnych łez strumienie.

— Wdzięki jej były jak owoc jabłoni, krągłe i pachnące — szlochał Eustachy Jan.

— Miłości granic nie znała, a wszystkie ofiary — jęczał Wincenty.

— I dla mnie i dla mnie — wołał w łkaniu mąż.

Słowo za słowem pocieszać się jęli, a gdy już wyschły ich rozpaczy śluzy, wyszedł pan domu omszałych flaszek szukać dla swych gości, pomny, że wilgotność wszelką zmywa troskę.

Gdy zostali sami, Eustachy i Wincenty, z pytaniem szybkiem skoczyli k'sobie.

— Waść znałeś Hannę?

— Znałem! A Waść?

— Jako i Waszmość!

— Czy być może! Trzej wdowcy tu płaczem swej Hanny?

— Suspicje miałem zaraz, lecz czekałem słowa.

— O, jakże wdzięczna to była osłoda!

— O, jakaż słodka to była białogłowa.

— Mówże, jako to było! Ulżyj sercu wspominkiem!

— I ty!

— Wprzód ty!

— Na reducie to się stało przed dziesięcią laty. Kobiecinka w płaszczu czarnym oko me porywa. Fałd bogatych fale pieszczą ją i kryją, zaś oko wabem połyska. Gachów pełno tam koło niej, lecz ja sprytnym gestem wszyst-

kich wnet ich precz odpędzam. Chodzę, proszę, ściskam, szepcę, inwituję, molestuję Wreszcie maskę zrzuca. Świadków nie było, jeno z mamą Kupidynek i raził nas raz po raz.

Lecz o Boże! Jej wdzięków siła na obliczu się skupiła! Zaś wie każdy, kto bark i pazury wprawował w miłość, że nie licu atencyj się użycza! Nóżka mała, lecz zbyt pulchna, rączka piękna, lecz zbyt miękka, a co się zbliżę, biust jej mnie odpycha. Zaś krągłości inne tak obfite, żem o włos nie zapadł się w damę, jako w stóg siana, co choć w altembas skryty — lecz jednak stogiem był siana. Jam w Lunewillu się edukował, ja znam Francuzek efeba kształt!

Białogłowa zbyt okrągła — otoż obraza boska. Toż gustom obmierzłość!

— Trzeba radzić! — myślę sobie, choć niewiasty szkoda i też szkoda tych chwil drogich, co nam potem spadną z nieba. Bo jej oczy szły już coraz chybsze, a jej serce biło coraz prędzej.

Więc ślę epistołę:

— Aniele! Gdy chcesz być moim aniołem, racz smukłość zdobyć anielską! Nikt bowiem na świecie szerokim spasłego nie widział anioła. Przysięgam radosnym ukłękiem powitać cię pani, gdy spadną wdzięków twych moce. Smutków więc ślę ci gromadę i tęsknot palących pochodnie, niech one cię dla mnie odmienią, w sylfidy uroczość obleką. Nie dotknę cię wprzód, o piękna, a ty się martwtem skutecznie.

To pierwsze medykamenty.

Zaś drugie? — pość, luba Hanno, pość, serce drogie, a szczęście nasze się zbliży, pość, upragniona i zbądź wyglądu, co każdy z gminu uwielbia, lecz nigdy znawca prawdziwy.

I czy dasz wiarę? To serce niewieście, to mnie szczerze kochało! Wnet chudnąć poczęła rozkosznie, ustawnie,

cudownie. — Wnet wyższa się stała, wyższa i węższa i wiotsza. Nim róże z liljami na łup mi puściła, już wyraz miała anioła.

W zaciszu naszego raju karmiłem ją słodką pieszczotą, objęciem ramion poiłem spragnionej lube poloty. Szczodrota mojej natury, dając jej sytość żywota, żądzę gasiła libacji, co ciała szkodziły ponęcie. Trzy lata wierna mi była i ja też mocno oddany, a że jej głód srodze dokuczał, schadzek pragnęła tem więcej! Lecz jam już sytość czuł wielką, choć głodu wrażenie znów miałem. Więc konsolacji próby małżonkowi zdałem i żegnałem czule. Ją i małżonka. Lubiłem go zbyt wielce, jego, co nigdy adwersarza nie chełpił się gestem. Dziś tu przybywam nieść pociechy słowo. Ot — wiesz waść wszystko!

Skoczył Eustachy Jan.

— Jakto? Więc to waszmości zawdzięczam tę zwłokę w miłości? O! com wycierpiał, patrząc na tę chudość! O! com nabolał, patrząc na tę biedną! Nie krzyw się wać pan! Tak jest, jako mówię. Czemże się pasą geniuszu oczy, jeśli nie ciała krasą, co dobrze krągłe skrywa śmierci wyobrazicielstwo? O co oprzeć czoło, kędy gorsu niema? Na czemże wesprzeć się ma koronka i wzdymać słodko? Co ująć dłonią, gdy jak noga — ramię, zaś jako kijek — noga? Niewiastę chudą z sadzawką ja równam, na której próżno szukasz fal igraszek. Ta pierś, co wznieść się winna, jest jako ono drzewo figowe, przez Pana przeklęte. Co gorzej, niemasz w niej myśli wzniosłych, tkliwych, bo i cóż się wzniesie? Cóż? Lub przez kogo? Za najwyższe zaś poczytać muszę ów smętek, któren powodem płaskości, upadek stąd płynący wiary, myśli zwątlenie. Boli kochanka ten szkielet, choć uroczy. I tak, miast czerpać rozkosze nektarów, czuje bolączkę w jestestwie swem całem.

W szlichtady gwarze ktoś mnie prezentował i ócz

diamenty ujrzałem Hanny. Lecz krom ócz — nic więcej. Rzekłem pani Hannie:

— Pani! gdybym miał ogród, hodowałbym jabłonie lub pomarańcz cudny owoc. Lubię ich krągłość słodką, soczystą. Do gruszek ni cytryn nie czuję afektu.

Stroskała się srodze i:

— Podzielam to zdanie — szepnęła mi cicho.

— Co? czy mam wierzyć?

— Byłam ja inna, Eustachy drogi, lecz że się nasze wprzód nie zeszły drogi — cierpliwość mieć musisz.

— Zrobisz to dla mnie, że znów abondancja..

— Zrobię, bo — — — kocham!

Czułem tego serca wielkie przylgnienie. Takiej się oprzeć, zaiste! — trudno jest niewieście! Ona tymczasem do pół dnia leżąc jadła, zbytkami swe ciało żywiła. I cudu dokazała! Pełne swe biodra pięknie kołysząc szła ulicami rzeźka, ponętna, a ja zaś czułem, że już płomień we mnie, że mnie ususzy z tej miłości wielkiej. O dniu rozkoszy! Nocy upojenia! Cóż mam powiedzieć? Szczęścia niemało przeżyliśwy wspólnie. Nie czuwając — czuwa jednak nad nami — jej mąż kochany! O, nie masz wielu jemu podobnych mężów na świecie. Lecz — o bogi! Cóż czyni ma Hanna? Czuję jak stygnie w swem ku mnie kochaniu i afekt jej galant bierze jakowyś' Galant, co waści miewa spodobanie. Hanna znów chudnąć poczęła. Na wiosnę to było. Prosiłem, błagałem, łzami chciałem wzruszyć, lecz mnie drwin jeno spotykały groty. W jesieni patrzę, Hanna znów krąglejsza. Więc z radością biegnę, ale mnie wzgardy gestem wstrzymała. I odtąd zawsze z wiosną i na jesień kształt swój zmnieniała. Lecz jam wierny został. Sam na sam tedy z panem mężem byłem, bo pani Hanna na miasto wionęła i nam do rąk karty wciskając czekać na siebie grzecznie kazała. Czekaliśmy stęsknieni, czekaliśmy pokorni. Raz przyszła zziębła, zmęczona i blada, przemokła cała w robie swojej lekkiej i — — —

Urwał Eustachy Jan, bo wszedł pan domu a za nim służba, jadło roznosząca. Milcząc zrazu posiłek brali i łez ich w pełne kielichy krople padały. Lecz: niemasz jej niemasz! — począł biadać mąż, a przyjaciele wiernem głowy skinieniem takt mu dawali.

— Zawsze jej pamięć o mnie jeno dbała, zawsze me życzenie troską jej było. Wiem — lubiła was obu — (tu okiem rzucił na nich szybkiem) — lubiła was — dla mnie, bo was przywiązać pragnęła do mnie. Gdybyż nie ona któż byłby tu ze mną? Jak pies samotny siedziałbym u stołu. Z za grobu nawet jej tkliwość ja czuję. O! czyż szczęśliwszy był kto nade mnie! Oczajdusza i hulaka, znałem życie dobrze, pijanica i podwikarz byłem, co się zowie. Gdy się nasze sprzęgły losy, Hanny dłoń mocno mnie wzięła i życie swe z mojem złączyła. O! tego serca wyjście tak nie znali, tak znać nie mogli, moi przyjaciele! Ofiarność jego i żarne podmuchy, kochania cichego trudy i darunki — wszystko ja miałem, wszystko mojem było! I ja — com kochankę miewał w każdem mieście — jej wierny byłem! Bo też w niej miałem cud-niewiastę. Po ślubie w czas jakiś wdzięków nabrała, żem w nich mógł tonąć, jako w miodzie gęstym, a gdy już sytość zaczęła nadciągać — o Boże! na zawołanie drobnieje, wężeje Hanna ma luba. I znowu szczęścia mieliśmy chwile i znowu jam słodycz poznał nową, lecz potem – (tu szybko okiem znów ku nim potoczył) czując jakoby, żem niecierpliwszy, szybciej odmianą mnie swą karmiła i gdy na wiosnę szczupłością jej żyłem, jesienią krągłość jej ceniłem. Nie wiem czy basza, nie wiem czy sułtan taką chłodnika i rozgrzewu zmianą w swoim pałacu poszczycić się może! Zdrowie me przy niej jeno się wzmogło i całą rozkosz w moim mając domu, — rozkosz, co mej młodości przedłużała życie — żyłem, jako w raju! Niemasz jej — niemasz naszej Hanny drogiej..

I płacząc objęli się przyjaciele i tak łączyli swe żale ogromne, aż świt ich zastał w tem objęciu wspólnem.

* * *

Stanisław August przychylił się na krześle, rozbawiony tak szczerze, że poeta patrząc nań, miał już pełną nagrodę.

Ale za królem poszli inni. Nawet Trembecki się uśmiechał, niefałszowaną zresztą amicicję mając dla Węgierskiego.

— Zaćmiłeś mnie — ścisnął mu rękę ksiądz biskup, ten ci był bardziej kontentny, niż Franciszek.

— A na tym świecie możliwe jest wszystko!

— Mój bohater wyzyskał też wszystko, co mógł jeno wyzyskać.

— Powinnością zatem niewiasty tajemne składy natury swego małżonka mieć wciąż na umyśle.

— Nic to! — nic to, gdy w nim owej pogody nie będzie, co jest mądrości fundamentem. Inwitację na dwór mój przesłałbym mężowi temu i ucałowaniem przywitał.

Niedziwne to było gościom, którzy incydensy znali króla z brzydką zazdrością dyszącymi dworakami i niedworakami.

Usłyszano tylko głos Potockiego:

— Zgodziłbym się z tem, Wasza Wysokość, gdybym wiarę miał, że ów mąż w sercu swem chowa uczucie dla swej połowicy. Ale jakoż to pogodzić?

— Poznaję, poznaję po tych słowach mieszkańca ojczyzny Akwilonów — ręką wstrząsając mówił król. — Patrzeniem przez chmury wzrok swój odmieniacie. Ambarasuje mnie to wielce, iż oduczyć was tego nie mogę. Gdyby żona tak przeszytą została strzałą Kupida, iż chorość jej serca i oddalenia się pragnienie od prawowitego małżonka następstwem byłyby — aflikcją darzyłbym oboje — a ciebie, mój Potocki, aprobacją. Lecz o tem w facecji Węgierskiego nie było wspominku. Zresztą, kochani moi — zdrada! —

tu westchnął król. — Nie w tem smętek, że nas zdradzają, ale, iż nadejdzie pora, gdy nas już zdradzić nie będą mogły, choćby i chęć i okazję miały po temu. Pamiętacie to, jako powiedział Jan z Czarnolasu:

„Jeleniom rogi odrastają —
Nam, gdy raz młodość minie,
Już na wiek wieków ginie,
A zawsze gorsze lata przypadają!“

— Tak ci jest! To jest prawdą!

Biesiada zmilkła na moment, jakby powiał jesienny wietrzyk. Na twarzach męskich legło zamyślenie.

Pierwszy ozwał się Węgierski.

— Najjaśniejszy Panie, miałbym radę! Niech Minerwa sprawi Afrodycie kaganiec.

— Chyba przeciwnie, mój miły!

— Owszem, niech będzie przeciwnie, ale niechaj będzie.

— Gdybyż można! — wzruszył ramionami Trembecki. — Gdybyż można dzięki Minerwie kaganiec nałożyć Afrodycie, ale skoro Minerwa, urodziwszy się, precz z głowy wyskakuje — któż potrafi zrobić kaganiec?

A na to żywo król:

— Dlatego należy zawczasu w każdą głowę kaganek wstawić. Kaganek bodaj! Choć mi obstakle w owej czynności różne stawiają — życie moje oddaję tej sprawie!

— Czyń tak tylko, Najjaśniejszy Panie, czyń jak najdłużej! — zawołano chórem, a łagodne oczy króla długo na nich patrzyły.

Znów pogoda osiadła na obliczu królewskiem.

— Cieszmy się że nas pan Rousseau nie słyszy. Gdybyśmy na konsultę go wezwali, rzekłby, iż miast kaganka lepiej użyć tymianku i szałwji, lub może kory brzozowej, zburzyć Łazienki i mieszkać w szalecie.

— Ale mu raz świetnie Voltaire odpisał — ożywił

się Trembecki. — Mówiono mi o tym liście w Paryżu u pani Geoffrin.

— Ho! ho! Voltaire! Ten listkiem figowym oburzenia swego nie zasłaniał.

— Jakże to było, mości szambelanie?

— A więc Rousseau posyła Voltaire'owi swoje „Discours“. Voltaire przeczytał, siadł i napisał między innemi: „Il prend envie de marcher à quatre pattes quand on lit votre ouvrage. Cependant, j'en ai perdu l'habitude

— Doskonale!

— Szczerze przynajmniej!

— Ach, Voltaire! Jego i Włochy zobaczyć chciałbym jeszcze w życiu!

A ksiądz biskup i inni, patrząc na tę twarz pałającą pod wpływem myśli stęsknionej, zdawali się rozumieć bodaj na mgnienie oka płomień tej duszy.

— Wasza Królewska Mość wieczystą w tobie widzimy młodość — wyrzekł ktoś z biesiadników — bo jako twój majestat, zachwycenie zawdy jaśnieje w tobie.

— Dziwneż to? Tyle piękna na świecie, jeno brać je, brać! Ale, ale, przypominacie mi waszmościowie, w tym momencie kasztelanową Kossakowską. Kiedy to jeszcze komitywa między nami była, podchodzę podczas jakiejś okazji i mówię:

— Miło mi widzieć panią na moim dworze. Gwarno tu u nas i nie smutno. A ona:

— Wasza Wysokość masz recht. Wcale nie smutno!

— Więc sądzę — powiadam dalej — że nas, kasztelanowo, negliżować nie będziesz. Ile razy czas wolny mieć będę...

A wtedy kasztelanowa:

— Uczciwszy uszy, wiele tego wolnego czasu mieć musisz, kiedy nietylko Łazienki stroisz.

— Baba jak harmata! Co usta otworzy, pocisk leci! — padła wśród biesiadników opinja.

— Trzeba było słyszeć, jak raz panią Kosowską cięła. Że Kosowska wówczas nie zemdlała, tego nikt nie rozumie!

— Cała Warszawa o tem mówiła!

Zabłocki podniósł zamyślone oczy.

— Nic o tem nie wiem!

— Powiedz-że mu, Trembecki — zaśmiano się ogólnie z zadumanej twarzy pana Franciszka — powiedz, jak to było, aby nie powziął kiedykolwiek sentymentu dla tego Heroda w spódnicy.

— Było to na jakimś balu — objaśniał przyjaciela szambelan, z twarzą tak poważną, jakby mówił o Horacego odach. — Kosowska tańczy ze Stackelbergiem, a potem, po tańcu, ambasador odprowadza ją i wypadkiem sadowi obok Kossakowskiej. Wiąże się rozmowa, staje jeszcze kilku panów obok cudnej Kosowskiej.

— I wy, uczciwszy uszy, tak ustawicznie tańcujecie, bielicie twarz i rozdziewacie się do naga? — pyta Kossakowska.

— Różnie bywa, replikuje Kosowska — czasem w domu siedzimy. — Skromna jesteś — mówi kasztelanowa. Zapomniałaś powiedzieć, że z was prawdziwe Spartanki. A kiedy Kosowska zdumiała, powtarza: Sparta... i utknęła, kasztelanowa rżnie: A no! uczciwszy uszy całkowicie, powiadacie jak one: Z nim albo pod nim! Zrobiła się taka cisza, że słychać było, jak na Stackelbergu drży gwiazda św. Andrzeja.

— Zazdrość babie tak jęzor piecze — śmiał się Zabłocki. Gdzieżby pięknej kobiecie taka myśl jadowita przyszła do głowy!

— Boże cię broń, Trembecki, abyś mi w twojej facecji podobną zbójnicę ukazał.

— Musiałyby wpierw zamrzeć wszystkie muzy.

Król i ulubieniec spotkali się oczami.

— Więc jakże, mości Trembecki? Na ciebie wszak kolej.

— Nie ociągam się, wasza królewska Mość!

— Ukaż nam zatem w słowach myśl twoją, — łaskawie mówił doń Najjaśniejszy Pan.

— Historja moja ma źródło swe we Francji, lecz obaczy Wasza Wysokość i osądzi, iż obcą nie jest i w innych krajach.

Rozmowa zcichła. Trembecki drgnął powiekami, siadł wygodnie i osowiały, jak zwykle, mówił:

— Piękny los miała:

— — — — — — — — —

ŁOŻNICA MARSZAŁKA.

Spiżolite paszczęki ryknęły raz, drugi i trzeci, znak dając, iż finał defilady przed królem się zbliża, a zabawy początek.

Vive le roi! Vive la France! — huczał tłum, spozierając już ku wspaniale zastawionym stołom. Zaś przez bramy zamku, co rozszarpały je szybko służb ste drybla sów ręce, wjeżdżać począł król, a za królem świta i co najświetniejsi z armji. Blask bił od nich, aż tłum oczy mrużyć musiał, choć na niebo wyszła już Djana na srebrnym rogu, by i ona pokłon oddać mogła panującemu na ziemi. W parku królewskim zabrzmiała muzyka i pary puściły się w pląsy Chybkie, giętkie, wiotkie, piękne tańcują po zieleni, Szumi sukienka, wionie koronka, kołysze się biała peruczka. Suną, bieżą, w dygu się chylą, a kłąb pachnący ich otacza. Hiacynta, smukłością obdarzona Dafnis, twarzą Venus przypominająca, stała zdaleka, okiem ciekawem a zazdrosnem rzucając w oświetlone parku głębiny. Tłum chodził gwarny, wesoły, huczny. Padało na nią niejedno spojrzenie z oczu marsowych, nie raniąc jej zbytnio wielce. A potem, nęcąc ją uśmiechem, przeszły obok, w wojaków ramiona wtulone, przyjaciółki Hiacynty i wołały: Pójdź z nami, Hiacynto! Noc taka ciepła!

— Nie mogę — odrzekła Hiacynta — czekam tu na małżonka mego.

— Ha! ha! ha! Biednaż ty! Nie utrapiaj się tylko! Znajdziesz jeszcze kochanka, znajdziesz!

Przeszli, Hiacynta, naigrawając z nich w duszy pobiegła pod park. Śród królewskich gości twarzyczkę tak lubą dostrzegł colonel Jacques i menueta nie mącąc kroku, zbliżył się ku pięknej Hiacyncie.

— Samotna, madame? — szepnął, pochylając się.

— Tak.

— Czekałem z utęsknieniem — mówił colonel — tych słodkich ust, tych pięknych oczu! Lecz może tu wejdziesz, pohasamy po parku.

Ale Hiacynta odmówiła.

— Mój małżonek dowiedzieć się może i cóż wtedy?

Skrzywił się colonel Jacques.

— Małżonek? Ten porucznik? Ce jeune homme? Gdzież on jest?

— Poszedł z towarzyszami na miasto.

Ledwo usłyszał te słowa colonel, a już oczy mu zapłonęły.

— Chwila więc sposobna, o piękna pani! Czyż mogę być w niebie jeszcze przed śmiercią?

— Możesz, o panie, przed północą!

Dygnęła głęboko i krokiem nimfy odbiegła, — wpadła w swe komnatki, gdzie w skromnym dobytku małżeńskim najkosztowniejszym nabytkiem była łożnica mocna, szeroka, cała w złote malowane róże. U wezgłowia zaś rozmdlone nad nią czuwały aniołki. Uśmiech rozkoszny miała na swych wargach, a plany latały po jej głowie utrefionej. Spojrzała w lustro, a ono jak hołdownik odesłało jej obraz najmilszy i mówiło:

— Uważ sama, możesz li bez powszechnej zdrady
Taić nieużytecznie tylu pieszczot składy?

Wtem właśnie pukanie się ozwało. Colonel Jacques

stawił się bez zwłoki, ale opóźnił swe odejście dzięki pięknej Hiacyncie. I to nieszczęście ściągnęło. Szmer jakiś nagle spłoszył szczęśliwych. Kroki znane uszom Hiacynty zbliżały się ku komnacie.

Zbledli kochankowie.

To on! To mąż! Wcześniej niż się spodziewali.

— Cóż poczniemy?

Hiacynta, pomysłu ratunku szybko szukając, szpadę z kapeluszem daje colonelowi.

— Tak go powitaj! — radzi.

Colonel sądził, że niewiasta oszalała z trwogi.

— Hazardować mi każesz moją osobę?

— Weź szpadę i kapelusz — szepce mu szybko Hiacynta — idź śmiało!

Mąż, porucznik, targał już drzwiami, które trzęsącą ręką mu otwarto. Już krzyknął: podła! i na rywala rzucić zamierzał, gdy nagle cofnął się przelękniony.

Jego colonel stał przed nim z marsem na czole. Wyprostował się porucznik i rękę niosąc ku czapce, salutował. Wówczas colonel, wielbiąc obedjencji siłę, co w krew wchodziła, przeszedł obok, ukłon z niedbałością oddawszy i potem, jak gdyby pamięć mu coś przyniosła, ode drzwi się zwrócił i rzekł ostro, dobitnie, każde wyrzucając słowo:

— Proszę jutro do raportu, panie... kapitanie!

I wyszedł.

Porucznik słucha, słupieją mu źrenice, a rękę wciąż jeszcze trzyma przy czole. Hiacynta łez pełne mając oczy, w szlochaniu mówiła: „O, mój kapitanie!“

Chwila minęła i ocknął się Olimpjusz, Hiacynty małżonek.

— Zdradziłaś mnie! — krzyknął. — Zdradziłaś haniebnie!

Zaś w duszy pomyślał: Może zbyt głośno krzyczę? Zdawna tęskniłem za tytułem kapitana. Jeśli to prawda co colonel powiedział?

Przerwała mu to myślenie Hiacynta, mówiąc:

— Mylne posądzenie twoje! Mówiłam z nim tylko o tobie! Colonel Jacques cenić umie zdolności twoje. Mówiłam z nim o tobie, a słuchał uważnie, cokolwiek mówiłam. Gdybyś przytomny był tej konferencji, wierzyłbyś niechybnie. Ileż to razy skarg twych słuchałam, że do wyższych się czujesz powołany stopni — a pominięty bywasz.

— Prawdę rzekłaś — cicho wymówił mąż. Gdy po dziennych fatygach biednego porucznika dźwigając na sobie troski i gonitwy, spocząłem przy tobie, we śnie mi wielki ukazywał awans sam Ares potężny i Mars.

Tu schmurzył się znowu i krzyknął:

— Czekajmy! Obym ci mógł przebaczyć!

Chciał jeszcze rzec coś gwałtownie Olimpjusz, lecz się pohamować umiał.

Zamkniony dzień cały mówił sam ze sobą.

Zdradziła mnie! Lecz ileż lat jeszcze czekałbym tytułu kapitana! Miłością ku mnie wiedziona uczyniła wszystko. Zwadę wywołać każdy zdolen będzie, ale, że rozum być sądzę dobrem największem w małżeńskiem stadle, wady jej i zdrożności, spełnione tu dzisiaj, uśmiechem zbędę. Kapitanem zostanę! Pokłonią się ci, jeszcze wczoraj ledwo mnie widzieli. A colonel jaki czuły będzie! Snadnie mógł pomyśleć, że go w miał zębami zetrę. Lecz jam go oszczędził, a on mi pewnie wliczy to w zasługi.

Piękna jest Hiacynta! Snać piękniejsza nawet, niż ją moje widzą oczy — i to wyniosłość jej winy niższą czyni.

Uspokoił się.

Wiele zmian poszło w ślad za nowym tytułem. Pięknością i rozumem niesiona Hiacynta, dotarła do spojrzeń markizów i comtesów, nawet kardynał widzieć ją raczył i należycie wdzięki oceniał, o czem w generalnych terminach i dystyngowanem słowem mężowi łaskawie wspominał, on i inni dygnitarze.

— Alboż wiedziałem, jaki skarb posiadam? — z tkli-

wem myślał wzruszeniem. Hiacynta mnie kocha i pamięta o moich troskach!

Niedługo bowiem znów wyżej poszedł i coraz niższe były ukłony dookoła niego.

— Ha! trudno! — mawiał -- Hiacyntę tańcującą widząc w stroju balowym: nie każdy umie herkulesowym śladem zdobywać godności. Barbarzyństwa był to wiek, dziś czasy inne, a moje zdrowie równać się z bohatera siłą nie może. Z przymiotów zaś szacowanych Hiacynta. nic nie straciła, jabym nawet powiedział: au contraire, uważniejszą się stała i ładniejszą. Dystynowane jej i mnie wielkie zaszczyty!

Jeden wszelako miał kłopot. Wypadku owego przypomnieniem nigdy Hiacynty nie nudząc, niebacznie już do swego nie chciał wchodzić domu. Zawsze spotykał się z tak wysoko postawionemi osobami, iż choć w tym czasie już generał-leutnantem mianowan był ku wielkiej swej szczęśliwości, ręka posłusznie wszelako sięgać musiała do czoła, salut oddając powinny.

I wówczas personę taką spotkawszy, uśmiechał się skrycie i pytał: — A może i markizem zostanę?

Los wielce mu przychylny będąc, sprawił, iż niedługo czekając, tytuł markiza otrzymał. Przerażał się jednak niekiedy, jakoby Hadesu groziły mu już cienie. Albowiem nie wiedział, kiedy, ani też gdzie owe wszystkie awanse koniec swój wezmą. Ponieważ niepewności przenikanie bolesne dlań było, nasrożony wielce, wpadł w jakowyś wieczór, groźny, niczem wulkan, do domu i drzwi sypialni gwałtem rozdziera.

Coś bałamutnie zawołał, zbladł, cofnął się, oniemiał.

Francji król stał przed nim z uśmiechem łaskawym.

— Majęsté — wyszeptał Olimpjusz, w kornym zgięty ukłonie.

Słodkie popłynęły nad nim słowa królewskie:

— Za tyle usług, ojczyźnie oddanych — król Francji wyrzekł — mianuję cię moim marszałkiem!

Długo milczeli małżonkowie, choć już zostali sami. Wreszcie w skardze zabrzmiał głos Olimpjusza:

— Zdradziłaś mnie z generał-leutnantem!

— On admirował twe uzdolnienia — drżąc szeptała Hiacynta.

— Zdradziłaś mnie z markizem! — głos podniósł małżonek.

— On mi wskazywał, z kim w konfidencji być powinieneś!

— Zdradziłaś mnie z kardynałem! — ostrzej przemówił.

— On zapoznał mnie z królem...

Olimpjusz już krzyczał:

— Zdradziłaś mnie z królem!

— Król tak pragnął przywiązania twego...

— Więc ja — — —

Olimpjusz tu głos zawiesił, uśmiechnął się, rozpromieniał cały.

— Więc ja rozumiem cię, Hiacynto i dlatego wybaczam w imieniu ojczyzny, której takiego, jak ja, dajesz marszałka! Marszałka! — powtórzył — czując na języku smak miodu i poglądając z dumą, dokoła czołobitne już widząc przed sobą szeregi.

I wziął ją za rękę i wiódł ku łożnicy, malowanej w złote róże.

Do pałacu ją rozkażę przenieść, który król nam odda. Godną jest naszego przywiązania i starań dowodów. A teraz spokojny jestem! Wyżej już bowiem sięgnąć nie możem, ani ja — ani ty! Vive le roi!

— Vive le roi! — powtórzyła Hiacynta.

— Łożnica teraz nam jeno służyć będzie! — zakończył małżonek.

* * *

— Vivat król!

— Vivat Hiacynta!

— Vivat trzej poeci!

pochwycili okrzyk biesiadnicy. Przy stole uczynił się ruch i wszystkie spojrzenia pobiegły ku królowi i trzem poetom.

— Kwitną i u nas Hiacynty i Olimpjusze.

— Och! kwitną, mój Węgierski — westchnął król — lecz galantomji wielkiej i prawdziwej mając w sobie wyrazicielstwo, dodał zaraz:

— Alić finalnie — cóż w tem złego? Łącząc jedno z drugiem, umiała Hiacynta powiedzieć, widmo intymidacji ustawnie nad sobą widząc, iż nie o sobie jeno myślała.

— Zawsze jedne są czasy. Prochu z Messaliny już niema, a siostry jej, kubek w kubek do niej podobne, rodzą się bez końca — zajęknął Zabłocki.

— Daruj, Waszmość Franciszku, niechęci chmurkę dojrzawszy na rysach króla, wtrącił Naruszewicz. Hiacynta przynajmniej w dobrej socjecie kochanków szukała, nie zaś, jak tamta, nad wygodne łoże, barłogi woziwodów, przenosząca.

— Zapewne, lecz przysięgnę, że jedna, jak i druga, wstawała lasanta sed non satiata abiit.

— Łakną amorów na wzór mężczyzn, mój Molierze!

— O, Wasza Wysokość! Nasza to jest jeno predestynacja i obowiązek. Obowiązkiem zaś niewiasty jest dostarczać nas światu, aby świata nie zagasło istnienie.

Szmer uznania rozszedł się po sali.

— To jednak każdy z was powiedzieć musi, iż spokój i trafność rozsądzeń konwinkują, jako, że godny jest Olimpjusza nosić imię.

— O tak, bez hesitacji!

— A przecież słyszę w tych sercach i nutkę smutku, jakkolwiek prym w nich wesołość trzyma. Bo myślą, acz przez małą cząsteczkę chwili: jest li to szczęście? Czy też co inszego?

— Szczęście! — skrzywiły się dziwnie usta Trembeckiego. Tylem wojażował, a trudno było je znaleźć.

— Mości szambelanie — boś nie wiedział, że szczęście — to pies. Kopać je, odpędzać, walić batem, a wonczas łazić będzie wszędy za tobą, a skomleć, byś je wziąć raczył.

— Erosa kopać? — czy tak rozumieć należy? — zlekka ironją brzmiącym tonem spytał ks. biskup.

Z Erosem ciężki mozoł, cięższy bez niego — mówił Trembecki, — a słuchali go wszyscy, doświadczenia bogate jego znając składy. — I tak źle i inaczej niedobrze! Już dwa wieki przeszło, gdy przed nami skarżył się tak samo Szarzyński.

— I nie miłować ciężko i miłować — nędzną pociechą — — —

Łagodne, melancholją zasnute oczy Stanisława Augusta pobiegły gdzies wdal.

— A może nasza to wina? Wszak nie to szczęściem jest, co szczęściem zowiemy, jeno to, co daje szczęście.

— Albo też jest jako Horacy powiada: medium tenuere beati — — —

— Ta maksyma niechybnie świeciła nad łożnicą Olimpjusza i Hiacynty — wtrącił Węgierski.

A król do swego zwróciwszy się ulubieńca, zapytał:

— Mówiłeś, mój Trembecki, iż cirkumstancje takowe wszędy dziać się mogą: — dlaczegoż jednak we Francji ich umieściłeś?

— Bo kiedy to przed monentem, najjaśniejszy Panie, o panu Russie mówiliśmy, przytomna mi stała owa anegdotka, co również w salonie pani Geoffrin słuchu mego doszła.

— Gryząca?

— Jakbym Kossakowską słyszał!

A jeszcze Węgierski półgębkiem:

— Naszą hajdamaczkę, jak powiada ks. biskup Krasicki, co to łagodność — defektem być mieni.

— Oto mówi pani Geoffrin, iż hrabina Boufflers i Rousseau, kiedy już niebardzo mieli się ku sobie, a więc, gdy on syt był jej karesów, a hrabina z tegoż właśnie względu niechęć dlań żywiła, spotkali się w jakowymś salonie. Rozmowa toczyła się o miłości wszelakiej, aż wreszcie ktoś powiada, że miłość ludzkości jeno zdoła miłość ojczyzny zagasić.

— Je vous assure, que non! — odzywa się hrabina Boufflers.

— Jestem dobrą Francuzką, a przecież nad każdego narodu nieszczęściem boleję i odwróciłbym je rada.

Rousseau słyszy te słowa, zwraca się ku niej i spokojnie powiada:

— Rozumiem! Z biustu jest pani hrabina Francuzką, kosmopolitką zaś resztą swej osoby.

— Ależ Hiacynta wierna była swej ojczyźnie — zaśmiał się król — wierna od nóżek do peruczki!

— Nie było moim zamiarem naśladować Rousseau, lubo mi daleko do niego.

Lecz król wstrząsnął głową.

— Bądź Trembeckim, to trudność większa! Tak, moi mili, a więc widzicie sami, iż z opowiedzianej przez was przyczyny nie muszą zaraz jakoweś się rodzić tragedje. Każdy z was dał innego człowieka i inny wzór.

— Zaiste! Uczynili tak!

— Bo też różni są ludzie! Maszkara jeno ich różni! — zacytował któryś z gości jednego z obecnych poetów. I raz jeszcze niefrasobliwy śmiech przeleciał przez salę

— Każdy z was stanął na wyżynie zosobna i opowiedział nam żartowną opowieść biesiadną, że, jako nasi niegdyś dziadowie, takeśmy się niemi weselili. Dziękuję wam za ten darunek!

Z niesłychanym wdziękiem a godnością zwrócił się

król ku trzem poetom i wyciągnął ku nim swe piękne ręce.

Zaś w ukłonie pochyleni poeci czuli, a wraz z nimi reszta biesiadników, iż facecje te, aczkolwiek nie wyda ich Grell, ni w bibljotece złożone ostaną, jednak przez „wsiemieństwo", jak mawiał Trembecki, wnikną w czas swój i te mury królewskie.

I będzie na nich także ów napis, kładziony na rękopisach:

Stanislaus Augustus, Rex Polonorum, saeculorum posteritati vindicat.

Przedziwny kochanek.

Na ulicach rozbłysły właśnie latarnie, gdy Malina wbiegła na schody.

Cień jej giętkiej postaci przylgnął natychmiast stęskniony do białej ściany oświetlonej już klatki schodowej, a potem pomknął w górę, szybciej oczywiście, niż jego prawowita właścicielka.

— Oby tylko był w domu — pomyślała z lękiem, przyciskając guzik elektryczny, mimo, iż znała doskonale tryb życia swego przyjaciela.

Przypadek jednak mógł jej wypłatać figla.

Dzwonek krzyknął, jakby go ktoś przestraszył.

Cisza.

Młoda kobieta szarpnęła zniecierpliwiona chusteczkę, ponieważ nic innego w tej chwili nie miała pod ręką i zadzwoniła po raz drugi, przekonana już, iż los czyha na nią.

Dzwonek wrzasnął, jak opętany.

Po chwili usłyszała powolne kroki. Ktoś uchylił ostrożnie mosiężną powiekę po tamtej stronie drzwi. Byłaby najchętniej uderzyła w nie swą śliczną pięścią, ale szczęściem otworzyły się zaraz i w prostokącie ich ukazała się postać doktora Rafała.

— Malina! — uśmiechnął się zadowolony. — A myślałem, że jakiś natręt. Wybieram się właśnie lente, lente... Przecież to dziś nasz czwartek.

— Pójdziemy razem! Czy sam jesteś? — rzuciła spiesznie, wchodząc.

— Cóż znowu! Jest dziś Hipponax, jest Juwenal, jest Bokacjusz. Słowem, sami starzy znajomi.

To mówiąc, wprowadził ją do swego pokoju.

Przyzwyczajona do dziwactw doktora, rzuciła okiem na biurko, na którem stosy książek tworzyły góry i doliny i wpadła w fotel ruchem, którego pozazdrościłyby jej Charyty, gdyby im dano dożyć dnia dzisiejszego.

— Godna kompanja! Wróg z wrogami! — skrzywiła usta, tak piękne w rysunku, jak gdyby Bóg miał w istocie talent Renoir'a lub Gocji.

— O moje dziecko, przecież Bokacjusz...

— Wiem, wiem! Znajdował plamy i na słońcach domowych, czyli, inaczej mówiąc, na rodzie męskim. Ale cóż znaczy? — syknęła z wdziękiem, chwytając książkę, leżącą na brzegu biurka i podsuwając mu ją pod oczy.

Doktor spojrzał i uśmiechnął się znowu. Było to za niesłychaną sumę zdobyte, najstarsze wydanie „Corbaccia", owej fortecy, wzniesionej przez twórcę Dekamerona i najeżonej pociskami szyderstwa przeciwko istotom, bez których poecie trudno było żyć całe życie, nie wyłączając dzieciństwa. Malina czytała tę książkę, pełna ciekawości a potem serdecznego ukontentowania, iż istnieją takie duchowe maszkary, pośród których ona, Malina, tworzy niezwykły wyjątek.

Dlatego też rzekła, świetnie udrapowaną w oburzenie:

— Ta książka powędruje zapewne z tobą do grobu.

Rafał potrząsnął głową i dziwny jakiś wyraz wyjrzał z jego oczu.

— Nie — odparł — zestarzałem się i przestałem nienawidzieć nareszcie.

— A więc poco czytasz?

— Aby przekonać się, jak mało jednak zdziałali

Hipponax i Juwenal i Bokacjusz, oraz tylu, tylu innych, którzy po nich przyszli. I wiesz, jaką zdobyłem pewność? Oto, że natury kobiecej nigdy nie zmieni mężczyzna, tylko kobieta.

— Kobieta? — zdziwiła się Malina, podniósłszy lekceważąco ramiona.

— My już nie poradzimy, to pewne Poprostu źle chwyciliśmy wasze zmysły, wasze „ja“ Raz za silnie, raz za słabo. Moje dziecko, wszystko żaś zależy od dobrego chwytu. Mówię ci to jako lekarz i jako mężczyzna. To też miłe były wprawdzie złego początki, wobec tego atoli żałosny musiał być koniec.

Kąciki jego ust uniosły się nieco w górę i drgały przez moment. Wyglądało to, jakby z tych ust za chwilę wystrzelić miała rakieta śmiechu. Ale nic podobnego nie nastąpiło.

Przeczuwając jakoby zniecierpliwienie Maliny — rzekł tylko:

— Przed każdą z was jest przyszłość! Przed nami — nic! Mów jednak teraz co się stało, bo o tej porze nigdy nie przychodzisz!

Malina chciała właśnie, mimo zniecierpliwienia, zaprotestować przeciw przyszłości kobiety, stworzonej przez kobietę, ale po zapytaniu doktora spoważniała natychmiast. Bo czyż nie zjawiła się nagle na tle złotawo-bronzowych grzbietów ksiąg, sięgających pod sufit, głowa o przenikliwych, palących źrenicach? I czyż te źrenice nie przeszywały jej przemożnie nawskróś, jak bagnety? Nawskróś!

Czyż nie wyłaniała się z każdego rogu ulicy, gdy tu śpieszyła, z każdego muru, gdzie jaskrawe płachty głosiły niedawny jeszcze koncert maestra?

Czyż nie odezwał się cichy, przecichy, dla jej tylko uszu dosłyszalny dźwięk, co Amatiego skrzypiec miał czar słodycz?

Wahanie trzymało jej głos na uwięzl, gdy poczęła mówić:

— Mój mąż niezdrów jest od kilku dni. Chciałam cię więc prosić...

— Ależ Malino, za godzinę byłbym przecież u was, a teraz dochodzi siódma. Czy coś niepokojącego?

Zawahała się ponownie i znowu po chwili odrzekła:

— Nie... ale ja musiałam być wcześniej u ciebie.

Spojrzeli sobie równocześnie w oczy, szybko, bystro, oboje w roli sędziów śledczych. Doktor miał twarz, jak zwykle, zamkniętą na zatrzask, który otwiera właścicielowi tylko znany klucz, jedynie w źrenicach, wybladłych już, łysnęło przenikliwe światło Malina lekko przybladła pod naporem myśli, które się w niej zerwały, a z których każda mówiła, iż od przyjaciela, jakim był dla niej Rafał już w tych czasach, gdy wąż warkocza pełzał dopiero po jej plecach, śmiało może domagać się pomocy.

Doktor czekał.

Nie było przecież innego wyjścia dla niej!

— Toldini wyjechał dziś — zaczęła, starając się mówić spokojnie, bo na zawarcie powiek zemdlało w niej ciało pod dźwiękiem nazwiska.

Doktor odparł jeno:

— A! — w niskim tonie — i zapalił cygaro.

— Tak... odjechał... to jest z północnego dworca. Koncertował tutaj po raz drugi. Przed pół rokiem po raz pierwszy. Od tego czasu się znamy. Powiada, że my tu wszyscy jesteśmy bardzo muzykalni.

— Toldini! — powtórzył doktor, zamykając zapalniczkę powolnym ruchem. — Ależ on ma garb i znaki po ospie.

— Garb? — oburzyła się. — Poprostu wysokie plecy. Znaków zaś nie widać, ma tak ciemną cerę. Zapomina się zresztą o tem, gdy gra! Ach! jak gra! — dodała owiana ponownie pożarem niedalekiej chwili.

Doktor słuchał, paląc cygaro. Ani jednego słowa! Ani jednego gestu! Malinie było prawie przykro na widok tej nieruchomości Rafała.

— Koncertowałby i po raz trzeci, ale sekretarz jego naglił...

— Przezorny sekretarz!

— Więc wyjechał! Rozpoczyna tournée artystyczne po Australji. Z tego też powodu byłam... to znaczy odprowadzałam go na dworzec.

— Zupełnie zrozumiałe wobec tej australskiej odległości.

— Prawda? — rzuciła dotykając go błyskawicznem spojrzeniem. – Powiedziałam w domu, że wrócę o piątej, a teraz zbliża się siódma

Zwolniła bieg słów. A po kilku sekundach:

— Spóźniłam się haniebnie...

Doktor strząsnął popiół z cygara. Nawrót dawnych myśli wsiąkł w niego znienacka, jak zabójcza woń chloru. Widmo, czy echo, wyczołgało się z jamy przeszłości. Szybko jednak się opanował.

— Jaka temperatura u Raula?

— Wczoraj było trzydzieści osiem, dziś trzydzieści siedm, pięć...

— Ależ to jasne! Zaniepokojona, pośpieszyłaś do mnie, z tem, bym wcześniej dziś do was przyszedł, niż zazwyczaj — czy tak?

Uśmiechnęła się do tych oczu mądrych, które teraz patrzyły wprost w jej twarz.

— Czytasz we mnie, jak w twoich książkach.

— Bo wiem, że każdy okres życia człowieka narażony jest na inną chorobę.

— Wypełnisz więc tę lukę między piątą a siódmą?

— Wypełnię!

Pochyliła się tak, iż zarumieniony policzek oparł się o jego ramię.

— Wiesz, jaki on zazdrosny...

— Wiem, i dlatego należy go oszczędzać.

— Och, tak! Musi się go oszczędzać.

— Dobrze zrobiłaś, przychodząc do mnie. Zazdrość jest chorobą, jak gruźlica lub gorączka tyfoidalna i wymaga leczenia. Dotknięci nią, to najgorsi pacjenci, bo najgłupsi. Sądzą bowiem, że posiadają najlepsze zdrowie. A w gruncie rzeczy, ty przecież kochasz swego męża.

— Ależ naturalnie! — potwierdziła z zapałem.

— Gdy porównam wprawdzie Raula z Toldinim... Jesteście jednak dziesięć lat pobrani — mówił, patrząc na nią badawczo, to odwracając wzrok i gdzieś w kąt go rzucając — i fakt ten objaśnia rzecz całą lepiej, niż najsilniejszy reflektor. Więc ty, chcąc ratować miłość małżeńską, nabierasz co prędzej tchu. Nic więcej!

— Jak ty mnie rozumiesz! Dajesz doprawdy głos mym podświadomym myślom — zawołała radośnie. — Zrobimy zatem tak: Zbadasz go, a potem, podczas herbaty, kieruj, jak ty to umiesz, rozmową, któraby go uspokoiła i rozweseliła. Proszę cię o to bardzo!

Doktor niedostrzegalnie drgnął.

— Czyżby i smutny bywał?

— Chwilami, i to jest takie przykre. Nie mogę patrzeć...

Cygaro zgasło. Rzucił je w srebrny rydwan na stoliku, czując, jak dalekie wspomnienie znów powróciło, przedzierżgnięte w sztylet, który mu wszedł w serce. Nastało milczenie. Stał z obwisłemi dłońmi i ważył jakiś pomysł.

— Dobrze — wyrzekł po chwili — porozmawiamy. Poza tem coś wam przeczytam dziś wieczorem, z mojej bibljoteki, jak już nieraz zresztą.

— Dziękuję ci — usłyszał szept.

— Lekarzem jestem — odpowiedział z uśmiechem dobrotliwym — i wszelka słabość ludzka bliska mi bywa

dlatego, bo słabością jest. Zapalił wszystkie lampy. Potoki światła, rozpryskując się w tysiące iglic spłynęły po kibici Maliny, smukłej w swej fioletowej sukni, jak kobiety florenckich malarzy, po siwej głowie doktora, który podszedł ku ścianie ksiąg. Z niepojętą pieszczotą przesuwała się ręka Rafała po książkach, z któremi spędzał długie, długie godziny, których jedne ugasiły pożar jego gniewu, drugie zabiły żmiję jego utrapień, inne mówiły najsłodszą mową: Pax me tecum plangere.

Malina milczała, ciekawa wyboru, już spokojniejsza. Cóż wybierze? Czy te fabliaux średniowieczne, śmiejące się a swywolne? Czy z „Kitab Elf Leilahwa Leilah" opowieść, płonącą fantazją Szeherazady? Któregoś z ulubionych Greków czy Hindusów? A może najnowszych głosicieli odwiecznych myśli utwór jakowyś? Czytała niejedno z bibljoteki doktora, lecz to wygodnego trybu jej życia nie zmieniało, ani utrudniało. Bo między temi księgami, leczeniu ciała i dusz poświęconemi, była niesłychana różnica. Lekarstwa, te dla ran pamięci, boleśniejszych od zdruzgotanej kości, balsamy, te dla załamań serca, gorszych, niż amputacja, stawały się niemi, w przeciwieństwie do aptecznych, dopiero wówczas, gdy chory sam w sobie posiadał zdolność zmienienia je w remedja.

(Zdrowy zaś, ów dar mający, eliksirem mógł je uczynić.)

W tym pokoju, w tem gronie, zawarło się życie doktora od lat trzydziestu, od chwili, gdy przybył do tego miasta, obcy wśród obcych, by rozpocząć je na nowo. Z początku dobierało się miasto zuchwale do jego przeszłości, ponieważ jednak leczył dobrze i obywał się bez kobiet, zaprzestano wnet zajmować się jego osobą. Myślał teraz o tem. Myślał:

— Czemuż nie znalazł się nikt, ktoby obronił mnie przed sobą samym? Ewo! cieniu nigdy żywem okiem nie dosięgły, Ewo! żono stracona w takiej chwili, jak dziś, przez głupotę serca!

Odsunął szybko kilka książek i z głębi, jak z ukrycia, wydobył wąski, niewielki tom.

Obrócił się.

Twarz miał znowu zamkniętą spokojem, jak dawni rycerze przyłbicą.

— Otóż i moja historja Wywołałem nią już raz uśmiech na pewnej zbolałej, zgorzkniałej twarzy. I uleczyłem prawie „tamtego" pacjenta, bo przed uśmiechem nic się nie ostoi.

— Prawie tylko? — zapytała.

Ociągał się z odpowiedzią, nie mogąc słów znaleźć.

— Mówię „prawie", gdyż mój... dawny pacjent uleczony za późno, losu już zmienić nie mógł.

Oczy jej przelotnie spojrzały na niego z nigdy niezawodnym instynktem kobiety, wyczuwającej prawdę, ukrytą poza najgrubszym murem.

— Spróbuję rozweselić nią dziś Raula w samą porę, Malino, uważasz? W samą porę — to jest najważniejsze!

— Więc chodźmy — rzuciła, poczynając drżeć, niewiadomo: z niepokoju, czy z niecierpliwości.

Oczy ich chwyciły się w uścisk serdeczny, ufny, mocny. Tuląc książkę, jak flakon, pełny przekosztownej esencji, powtórzył: chodźmy — i położył palce na zakrętce elektrycznej. Pokój zapadł natychmiast w ciemność, a oni wyszli. Szli raźno, w milczeniu i trochę zadyszani znaleźli się przed domem. Wysunął się naprzód i pchnął skrzydło bramy, nabijanej stalowymi guzami. Frunęłaby najchętniej schodami, lecz szła wolnym krokiem. Gdy otworzyła drzwi, ujrzała w przedpokoju Raula w futrze i kapeluszu.

Zbladła.

— Wychodziłeś? — spytała, hamując okrzyk i myśli jej wykonały epileptyczny taniec. Chmurne, złe spojrzenie stało na straży między mężem a żoną.

— Chciałem wyjść w tej chwili do Ryszardów. Nie wiedziałem, co się stało.

Jednocześnie Raul ujrzał wchodzącego doktora i przez chmurę przeleciał błysk zdziwienia.

— Do Ryszardów? Nie spotkałbyś mnie tam.

— Spodziewałem się tego... niespotkania!

Zaśmiał się krótkim śmiechem, który mógł również być warknięciem. — Doktor wyłuskiwał się ze swego płaszcza.

— Ten wiatr, który spaceruje teraz wieczorkiem po mieście, dogodziłby ci z pewnością.

— Dostałbym zapalenia płuc! Czy myślisz, że i wtedy nie pozostawionoby mnie samego? — rzekł zgryźliwie, nie patrząc zresztą na nikogo.

— Widzę, Malino, że wprowadziłaś mnie w błąd.

Raul uczynił pół obrotu ku doktorowi.

— Mam dwoje pacjentów tutaj; bo widzę, że oboje chorujecie na niepokój, ty — w domu, Malina — u mnie.

Malina westchnęła cicho. — Mąż wyprostował się czujnie.

— U ciebie? — rzucił szybko. Jakto — u ciebie?

Uczuł, że zbity jest nagle z tropu, pragnął tylko jak najprędzej wiedzieć, czy i ten nowy ślad prowadzi tam, gdzie płonie krzew podejrzenia.

— Przepraszam, czy przyjmujecie dziś w przedpokoju? — usłyszał głos doktora.

— Prawda! Chodźmyż! — nieco jaśniejszym tonem przeprosił Raul, zrzucając szybko futro, by pomóc Malinie, która tkwiła również jeszcze w swym płaszczu.

Oswobodzona, objęła go odważnie i prowadząc, jak dziecko, w głąb mieszkania, rzekła:

— Mój drogi, przepraszamy cię za to oboje — zapewniała ze słodyczą, nie narzucając się jednak.

— A mówiłaś, że idziesz do Ryszardów.

— To też byłam u nich. Wyszłam jednak po piątej,

by sprowadzić tutaj Rafała. Twoja wczorajsza gorączka zaniepokoiła mnie...

— Czuję się zupełnie dobrze — mruknął.

— Przekonamy się zaraz — wmieszał się doktor. — Przyszedłem w tym celu wcześniej, niż zazwyczaj, nie tak wcześnie jednak, jak pragnęła Malina. Życzyła sobie mianowicie, bym szedł zaraz po piątej, a poczekalnia była coraz pełniejsza. Zrozumiesz, że nie mogłem wyjść z domu nawet dla was. A pacjent nigdy się nie śpieszy. Więc godzina ordynacyjna przeciągnęła się poza szóstą, co się wprawdzie rzadko zdarza u mnie, ale się przecież zdarza. To zaś biedactwo zdenerwowało się, patrząc na zegarek.

Mówił równym, spokojnym głosem, z krótkimi przestankami, jak gdyby liczył krople uzdrawiającego lekarstwa, które zaraz zostanie wypite.

— A teraz, proszę, rozbierz się i połóż!

I nie czekając odpowiedzi, szedł już ku łazience, by umyć ręce.

— Powiadam, nic mi nie dolega, niepotrzebnie się trudziłaś — tłómaczył Raul, zły, jak drażniony dog, bo kochał swą żonę tak niezmiernem, silnem uczuciem, iż chętniej wolałby ją widzieć na marach, niż znajdującą jakąś przyjemność poza nim. Pod fundament jego przypuszczeń została jednak w tej chwili podłożona mina. — Czekała u lekarza? Lękała się o mnie? Istotnie, miałem wczoraj gorączkę, a dziś kłuło mnie trochę w płucach. Lękała się o mnie — powtórzył raz jeszcze w myśli, zadowolony.

— Rozbierz się! Proszę cię — przytuliła się do niego.

— Nie mam ochoty. Kiedy przyszłaś do Rafała?

— Po piątej.

— A kiedy wyszłaś od Rafała?

— Ależ przed pięciu minutami. Połóż się, zrób to dla mnie i daj się zbadać.

— Mogłaś posłać naszą służącą do Rafała, nie czekałabyś tak długo na niego.

— W jaki sposób? Przed wyjściem do Ryszardów? Domyśliłbyś się i sprzeciwił temu. Znam cię przecież!

— Więc mogłaś pchnąć służącego Rafała w tym czasie, aby mnie uspokoić. Mówisz, że znasz mnie przecież — dokuczał, zrzucając z siebie jednak z powrotem ubranie.

Musnęła ustami jego włosy, choć się usuwał.

— Myślałam przecież, że lada moment wyjdziemy. Zresztą czyż mogłam służącego, przeznaczonego dla wygody gości, odrywać od tego zajęcia? Zrozum-że to!

Miała w tej chwili serce pełne czułości. Byłaby go całowała i śmiała się w tym samym czasie, gdyby nie troska o jego nerwy. Poprawiła troskliwie poduszki.

— Dziękuję — rzekł jeszcze mrukliwie, ale poparł już słowo spojrzeniem wprost w oczy. Niewyraźna myśl, iż wyrządził jej krzywdę, puściła w nim kiełki, nagrzane ukojeniem władcy, którego „nie naruszono w posiadaniu".

— Dobrze ci teraz? — pochyliła się nad tą głową o bujnym, ciemnym włosie, o pięknych rysach, których jednak oczy jej, tyle lat patrząc na nie bez przerwy, już jako takich nie dostrzegały. Powiedział coś niewyraźnie, a Malina, nie żądając powtórzenia, wyprostowała się, jak gdyby dotknięta.

Doktor wrócił i rozpoczęło się badanie. Okazało się, że jest to lekkie tylko przeziębienie, które musi minąć lada dzień. Raul może jutro poleżeć, może i wstać. Wpadła w doskonały humor. Tanecznym niemal krokiem chodziła po pokojach, przynaglała nakrycie stołu głosem fletu, słuchając jednocześnie uważnie rozmowy mężczyzn i wrzucając w nią raz po raz słóweczko, jak garść confetti. Raul pomału rozchmurzał się. Myśl — pijawka sprawiła, iż pamiętał wprawdzie z dawnych lat, jaką genjalną twór-

czością odznacza się kobieta w dziedzinie tajnych sposobów przedziwnych zdrad; z drugiej jednak strony wielką ulgą było niewzruszone, święte przekonanie, iż jego mimo to nigdy nie spotka podobne „nieszczęście“, nigdy spotkać nie może! Jego, znającego przecież napamięć owe przepisy ochrony wszystkich mężczyzn stanu wolnego, jego, umiejącego nawylot ów statut kłusownictwa na rewirach małżeńskich! On, Raul, to nie naiwiec małżeński, jak „tamci“, z których lekko się wyśmiewał, jak tylu jego towarzyszy.

Jeśli więc czujność jego i mądrość odczuwała już nieraz, że coś się dzieje, coś niewidzialnego, jak powietrze, a jednak nakszałt sztaby żelaznej podważającego drzwi jego dobytku i chwycić jedna ni druga tej sztaby nie zdołała — jeśli już nieraz, ot, jak i dziś, węch jego lepszy, niż u najlepiej wytresowanego setera, przyprawiając o piekielne męki, mylił go jednak sromotnie, przyczyny tkwiły jedynie w tem, iż Malina słucha i słuchać będzie zapewne i nadal modłów pątnika do świętego gaju, lecz nigdy nie dopuści do złożenia ofiary na upragnionym ołtarzu. Pod wpływem tej pociechy, cienie pierzchały z jego twarzy.

Doktor rozmawiając zaś swobodnie, obserwował nieznacznie Malinę, która przysuwając stolik do łóżka, jużto wybierając potrawy dla męża, wyzyskiwała każdą sposobność, by dotknąć jego włosów, jego ręki, by uśmiechnąć się do niego tym uśmiechem, który jest jak pocałunek.

— Niema w niej kropli nudy, która czyni z kobiety jędzę, niema cienia owej opieszałości zewnętrznej, która działa w małżeństwie jak strychnina — myślał doktor. — I Ewa była taka, gdy wróciła późno w ów nieszczęsny dzień. I ona otaczała mnie taką czułością.

Nienawidził w tej chwili swej młodości, jak najgorszego wroga.

— Miło jest patrzeć na was — odezwał się głośno.

— Och! — zaśmiała się Malina.

— Nietylko dlatego, że młodzi jeszcze jesteście. Robicie wrażenie ludzi, którym dobrze jest z sobą.

— A tak! To się czasem zdarza — półgębkiem zauważył Raul.

— Wierz mi, owo „czasem“ w małżeństwie warte więcej, niż „zawsze“, bo tylko wtedy, gdy jesteśmy „czasem“ naprawdę szczęśliwi, umiemy i możemy być nimi „zawsze“. Nigdy odwrotnie!

— Dziwaczeje doreszty! — pomyślał Raul.

Był w kłopocie, przywykł bowiem nie poruszać podobnych kwestyj wobec doktora, o którym wiedziano, że zanim osiadł w tem mieście, rozszedł się z żoną, mającą duże wady: była nieszpetna i miała więcej zdrowej, gorącej krwi w żyłach, niż przystoi kobiecie.

A doktor mówił dalej:

— Dlatego też uważam, że nic we współżyciu nie podtrzymuje tak szczęścia, ile właśnie t. zw. przez nas katastrofy, które de facto nie są katastrofami. My je tylko tak chrzcimy.

Raul zdumiał nie na żarty.

— I ty to mówisz? Ty? — zapomniał o zwykłej ostrożności.

— A któż, jeśli nie ja? — zwracając źrenice wprost na Raula, odparł doktor.

— Nie rozumiem cię. — Chrzcimy tylko? Jakto chrzcimy?

Szukał nerwowo słów, określeń. I nie zważając na ostrzegające spojrzenie Maliny:

— Złamanie wiary małżeńskiej to dla ciebie nie katastrofa? — wybuchnął wreszcie, oddychając już w tej samej chwili, jak gdyby mu ciężar spadł z serca.

Doktor aż wstał.

— Daruj mój skromny strój. Mówisz tak uroczyście,

że czuję na grzbiecie brak fraka. Mój drogi, twierdzę stanowczo, że znacznie lepiej złamać wiarę małżeńską, niż złamać nogę lub rękę. Tego zdania powinni być i małżonkowie, skoro się naprawdę kochają.

Raul mimowoli parsknął śmiechem.

— Pyszny jesteś!

— Wiem, że wy wszyscy jesteście odmiennego zdania. Tylko we mnie już nikt nie wmówi, że to jest miłość.

Malina milczała, wodząc zasłuchanemi oczyma po twarzy doktora, który w tej chwili sięgnął do bocznej kieszeni.

— Książka! — ucieszył się Raul. — Przyniosłeś książkę z sobą? Czy jej może zawdzięczasz swe obecne poglądy? — dodał, w coraz lepszym znajdując się nastroju.

— Może! Dawno już chciałem wam przeczytać tę wiekową historję. Zdobyłem ją w czasie mej podróży po Francji, u jednego z paryskich antykwarjuszy. Wyobraźcie sobie, leżała na strychu, wśród stosu pożółkłych papierów i zadrukowanej bibuły. Ten głupiec antykwarjusz nie wiedział nawet, jaki skarb posiada.

— Zato ty ucieszyłeś się nią, jak stosem brylantów, mólu nieznośny!

— Jakże nazywa się autor? — pytali na wyścigi zaciekawieni małżonkowie.

— Trudno powiedzieć. Przyjaciel mój, jeden z wybitnych znawców na tem polu, przypuszcza, iż jest to prozaiczna wersja jednego z poematów owej nieprzebranej skarbnicy: „matière de Bretagne“. Temat, przebieg akcji i charaktery wskazywałyby najbardziej na Chretiena de Troyes, jako autora zaginionego poematu. Kto przerobił poemat — nie wiadomo. Ale mniejsza zresztą o to! Najważniejsze dla nas, iż po przeczytaniu jej poznacie, że zamiast pójść w przeciągu tylu wieków naprzód, w mał-

żeńskich kwestjach, cofnęliśmy się raczej poza wiek dwunasty.

— No, przesadzasz! — uśmiechnął się Raul, zapalając papierosa.

— Przesadzam? — okiem mrugnął chytrze doktor. — A więc posłuchajcie!

Usiadł wygodnie i począł z pożółkłych ze starości kartek, czytać opowieść, która brzmiała jak następuje:

— — — — — — — — — — — — —

Szarzało.

Odmęty nocy opadały i opadając, ukazały zamek czuwający i groźny potężnymi blankami. Cisza, niespłoszona jeszcze gaworem ptactwa, przyczajona była wszędy.

W owej chwili z zamkowego muru, dzielącego olbrzymi podwórzec, począł się zsuwać ostrożnie, powoli, bez szmeru, jakowyś czarny kształt. Dojrzał widocznie dwu strażników podle muru tam i sam chodzących, bo znieruchomienie na oczu zamknięcie go chwyciło. Wnet jednak począł pełzać dalej. Snać trud i senność oćmiły głowę młodszego ze strażników, bowiem czarny cień ujrzawszy, zapomniał rozkazu pacholęcia miłościwej pani, tej nocy, jako poprzednich danego, rozkazu, co mówił:

— Choć zobaczysz o świcie czarny cień na murze, nie waż się drogę mu zagradzać! — i krzyknął:

— Ktoś jest? — skokiem puściwszy się ku niemu.

Na głos strażnikowy czarność owa na murze zachybotała się, rozpłaszczyła, niczem plama, lecz znagła namyśleniem ostatecznem pchnięta widocznie, odbiła się odeń i śmignąwszy w powietrzu, jako ptak, niewidzialnym bełtem draśnięty, spadła na plecy pytającego. Kosmate łapy zatuliły mu usta i chwyciły gardło, jakoby w lęku, by z nich powtórnie głos nie wybiegł, mocne nogi, od powróseł mocniejsze, w uścisk straszny wzięły żebra. W strażniku, choć mu odwaga matką była, zabiło żywiej serce.

— Zwierz-li to jest? — drgnął cały i trząsł sobą ni to wicher drzewem, byle zrzucić tajemniczą istotę, palącą go owłosionych rąk dotknięciem. Ponocny wędrowiec wrósł mu jednak w kark i plecy. Więc bezradny począł strażnik biedz wokoło z rozdętemi chrapy.

Wszczął się ruch. Świtało coraz silniej. Nadbiegły dalsze straże.

— Tarantula-ż go ukłuła?

— Patrzcie! ktoś siedzi na nim.

— Głupi! — szepnął zły i struchlały drugi strażnik, bowiem, pamiętny rozkazu, wietrzył coś złego.

Lecz było już za późno. Po podwórcu rozległ się klangor lanc, a z zamkowych wyż jęły wychylać się głowy zbudzonych owym rannym zamętem.

— Hej, straże! — ozwały się głosy, w dół lecąc. — Pożar, czy Saracen nam grozi?

A z dołu już im ryk śmiechu odpowiedź dał. Zatrzymano bowiem strażnika w rozpaczy pełnym biegu i stargano czarny płaszcz z siedzącego na nim nocnego włóczęgi.

— Don Roro! Wszakże ci to don Roro! — huczał śmiech po zamkowym podwórcu.

— Ho! ho! małpie za konia służył! Jak zwycięzca jedzie don Roro, choć rycerzem nie jest!

Niezawstydzony jeno zdumieniem przemożnem zdjęty, podniósł strażnik głowę, małpa zaś, don Roro zwana, zeskoczyła z jego pleców, odepchnęła ciekawych, okręciła się w kółko i pognała w stronę, kędy mieściło się locum żonglerów. Spojrzeli na nią wszyscy, już teraz w milczeniu.

— Cudaczne stworzenie!

— Jeno mowy mu brak, by człowieka nosić miano.

— Widzieliście tańczenie jego wczoraj! Zaprawdę czart w nim siedzi!

— Czegoż jednak po zamku się włóczy?

— Wycieczki ponocne cichcem uprawia?

— Oddawnaż? — pytano się wzajem.

Dwaj strażnicy błyskawicznie spojrzeli po sobie.

— Patrz, coś sprawił — zdawało się mówić oko roztropniejszego.

— Czy don Rora pan wiadomość o tem ma?

— Wszak sypiają razem!

— Więc jeśli ma, nie znaczyż to, że zezwala? Zamiary złodziejskie może knowa?

— Spójrzcie-ż wprzód na ślady.

Rzucono się spełnić rozkaz najstarszego ze straży. Poza murem południowego podwórca widniały na piachu wgłębiny ciżem, w które don Rora przyodziewał pan jego, Gwilom, małpiarz zwan. Jakież osłupienie jednakże szukających objęło, gdy dojrzeli, iż u wejścia do pokojów hrabiny Aljenory gubią się wszystkie owe znaki.

A tam, za murem, w komnacie Aljenory, zlękłe nadsłuchiwało pacholę.

— Szukają — szepnęło.

Na Aljenory lica opadła lekka bladość.

— Ktoś zdradził! — wionęły słowa. — Czyżby go chwycili?

Gwar głosów zmilkł.

— Wyjrzyj! — rozkazała hrabina, a poprzez cud jej twarzy przeleciał, jako kruk, niepokoju cień.

— Niemasz już nikogo, miłościwa pani. Bądź spokojna, nie zdołaliby chwycić don Rora, bo zwinny i silny. Byle hrabia...

Myśli hrabiny tę samą czuły trwogę.

O, dostojne damy! Wy, którym serca gorące w rozkosznem biją łonie, wyrozumieniem darzyć będziecie Aljenory lęk.

Rzekła Aljenora:

— Służebne zawołaj! Niech mnie stroją. Piękna dziś być muszę!

— Nie zdołasz już piękniejszą być, o pani! — przytuliło się pacholę do kolan damy. — Czasu zaś niemało przed nami. Gdy słońca oszczep padnie prosto na podwórzec, dopiero widowiska rozpoczęcie.

Lecz na skinienie białej dłoni - wybiegło posłuszne.

Jakoż siedziba hrabiego Rajmonda rozbudziła się już cała. Wieść zaranna rozniosła się wszędy, jak proch i gości, których zamek w on dzień pełny był, ciekawością żarła.

— Siła przygód dziwnych miałem, aleć mi ta wycieczka zwierza pod białogłowy pokoje najdziwniejsza się zda — prawił któryś z rycerzy, szyszakiem koła kreśląc w powietrzu.

— Hrabia Rajmond baczenie dawać winien większe na małżonki swej bezpieczeństwo. Bo jeśli krwiożerczość poniosła tam zwierzę, do żarów południowych nawykłe? — dodał drugi — zwiedzacz krajów dalekich.

— Na Pannę Najświętszą! zgoła nie rozumiem! — zapewnienie dawał trzeci — spozierając na swej zbroi błysk wspaniały.

Dam znamienitych szepty toczyły się wezbraną falą.

— Jakżeż niezwykłe są upodobania Aljenory — mówiła margrabina Jolanta, słodka i smukła, serc męskich upojenie.

— Prześcigła nas w wyborze wszystkie — usta ściągając, rzekła Awelina Liljoręka.

— Jakże to rozumieć mam? — Czyżby serce wasze powiadało, że Aljenora... — dziwiła się Ermenegarda, gorąca i bujna, jak rajski kwiat.

Cichutkie poleciały chichoty.

— Najpewniej! Skoro krzyku nie podniosła.

Jakże dobrze umiała ukryć swą miłość! Połowa mija roku, gdy don Roro pojawił się na zamku. Oby Aljenorze tylko hrabia teraz nie sprowadził złego dnia.

— Och! cóż hrabia Rajmond uczynić może? — Wzruszyły ramionami gracji pełne damy.

— Jest prawie jego obowiązkiem, jako małżonka — z niepewności cieniem dodała Ermenegarda, najdrobniejszym zresztą wśród nich obdarzona wiekiem.

— Obowiązkiem? — oburzyła się Awelina. Obowiązkiem małżonka jest, aby żona nie miała żadnych obowiązków.

— Jakżeby on śmiał! — wtórzyły wszystkie.

— Gdyby cokolwiek chciał uczynić, my obronimy Aljenorę, czy tak? — spytała wzburzona Jolanta, płonącem okiem ogarniając towarzyszki.

— Tak! tak! — bez wahania powtórzyły, a śliczne ich głowy pochyliły się na znak zgody z żywością, wzniesione po chwili znowuż, jak przykazuje duma.

W izbicy, w której żonglerów umieściła hrabiego gościnność, szum rozmów nie ustawał. W kąt zaszył się jeno don Roro i znaku nie dawał życia.

— I tyś zaspalcze, nie słyszał, gdy don Roro się wymykał? — mówiło wesołe bractwo, naigrawając się, do Gwiloma małpiarza.

Zgnębienie pochyliło Gwilona kark.

— Nie słyszałem — odrzekł po chwili.

— A on chyba nie pierwszy raz używał tej wolności.

— Nie słyszałem — powtarzał Gwilom.

— Żali pojmujecie, czego don Roro szukał u hrabiny? — pytał kul i mieczów władca.

— Nie bądź złogębny!

— Bracia, czy dziw? Tęsknota do gęstwiny, jako do ojczyzny go zawiodła!

— Bowiem — tłumaczył najmędrszy z nich — dulcis est amor purus, sed dulcior amor mixtus.

— Bohaterem don Roro! Żadnemu z nas piękna pani spojrzenia nawet nie rzuci — skarżył się młodzian, gęśl swą tuląc do łona.

— Dumna, jakoby z rodziny Carolusa Magnusa brała pochodzenie.

— Ho! ho! Starsza don Rora familja, bo z maczugą po drzewach chodziła całe wieki przed Carolusem.

— Nuże! Nie krzyw się i nie trwóż, Gwilomie — radził tam któryś. — Hrabia na koło cię nie położy, ani don Rorowi gardło rozpruje. Skarci i podarunków nie da! Nie zginiesz bez nich!

— Gdybyż tak się stało, jako mówicie!

I z żałościwą źrenicą pobiegł ku don Rorowi, bez ruchu w kącie siedzącemu.

— Na łańcuch go weź teraz na noc!

Poderwała się Gwiloma głowa zdumieniem, lecz nic nie odparł. Igrce znów śmiechem huknęli, choć znali przywiązanie pana i małpy, wszelako zmilkli zaraz, bowiem w tej chwili wbiegł strażnik z rozkazem:

— Gwilom stanie przed hrabią!

Don Roro podniósł znagła głowę i długo patrzyli na siebie: małpiarz i małpa.

Hrabia odprawił właśnie straże, co wybełkotały rozkaz pacholęcia i w ciemnicę wrzucić ich polecił. Głowa mu zapłonęła drapieżnym gniewem, a ręka szukała miecza.

— Śmierć im! — ryczał.

Śmierć! Gdyż miłował swą żonę tak silnie, iż raczej wolałby ją w lochy wrzucić, na wolnym piec ogniu, kołem łamać, niźli na umilenie nudnego życia, na uciechę serca zezwolić. Tak bardzo miłował! Lecz w onej samej chwili dźgnęła go nowa myśl.

— Przeciw komu miecz podnoszę? Alboż-to rycerz? Jest-że to truwer, co honor mój na szwank naraża?

Zakłopotał się hrabia Rajmond. Małżonki swej miłość ku sobie czuł i znał. Jakiż więc szatan wzrok jej omroczył? Że Aljenora, cud niewieści, czar wywierała nawet na zwierzęta, nie dziwne mu było, lecz, iż ona sile tej uleganiem grzeszyła, rozterką wypełniła mu serce.

— Każę ją zamknąć na czas jaki w wieżycy o głodzie i chłodzie — pomyślał hrabia i wzruszenie chwytało mu gardło. — Wieżyca uzdrowi niebogę!

I ochłódł gniew małżonka.

Coś zaszemrało w komnacie. To w ukłonie chylił się pokornym Gwilom. Zmarszczyły się brwi hrabiowskie, a dumne usta rzekły:

— Mów prawdę! Czemuż don Roro na noc zamykany nie bywa?

— Wybacz, szlachetny hrabio! — do kolan zniżył się Gwilom — niezwykłą jest-ci małpą don Roro i nie znosi, by, jako złoczyńcę, hańbiono go zamknięciem. Chwyta go czasem żałość czy tęsknica, niczem człowieka i wonczas włóczy się po nocy. Nieszkodliwie wszelako, miłościwy panie, nieszkodliwie, klnę się na życiodajne łono mej matki.

— Skądże wiesz? Chodzisz bo za nim?

— Don Roro nie jest, jako inne igrce. Wzdycha i... schnie.

— Nikczemny, chcesz bym uwierzył, iż osioł jest z tej małpy? — krzyknął hrabia. Myślisz, że nie pamiętam, jak patrzył don Roro na mą małżonkę, ile słał jej ukłonów, jak przed nią tańczył i klękał? Teraz zrozumienie otwarło mi oczy.

— Miłościwy panie, was nie zadziwia rozum, co najpiękniejszej hołd oddawał?

— Zamilcz! Tej nocy na łańcuch go weźmiesz. Gośćmi moimi jesteście, karać was nie przystoi. Ale od jutra precz z mego zamku! Precz! — z za ściśniętych rzucił zębów.

Wyrok pana wnet wszystkim był wiad m, a choć łagodność mówiła przezeń, wzburzył damy.

— Słyszałyście? Wypędza go!

— Wszak mówiłam, że hrabia nie przebaczy!

— Nie pozwolimy, by stała się jego wola!

— Nie pozwolimy!

— Co począć zatem? Mówcież, co począć? — wołały jedna przez drugą.

— Zwołamy trybunał — po namyśle rzekła Jolanta. — Wyrokowi jego mąż oprzeć się nie może.

— Żona ma prawo wybrać sobie kochanka, jakiego pragnie! Tak, zwołamy trybunał!

Klasnęły z radości w ręce.

— Zbierzemy się w wielkiej sali zaraz po widowisku.

I z Jolantą na czele poszły uspokoić lęk Aljenory.

Przeleciał szybko ranek i oto hukot trąb w szkarłat odzianych heroldów obwieścił, iż nadeszła pora widowiska. Czerwonem suknem wybite ławy poczęły wypełniać damy i rycerstwo, za nimi zaś stanęła młódź zamkowa. Siadł przed wszystkimi hrabia Rajmond z bardzo cudną małżonką. Błękitna na niej szata ze sznurami pereł, a na ustach uśmiech, łzami nakarmiony. Patrzą na nich wszyscy. a szepty syczą i cichną. Oni ich nie słyszą. Patrzą na siebie, jedno przed drugiem w ukryciu i odgadnieniem myśli wzajemnych się trudzą.

— Jakaż piękna! — uderzała krew hrabiemu do głowy. — I komuż dawała cud swój?

— Jakiż mu smutek wzrok tłoczy — dumała Aljenora. — Miłuje mnie! Niechybnie don Rora wypędzi A ze mną cóż uczynić zamierza?

I o swej obronie myślała.

Nikt z gości słuchu dziś nie użyczał pieśniom menestrela, ni oczu w srebrny strój odzianemu pacholęciu, w które miecze ciskano. Czekali wszyscy tylko zjawienia się don Rora, słynnej małpy, na którą dziś inne miało paść spojrzenie, niż jeszcze wczoraj.

Drżąc, czekała Aljenora.

Wniesiono stół i ławę, pokrytą pstrem suknem. W chwil kilka ukazał się don Roro, odziany w długi, czarny płaszcz. Skłonił się przed panem i panią zamku,

a potem gościom, co w niego, niby miecze, spojrzenie rzucili. Don Roro zasiadł przy stole i klasnął. Przybiegł Gwilom z zapytaniem, czego pragnie, a don Roro gestem ukazał, iż jadła i picia. Wniesiono dzban i misę srebrną i don Roro, ni to rycerz u dworskiego stołu, posilać się począł!

— Ho! ho! uczona małpa!

— Patrzcie, smutny! Jakby wiedział, co go czeka.

— Ach! Zgrabna i miła ta małpa!

— Nawet szpetna nie jest — szeptały damy.

I patrzyły zamglonem okiem na don Rora.

Zjadłszy, po raz wtóry klasnął w dłonie don Roro i znowuż zjawił się Gwilom, gotów na każde skinienie. Ruchem zrozumiałym dla swego pana przemówił don Roro i po chwilce dzieweczka śliczna wbiegła drobną stopą na podwórzec i dygiem powitała wszystkich. Okrążyła skocznymi ruchy siedzącego, przypadała jak pstra kula, to znów odbiegała od niego, rączką wabiąca, na kolana mu siadała, usta maczając w dzbanie pełnym dobrego trunku. Oczy don Rora obracały się za nią, iskrzyły, wreszcie porwał się od stołu i jak ona dzieweczka począł dziwny wykonywać pląs. Zdumieni patrzyli goście. Zrazu wolno okręcał się wokoło, zapadał ku ziemi, to znowuż się wznosił, chybotał, kołysał na nogach, podskoki czynił, niby na drzewo piąć się pragnący. Aż począł wirować coraz silniej, coraz szybciej i migał jeno w oczach a czarny płaszcz furkotem wypełniał podwórzec.

— Don Roro! Don Roro! — z zachwytem wołali rycerze.

Okrzyki podziwu raz wraz rozdzierały powietrze.

— Don Roro! — ścigały się głosy i z łon zerwane poczęły padać kwiaty na don Rora, a grosze w mieszek Gwiloma.

Don Roro zaś znagła znieruchomiał, zwrócony w stronę, kędy siedziała Aljenora. Przykląkł i do podwór-

cowych kamieni głowę pochylił, a najbliższych słuch pochwycił jakoby jęk. Przyskoczył doń Gwilom:

— Żegnajcie! — zawołał, dłoń na karku mu położywszy. — Godzi się nam za gościnę i słowo dobre dziękować, choć ubawieniem skróciliśmy wam godziny dnia. Don Roro, podziwem przez was darzony, żegna wszystkich sercem czułem. Tak i nas żegnano wszędy i w Brytanji zamkach i na Iberji słonecznych brzegach. Bowiem wielka jest sława don Rora. Żegnajcie, dostojne damy i wy, miłościwi panowie! Niczego nam tu nie zbrakło!

— Nie zbrakło! — zgrzytnął zębami hrabia Rajmond.

I wstał, a za nim z szumem wielkim goście ruszyli z ław, by do zastawionych suto stołów przenieść swe pragnienia. Walił pod niebo gwar ich głośny i śmiech. Margrabina zaś, znak dawszy tajemny Aljenorze i towarzyszkom, najgodniejszych rozkazały do wielkiej sali prosić rycerzy.

— Trybunał dam się zbiera — mówiły pacholęta, zaprosin słowa niosąc wybrańcom.

— Któż to przed sąd stawiony będzie? — pytali się wybrani, niezmiernie radzi o miłości gwarzyć.

Lecz tylko:

— Trybunał dam zbierze się w wielkiej sali i miłoście wasze o przybycie prosi! — odpowiadały pacholęta, śpiesząc dalej.

Zapłonęły pochodnie w wielkiej sali Zasiadły damy strojne a piękne, dostojne a mądre, z Jolantą i Aweliną pośrodku, Aljenorą zaś opodal. Zasiedli rycerze, wśród których błysnął Rajmonda srebrny żupan. Ajenory przezorność i jego zaprosić kazała. Siedział gniewny i chmurny, lecz odmownego nie mógł dać słowa.

Spojrzały damy na rycerzy i wzrok ich szydem jakowymś połyskał, to znowuż łagodnością nasiąkał.

Ozwał się Aweliny głos:

— Posłuchajcie, o damy drogie i wy, panowie mili,

posłuchajcież sprawy, co dziwna zda się może, jako, że dziwne jest serce człowiecze, miłosci siedziba. A miłości trzeba nam ciągle, bez końca, gdyż bez niej jesteśmy jako rzecz martwa, żałości naprawdę godna. Sądźcież sprawę miłości! Miłości prawdziwej, bowiem darmo i śród niebezpieczeństw między kochankiem a kochanką wymienionej. Nigdy wśród małżonków stać się owa rzecz nie może!

— Tak ci jest! — zaszemrały głosy niewieście.

— Wolność wszelaka, na którą strażnicy i czeladź i przyjacioły w każdej dnia i nocy porze spozierać mogą, jest małżonków udziałem, dlatego ochota w nich gaśnie. Tamci, lękiem syceni wiecznym, tajemnicą żyją a w niej moc nieśmiertelna umiłowania. Niemasz większego nad nią wielmoża. Pomyślcież zatem, może li małżonek przeszkodą wonczas być?

— Nie może! — oświadczył trybunał bez zwłoki.

— Mogą-ż po latach usta jego tę samą gorącość, to samo drżenie zachować? Siłę jednaką ramion uściski, niepewność słodką serca pragnienia?

— Mogą! — żywo zawołał rycerstwa kwiat.

— Nie mogą! — żywiej jeszcze zaprzeczyły damy.

A gdy umilkli, mówiła dalej Awelina:

— Czas — to starość wszystkiego żyjącego. Jakże więc nie szukać źródła nowego życia, szczęsności żywej? Kto wzbronić może tej woli? Kto jej złorzeczyć? Kto przeszkody jej tworzyć może?

— Nikt, bo pozbawiać się miłości jest grzechem — podniósł się Jolanty głos.

— Nikt, gdyż dowodem, że małżeństwo przed nią nie chroni — dodała Ermenegarda.

— Któż zdolen zgłębić te sprawy, jeśli nie my, małżonki, zmysł miłości jedynie mające? Z owej przyczyny małżonkowie, w których on zmysł maluczki jest, zrozu-

mienia dla serc naszych nie mają, a rządzić chcą, o nic nas nie pytając. Tak się i dziś stało.

— Hrabina Aljenora serdeczność swą zwróciła ku don Rorowi, słynnej małpie, gdyż tak chciało jej pragnienie i wzajem przez to stworzenie umiłowana bez granic. Czy hrabia Rajmond ma prawo podziwu godne zbudzenie serca łamać w takiej istocie? Czy hrabia Rajmond moc posiada, moc posiadać może małżonki swej deptać pragnienia? Powiedzcie!

— Czyż nas już nie dość? — ozwał się jakiś smętny, rycerski głos — Czyż wśród nas niemasz już dość silnych i dość szpetnych, skoro hrabina Aljenora ku takim właśnie swój afekt zwraca?

— Och! czemuż małpą nie jestem? — westchnął inny.

— I ja! I ja! — sypnęły się żale.

Rajmond z ławy wstał, piękny i pyszny.

— Pozwólcie rzec słowo. Wszak nie o truwera gładkiego, piewcę znamienitych dam sprawa się toczy, lecz o... małpę. Muszę obronić małżonkę przed krwiożerczością zwierza obmierzłego i hańbą. Z tej jeno przyczyny każę odejść z nim Gwilomowi.

Aljenora po raz pierwszy wzniosła głos:

— Don Roro jest łagodny i cichy, don Roro nie może być hańbą, bo serce jego płonie, bo serce jego szlachetności pełne.

— Jakże inaczej mówić możesz? Wszak bronić musisz jego i siebie.

— Nie ja! On obroni mnie i siebie.

— Ha! ha! ha! On? Obroni?

— On sam!

Duma biła z jej lic.

— Don Roro sam? A w jakiż to sposób obroni on ciebie?

— Obaczycie zaraz!

I klasnęła w dłonie.

— Niech tu sprowadzą don Rora!

Zdumiony spojrzał na nią cały trybunał niewieści. Zdumieni rycerze i hrabia.

Otwarły się pokoje i wszedł don Roro. Stanął, spozierając po wszystkich i długie ręce wyciągając, to w fałdach płaszcza je kryjąc.

W sercu hrabiny wezbrała odwaga, oczy błysnęły i zawołała:

— Wielkiej ofiary zażądam od ciebie, don Roro, bo odtąd sława o tobie brzmienie straci. Ale niechaj nikt nie lży miłowania twego, ani czci mojej, co zwierzowi — prawią — pod zębiska padła. Broń mnie i... przemów!

Porwali się wszyscy z ław. Krzyknęli jednym głosem i zamilkli. Oniemieli. Skamienieli rzekłbyś. A don Roro, kolano zgiąwszy, rzekł dźwięcznym głosem:

— Na rozkazy twoje jestem, miłościwa wielce mi pani!

A gdy nikt pośród nich głosu dobyć nie mógł, powtórzyła Aljenora:

— Mów! I nie omiń niczego.

Gwilom stał za murem i czekał w niepokoju. Pochodnie oświecały zrumienione i zbladłe lica, dyszące łona, gorejące źrenice

Mówił don Roro:

— Jam jest człowiek, jako małpa don Roro znan. Śród ludzi nosiłem imię Roberta de Mireille. Dawno już temu. Rycerzykiem byłem, co ubóstwo wraz z mieczem nosił. Szpetnością pokrył Bóg twarz moją i nienawidziła mnie matka rodzona, szydzili przechodnie, wstrząsały się białogłowy. Lecz choć szkaradną była głowa moja, małpę jako żywo przypominająca, serce miałem w piersi. Poco? Nie wiem. Raz, potykając się w turnieju, Aljenorę ujrzałem i choć panną była, powstało we mnie tak wielkie miłowanie, że umierałem codzień z tęsknoty i rozpaczy. Cóż

bowiem następstwem być mogło? Aljenora, źródło dobra mego na ziemi, spojrzenia nie miała dla mnie. Nic nie miałem zresztą, prócz serca i miecza. Leżałem nocą na ścieżynie, po której przeszła i wyłem. Śmiałość mnie chwyciła jednego dnia i rzekłem: Niech będzie moją raz jeden, a nazajutrz śmierć sobie zadam. Śmiech jej zabił mnie straszniej, niż zatruty miecz. Pora nadeszła, iż powiódł Aljenorę w swój zamek hrabia Rajmond. Zamęt mnie porwał i mieszał mi rozum. Trunki palące spijałem, lecz serce bolało. W gospodzie, kędy piłem, spotkałem igrców gromadę. Któryś krzyknął: Małpa pośród nas! Małpa oczywista! I dotykaniem mojej twarzy, włosów, rąk, zabawę i dziwowisko poczęli. Jeden z nich, Gwilom właśnie, powiada:

— Gdyby zaniemówił i strój wziął inny, może iść z nami. Polecą grosiwa, bo takiej uczonej małpy nikt na świecie nie spotkał. A moja przedwczoraj zdechła.

Poszedłem z nimi.

Gwilom obiecywaniem sławy i bogactwa cieszył, ja zaś myślałem: Może to droga do umiłowanej? Dla niej jechałbym na wozie, dla zbrodniarzy przeznaczonym, dla niej dałbym się zaszyć w skórę zwierzęcia. Gdym do tych murów wreszcie przybył, nie poznała mnie pani moja cudna, choć pierwsza kwiat mi rzuciła z podziwem.

Raz wreszcie... potem...

O, anielska!...

— Skończyłem, wasze miłoście!

I targnął płaszczem i zdarł kosmatą skórę z rąk, by im pod nogi ją rzucić.

Nie wiedział Gwilom, za murem czekający: płakać, czy pięści zaciskać.

Minęła chwila jedna, druga i trzecia w cichości. Białe dłonie ocierały wilgotne powieki.

Drżącym głosem, trybunału imieniem spytała Awelina:

— Prawda-li to wszystko, Aljenoro?

— Prawda najświętsza!

Pochyliły się ku sobie piękne głowy dam, by naradę ukończyć. Poruszył się i małżonek hrabiny.

— Wybaczcie, lecz sprawa to obecnie inna. Zwierzowi można było przewinę darować, lecz rycerz, co podstępnie, niegodnie, w zwierza postaci w zamek wszedł, życiem przepłacić winien swój czyn.

— Żaden podstęp, by miłosnego dojść celu, nie może być niegodny, hrabio Rajmondzie, zazdrość zaś śród małżonków — karygodna to rzecz! Zazdrość jeno śród kochanków istnieć może.

I odwróciwszy odeń głowę, wstała Aljenora, wiodąc wzrokiem śmiałym dookoła:

— Czy wiecie, jakie są obowiązki kochanka?

Odrzekły głosy:

— Kochać, służyć, cierpieć, milczeć.

— Czy Robert de Mireille, don Roro zwan, spełnił je wszystkie?

A głosy odparły:

— Nietylko, że spełnił, lecz wywyższył każdy z nich.

— Czy należna mu za to nagroda?

Wyśpiewały wszystkie głosy:

— Najsłodsza ze wszystkich!

— Wydaję więc wyrok! Wobec wzgardy, z jaką kochanka przedtem odtrącała nieszczęsnego, krzywdy, jaka go pchnęła na dziwną drogę żywota, wobec mocy miłowania i kochanka wierności, jakiej nigdy małżonek nie dochował, nie okazał i okazać nie może — kochanek pozostać musi w zamku!

— Kochanek pozostać musi w zamku!

Hrabia zacisnął wargi.

— Małżonek nie ma prawa kochankowi wstrętów czynić, ni mocy nie ma zmienić wyrok trybunału dam, trybunału miłości!

Don Rora twarz pokryła się bladością. Aljenora zamknąwszy oczy, uśmiech na ustach miała — szczęsna. Trybunał zaś mierzył się wzrokiem z Rajmondem.

Hrabia pochylił głowę, bezsilny.

— — — — — — — — — — — — —

Minęło lato. Pewnego dnia, o zmierzchu spuszczono most zwodzony. Przewlókł się po nim cień jakowyś i na drogę poszedł, co z zamku wiodła gdzieś do grodu, gdzieś w świat. Na wieży zamkowej wiatr poruszał pukle włosów bardzo pięknej Aljenory. Stała cudna, jak niebo, a oparciem jej było małżonka ramię. Oczy jej ujrzały, jak ów cień przystanął i długo, długo w stronę zamku spoglądał, a potem zwróciły się jaśniejące ku Rajmondowi.

Powiedziała Aljenora:

— Nie ustawałam w miłowaniu małżonka mego. Coś było i minęło. Chwila nowa i krótka.

A hrabia Rajmond omal. iż nie zaszlochał z radości. Znagła pierś Aljenory uniosła się westchnieniem. Więc drgnął hrabia i niepokojem zdławion odnowa, spytał:

— Żałość-li czujesz?

— Dobrze, że poszedł. Odpychał mnie brzydotą, Rajmondzie drogi — i nudami poił. Nudami swego miłowania. Czemuż małpą nie został? — mówiły piękne usta.

Cień don Rora znikł w owej chwili woddali.

— — — — — — — — — — — — —

— Otóż takie są kobiety! Zawsze jednakie od początku świata! — zawołał Raul. I po raz pierwszy od wielu dni zaniósł się serdecznym śmiechem.

Rafał podniósł oczy z nad książki i spotkał rozbawiony wzrok Raula, oraz spokojem tchnące rysy Maliny.

— Nasza robota, mój drogi. Powiedz zatem teraz, czy przesądziłem, twierdząc, iż w wielu wypadkach stoimy poza mądrością XII wieku? Któraż z kobiet dzisiejszych mówiłaby wszem i wobec, jak owa Marja hrabina Szampańska, iż: causa coniugis non est ab amore excusatio

recta? Który mąż jawnie, wobec wszystkich uległby jak ów hrabia Rajmond i na pobyt kochanka zezwolił w swym domu? Mężczyźni nazwaliby go rogalem, idjotą, a własna żona gardziłaby nim w duszy. Co do mnie, mam głęboki podziw dla tego gentlemana z zamierzchłych wieków Ostatecznie mógł don Rora wypędzić, mimo wyrok trybunału dam, ba! zabić nawet i niktby mu nic nie zrobił. A kobieta dopiero wtedy poczęłaby szaleć z miłości i tęsknoty. Czy nie lepsze takie rozwiązanie? Jak sądzisz?

— Jesteś zwolennikiem trójkątów? — zapytał Raul, zły nieco, ukradkiem obserwując Malinę.

— Nie — zaprzeczył doktor, którego bystrości spojrzenie to nie uszło. — Uważam jednak, że gdybyśmy regułom miłości, które głoszono w owym wieku, pozwolili rozwijać się nadal, nastąpiłby z pewnością przewrót i ideałem kobiety byłby nie kochanek, ale mąż. Sami wykopaliśmy sobie grób. I wyznaję, że żałuję często, że poznałem to przecudne grono tak późno. Gdybym historję o Aljenorze i Rajmondzie znał przed dwudziestu laty, nie miałbym dziś samotnej starości.

— Dajże pokój... — szepnęli równocześnie prawie Raul i Malina.

Rafał wstał i ścisnął im dłonie.

— Późno już. Dobrej wam życzę nocy. Daruję wam tę książkę, abyście nie zapomnieli tak prędko o moich bohaterach.

Malina odprowadziła go do schodów. Nie zamienili z sobą ani jednego słowa. W jakimś momencie schyliła się i usta jej dotknęły się jego ręki, która zimna była i drżała.

Gdy wróciła do sypialni, Raul pogwizdywał jakąś piosenkę. Nagle przywołał ją, przyciągnął ku sobie i pokrywając pocałunkami, rzekł, patrząc jej głęboko w oczy:

— Ale ty mnie nigdy nie zdradzisz? Nigdy? Mów, bo cię rozszarpię!

— Nigdy, Raulu!

— Słuchaj: Nie jestem zazdrosny, gdybym ci się jednak znudził kiedyś, powiesz mi to — tak? Powiesz, Malino? Tak przecież najlepiej.

— Dobrze, powiem ci, tylko...

— Tylko? — syknął prawie, cisnąc ją do bólu.

— Tylko, że to nigdy nie nastąpi, najmilszy.

Lwów, w maju 1920.

Konieczne spotkanie.

ROZDZIAŁ I.

W KTÓRYM RALF DONOSI BRATU O SWYCH ZAMIARACH.

Kochany Henryku!

Wróciłem do domu o świcie z zabawy i zbudziłem się około szóstej wieczorem, właśnie, gdy przyniesiono mi Twój list. Czytałem go kilkakrotnie, gdyż treść jego podziałała na mnie wprost niesłychanie! Leży on w tej chwili przede mną na biurku, jak gdybym upewnić się chciał, iż istotnie go otrzymałem i oto pod jego wpływem odpisuję Ci natychmiast.

Tak dawno nie miałeś żadnej wieści ode mnie, mój Henryku! Daruj mi to długie milczenie i przyjm tę odpowiedź jako skruchę, z tem przeświadczeniem, iż spowiedź, zawarta w niej, jest tak szczera, jak szczere jest pragnienie Twoje zdobycia dla mnie szczęścia.

Niezwykła jest historja Twoja i żałuję tylko, że dotąd nieznana mi była, mnie, który sądziłem, że życie mego młodszego brata nie ma dla mnie tajemnic. Nadzwyczajnie to zrobiłeś! I jakie to jasne wszystko! Jakie zrozumiałe! Twoja i żony Twojej postać zjawia się obecnie przede mną w innem zupełnie oświetleniu, na czyn twój patrzę jak na żywy obraz, napełniający mnie podziwem. Chciałbym już być razem z wami, patrzeć w wasze oczy i tam, w ich głębi widzieć tę piękną, wspólną waszą tajemnicę, słyszeć

wasze głosy i wyławiać z nich te dźwięki, którymi nawoływaliście się w owych epokowych dla was dniach i którymi dotarliście do siebie. Oryginalność twego przeżycia orzeźwiła mnie momentalnie; jakże rozraduje rozmowa z wami!

Gdybyż coś, co jest niezwykłe i dziwne, zdarzyło się i w mojem życiu! Gdybyż! Coś, czego nie mogę przewidzieć, a co stać się może rozkoszną niespodzianką lada moment! Wtedy wartoby dać całego siebie, swoją wolność, wszystko!

Różnica jednak między nami polega na tem, iż ty zdobyłeś się na odwagę, by uczynić coś dla swego szczęścia, ja zaś nie miałem jej dotychczas widocznie, a co za tem idzie, ani szczęścia do szczęścia. A to jest, zdaje się, jedyny warunek.

Bo posłuchaj tylko!

Nie mając lat dwudziestu czterech, postanowiłem się ożenić. Panienka była ładna, mówiła potoczyście o wszystkiem i każda suknia leżała na niej bajecznie. W wieku, w którym się znajdowałem, oczywista! ceniłem to wszystko nadzwyczajnie, mimo, iż bywałem niekiedy marzycielem. Gdy znajomość nasza stawała się zażylsza, zauważyłem, że moja przyszła małżonka, idąc ze mną ulicą, ma dziwny zwyczaj mówienia o każdej kobiecie: wstrętna! albo: jaka stara! lub też: patrz! malowana! Uwagi owe, odsłaniające w tak nieprzyzwoity sposób brak miłości bliźniego zaniepokoiły mnie jednak, mnie, który tak niedawno obcowałem z Antygoną, czy Ifigenją!

— Zdaje mi się, że oczy cię mylą! — ośmieliłem się zauważyć.

— Ja się nigdy nie mylę! — brzmiała odpowiedz słodkiej dzieweczki mojej.

Mimo to postanowiłem się oświadczyć. Szliśmy razem do parku, przytuleni do siebie. Jesteśmy jak Hero i Leander — myślałem zachwycony. I będziemy jak Filemon

i Baucis! — śpiewało mi w duszy, gdyż pewny byłem, że kochać ją będę całe życie. Wtem, gdy szeptałem jej rozkochane słowa do ucha, ujrzałem dziwny uśmiech na jej ustach.

— Najdroższa? — spytałem, świata nie widząc za nią.

— Popatrz! — usłyszałem szept.

Zdziwiony, poszedłem w kierunku jej wzroku, by przekonać się, co w takiej chwili poza mną zajmować ją może.

O kilka kroków przed nami szła jakaś młoda dama, której z pod sukni, w pośpiechu widocznie zapiętej, wyzierały różne części garderoby.

— Zwróć jej uwagę — rzekłem bez namysłu.

— Poco? — uniosła ramiona tym ruchem, który tak lubiłem. — To takie pocieszne!

I śmiała się cichutko, widząc, iż przechodnie odwracają się i również uśmiechają. Potem pociągnęła mnie szybko w głąb, ale — wyznaję — przeląkłem się tej poprzedniej wesołości i choć czułem ją prawie na rękach smukłą i uroczą, porównanie mitologiczne i oświadczyny nie wydobyły się już na moje wargi Przestałem bywać u owej panienki, choć miałem pewność, iż będzie z niej najlepsza matka, która nie omieszka dzieciom swym siebie postawić jako przykład.

Po kilku latach, niewiadomo dlaczego, znowu zapragnąłem małżeństwa. Twierdzę „niewiadomo dlaczego" — gdyż w tym czasie, poświęcając swe życie kobietom, mogłem oznaczyć z kalendarzem w jednej, a z zegarkiem w drugiej ręce godzinę z minutami, w której każda z nich rozwinie swą indywidualność w mych ramionach. Być może, iż przerażała mnie także myśl, że żyjąc dotąd ustawicznie kochaniem, nie kochałem jednak nikogo, prócz samej pani miłości. Moja wybrana zjawiła się przede mną

wytworna, na tle swego wytwornego mieszkania. Byłem nią zachwycony. Traf zrządził, że dzień przed oświadczynami odwiedziliśmy Helenę. Pamiętasz tę naszą kuzynkę. która, wyrwana siłą swej woli z pęt rodziny, zdobywała każdy sprzęt własną pracą. Nie widziałem jej, mimo to, nigdy zadąsanej, ani zachmurzonej

— Prawda, jak u niej miło, pogodnie? — spytałem, gdyśmy wyszli.

Wybrana spojrzała na mnie, nie kryjąc zakłopotania.

— Nie potrafiłabym tak żyć! Byłabym bardzo nieszczęśliwa.

— Nieszczęśliwa? — powtórzyłem zdziwiony.

— Muszę mieć w życiu komfort, zbytek, wykwint. To jest życie! I wtedy żyć warto!

Myśląc nieco o komforcie duszy, spytałem ją:

— Ty się zapewne nudzisz, gdy jesteś sama tylko z sobą?

Ponieważ spojrzała na mnie jak gdybym mówił przez sen, zmieniłem temat rozmowy, a przed domem pożegnałem ją uroczyście. I przeszedłem nad tym epizodem do porządku życiowego, który odtąd był niezamącony. I cóż straciłem, mój drogi? Wyostrzyłem wzrok i nikt nie miał prawa do mego mieszkania Co zaś do tej samotności, to daruj, ale żonaci mężczyźni dziecinnieją zbyt często. Nie wiedzą, ile uroku posiada zazwyczaj ta samotność wolnego mężczyzny, właśnie wtedy, gdy przychodzą do niej kobiety, które o pewnej porze muszą być z powrotem w swoim domu.

A zatem i ty wiesz teraz wszystko! Tak było, Henryku! Sparzywszy się dwa razy, potem już nawet na zimne nie zbierała mnie ochota dmuchać. A jednak, wyznaję, list twój zamącił ten dawny spokój. Żyje więc we mnie ten przesąd, iż dobrze jest mieć obok siebie w wędrówce życia istotę płci odmiennej! Ale jest jednocześnie

i było zawsze pragnienie, by zdobyć ją inaczej, najzupełniej inaczej, niż wszyscy dookoła mnie. Może jest w tem coś z tej trwogi, która opadała rycerzy średniowiecznych, przygód szukających, by nie „zależeć pola“. Bo to niezwykłe zdobycie, to przecież ten raj, do którego możemy umknąć, gdy pod szlafmycą myśli nasze, porywy, fantazje poczynają pleśnieć. To i z Twoich zwierzeń przebija, z Twoich nadzwyczajnych, cudnem szaleństwem tchnących zwierzeń, a jednak tak mądrych, tak logicznych! One wywołały we mnie dawną chęć przygód. Słuchaj Henryku — rzucę się na falę przypadku! Niech mnie niesie! Pójdę szukać, łakomie szukać tej jedynej twarzy, któraby odrazu, od pierwszego spotkania oczu, rozwiośniła moje serce! Nie zerwę dachów, by zajrzeć do ludzkich „wnętrz“, lecz wejdę poprostu przez bramę. To prościej i bezpieczniej! Wykonam ten plan dziś, zaraz po napisaniu tego listu. Uczynię to w ten sposób, iż ogarnę całe miasto, a więc pójdę w jego wschodnią i zachodnią stronę, następnie na południe i na północ. Wejdę do jakiejś kamienicy, w jednej z ulic i przeszukam ją od parteru, aż na najwyższe piętro. Jakikolwiek jednak byłby wynik mej eskapady, za trzy dni przyjeżdżam do was na święta. Gdyby zaś ścigała mnie fatalność — oddaję się w Twe ręce. Rób Ty ze mną potem, co zechcesz i postanowisz. Trzy dni przede mną! Cudne, okropne trzy dni! Idę już! Bądź zdrów! Ucałuj Ludwikę! W chwili, gdy list ten czytać będziesz — może spojrzę już szczęściu w oczy — może!

Twój Ralf.

ROZDZIAŁ II.

W KTÓRYM RALF SZUKA, CZEGO NIE ZGUBIŁ.

Ciemniało, gdy Ralf znalazł się na ulicy. Podążył do gmachu pocztowego i wysłał list do brata. Raźnym, sprężystym krokiem szedł ku miastu, w jego wschodnią dziel-

nicę. Popatrzył na zegarek. Była siódma. Odliczył trzecią ulicę i poszedł lewą stroną chodnika, zatrzymując się przed kamienicą, opatrzoną numerem trzecim. W niektórych oknach było już światło. Wszedł szybko. Na parterze było tylko jedno mieszkanie. Zadzwonił. Zamknął oczy, kładąc palec na guziku elektrycznym.

Gdy podniósł powieki, stała przed nim w otwartych drzwiach jakaś kobieta. Mogła należeć do służby, mogła być panią domu. Oczy miała jakby nabrzmiałe płaczu. Z głębi mieszkania dolatywał stłumiony gwar głosów.

— Przepraszam, chciałbym widzieć się z panem...

I powtórzył nazwisko, które przeczytał przed minutą na bilecie wizytowym.

Kobieta drgnęła i zmierzyła go dziwnym wzrokiem.

— Z panem? — odparła — Przecież pana pochowali dziś o czwartej po południu.

Przeprosił, bąknął coś, że przyjechał przed godziną właśnie i wyleciał z kamienicy, zły na siebie i na nieznanego nieboszczyka.

Nie był zabobonny, lecz w tej dzielnicy zaniechał poszukiwan, jak gdyby się lękał, iż w następnej kamienicy powiedzą mu, że umarła pani, ta pani przeznaczona dla niego od lat.

Droga ku południowej części miasta szła przez jasne, szerokie ulice, po których snuły się gromady eleganckich przechodniów. Oczy jego biegły chciwie od twarzy do twarzy przechodzących kobiet. Wpadał po drodze do cukierń, kawiarń, do restauracyj, był chwilę w teatrze, niespokojnie, gorączkowo szukając tej twarzy nieznanej, któraby przykuła momentalnie jego uwagę, błąkał się po nich wzrokiem, jak po lesie — jednak napróżno!

Dalej! Dalej!

Gdyby ktoś zatrzymał go w tej chwili, umknąłby bez odpowiedzi.

Dzielnica południowa, mieszcząca w sobie dużo pięk-

nych gmachów, była już cała oświetlona. Pomysł swoj zmienił o tyle, iż w trzeciej ulicy odliczył ósmą kamienicę i wyszedł na trzecie piętro. Z za drzwi do których zadzwonił, doleciał go śmiech. Ten śmiech umilkł natychmiast, gdy zabrzmiał dzwonek. Przez szarpnięte gwałtownie drzwi wyszedł jakiś mężczyzna. Z za wysoko postawionego kołnierza nie było prawie widać twarzy. Oczy Ralfa szybkie, pożądliwe ujrzały twarz młodej pani, która uspokoiła się na jego widok.

— Przepraszam czy...

Pani, wysoka, piękna blondyna, patrzyła na niego pytającym, a jednocześnie złym wzrokiem.

— Chciałem w ważnej sprawie.. przyjechałem przed chwilą, mam list... — mówił Ralf, również zły.

— Męża mego niema w domu!

— Zatem zgłoszę się jutro przed południem.

— Proszę bardzo!

Drzwi poleciały za nim z łoskotem, który zupełnie jawnie zdradzał wściekłość pięknej pani.

Zwiedził drugie i pierwsze piętro. Na jednem gnieździła się właścicielka mód, drugie zajmowała jakaś aktorka. Wszedł do salonu, do którego pokojowa wskazała mu drogę i po chwili ujrzał przed sobą ładną twarz i duże, wyraziste oczy, pod któremi leżały głębokie cienie.

Rozradował się prawie. Skomponował jakąś wymówkę, wypił filiżankę herbaty i wpatrywał się w siedzącą naprzeciw postać kobiecą z żywem zainteresowaniem. Kiedy jednak poczęła do niego po chwili mówić głosem Julji Capuletti (co zresztą mogło być dowodem, iż jest nim zachwycona), zapewnił ją, że nigdy o niej nie zapomni, że jutro wobec tego odwiedzi ją znowu — i wyszedł smutny, jakby zgarbiony.

Był jeszcze w kilku kamienicach, wziąwszy w rachubę i skromniejsze w wyglądzie Otwierały mu drzwi jakieś kobiety w nieokreślonym wieku, złe, opryskliwe, to

znów młode i uprzejme. Były i znękane, które niedawno widocznie wróciły z pracy, były inne, wystraszone, ledwo drzwi uchylające, smutne, samotne, patrzące długo za nim. Dzwonił kilkakrotnie do mieszkań, których nikt nie otwierał. Zaglądał do mieszkań, gdzie na jego dzwonek milkła kłótnia, ucichały dzieci, spotykał się z mężczyznami, mierzącymi go nieufnym wzrokiem.

Szukał...

Doszedł do północnej dzielnicy, błąkając się po ulicach, wahający, znużony. Nad nim płonęły okna.

Stał przed jakąś kamienicą. Wszedł, nie patrząc na numer. Odebrał kilka odpowiedzi, nie ujrzawszy nikogo, choć mignęły mu same piękne twarze. Tu i ówdzie sługus burknął, że „niema nikogo".

Rozejrzał się w klatce schodowej. Wolnym krokiem dążył na trzecie piętro. Zadzwonił. Ale za drzwiami była cisza. Zły, zadzwonił po raz wtóry. Stał, wsparłszy się oburącz na lasce, z pochyloną głową, z oczyma wbitemi w szare płyty.

— Pan dzwonił — odezwał się jakiś głos.

Był tak zamyślony, że nie słyszał otwierających się drzwi.

— Tak, ja.

Podniósł leniwie oczy. Drgnął. Objął stojącą przed nim kobietę w okamgnieniu całą spojrzeniem. Zdjął kapelusz.

— Przepraszam panią — tu mieszkają moi przyjaciele — i ja... — czy mógłbym się z nimi zobaczyć?

— Pańscy przyjaciele wyjechali wczoraj wieczorem.

— O! — to dziwne, to bardzo dziwne. Musieli widocznie przyśpieszyć swą podróż, bo jeszcze przedwczoraj zapewnił mnie pan Rudolf, że zobaczymy się przed wyjazdem.

— Zapewne zapomniał.

— A ja mam tu u niego ważny skrypt. Całą moją pracę musiałbym wstrzymać.

Patrzyła na niego bystremi, trochę chmurnemi oczyma.

— Obiecał, że go zostawi — to znaczy, nie zamierzał go wziąć z sobą... to jest, nie sądził, że się rozminiemy. Może na biurku... — z pewnością na biurku zostawił.

Cień jakiś przemknął po twarzy kobiety.

— Dziwię się w takim razie, że nic mi nie powiedział.

— Możliwe, iż w pośpiechu. Oczywiście, proszę pani — w pośpiechu zapomniał. Rozumiem, pani się lęka. O tej porze wizyta nieznanego człowieka, który może być międzynarodowym opryszkiem. Zapewniam jednak panią, że byłaby to klęska dla mnie, gdybym musiał odejść od tych drzwi... z niczem.

Patrzyła na niego bez przerwy. Było coś widocznie w jego głosie, gdy wymawiał ostatnie słowa, co ją przekonało.

Cofnęła się.

— Proszę wejść więc i poszukać.

Odetchnął. Zdjął palto i wszedł za nią do pokoju. W tej chwili wbiegł służący z głębi, tłumacząc, że nie słyszał dzwonka, gdyż był na dole, u dozorcy. Nieznajoma przemówiła coś do niego stłumionym głosem. Zdawało mu się, iż słyszy słowa: bądź w pobliżu!

— Proszę pana! — wskazała Ralfowi biurko, stojąc opodal.

Ralf przerzucił kilka książek na owem biurku i znów zwrócił się do nieznajomej.

— Panią dziwi może, iż nie przedstawiłem się. Jestem tak znużony temi ciągłemi formami towarzyskiemi, śród których żyć muszę. Pani chyba nie czuje się dotknięta?

Przez jej twarz przeleciał uśmiech, zmieniając ją zupełnie, tak, iż patrzył chciwemi źrenicami, gdyby na niezwykłe zjawisko.

— Bynajmniej! Zresztą, wszak mógł je pan zmyśleć, to nazwisko, zwłaszcza, że na tak krótką chwilę potrzebne.

— Na krótką chwilę? Tego pani przewidzieć nie może!

— Czy pan zamierza w takim razie szukać skryptu dłużej, niż długo? — odparła chłodno.

Widział jej szybki, obserwujący wzrok.

— Niema go! A zresztą nie szukałem go wcale. Przyznaję. Proszę mi wybaczyć, rzekł szybko, widząc jej ruch, proszę wybaczyć, że tak wtargnąłem tutaj! Popełniłem nietakt, wiem, ale chciałem, musiałem panią widzieć.

Wzruszyła ramionami.

— Co za niezręczne kłamstwo! Przyjechałam przedwczoraj po raz pierwszy wogóle do tego miasta i z domu, zaofiarowanego mi właśnie przez przyjaciół pana, zanim jakieś locum dla siebie znajdę, — z tego domu jeszcze nie wychodziłam. Skądżeby więc pan mógł mnie znać?

— Czyż jednem słowem bodaj twierdziłem, że panią znam, że panią kiedyś widziałem?

— W takim razie...

Jej wielkie, ciemne oczy spojrzały na niego ze zdziwieniem.

— A jednak szukałem pani, dążyłem do tego, aby panią zobaczyć, aby panią spotkać, choć pojęcia nie miałem, jak pani wygląda, ani gdzie pani szukać. Ale tak, tylko tak wyobrażałem sobie panią. Cienia kłamstwa niema w tem, co mówię. Jeśli jednak pani każe mi odejść... odejdę!

Chwycił ją spojrzeniem, gdyby kleszczami, cofając się jednocześnie ku drzwiom. Mocowali się tak długi czas.

Wahając się jeszcze, rzekła, choć już nieco wyniośle:

— Ciekawam, czy pan jest dziwak, czy nieszkodliwy szaleniec? Może więc pan wytłómaczy mi swe postępowanie.

— Dziękuję pani! Jakże się bałem, że pani każe mi odejść!

Patrzyła na jego bladą twarz, na drgające ledwo widocznie powieki.

— I dlatego te podstępy, pełne fantazji?

— Tak!

A po chwili znowu:

— Poznałem panią! Zdołałem panią poznać, choć już zupełnie zwątpiłem.

Nieufność ukazała się znowu na jej rysach.

— Poco ta tajemniczość? Czy pan sądzi, że ja pójdę na lep tych słów?

Usiedli.

— Żadna tajemniczość! Zdaje się, że w życiu bywa często tak, iż pragniemy poznać ludzi, których jeszcze nie znamy. Pragnieniem tem nawiedzeni zazwyczaj mężczyźni, niezawsze bywają szczęśliwi.

Nieznajoma uśmiechnęła się ironicznie.

— My znamy zazwyczaj za dużo kobiet, a jednak zawsze o jedną za mało, jak ktoś powiedział, aby zaznać szczęścia. To mnie tutaj przywiodło. Od kilku godzin błąkam się po świecie, bo wszyscy ludzie...

— Przepraszam, pan chciał może powiedzieć: wszystkie kobiety?

— A więc dobrze... bo wszystkie kobiety, które znam, są dla mnie obce, a tak pragnąłem zobaczyć jakąś obcą, którąby mi stała się bliska.

— I pan wyobraża sobie — że — ja właśnie...

Nie odrywał od niej oczu.

— Pan jest zbyt szybki w swych sądach!

— Po tylu próbach i doświadczeniach?

— Czy to znaczy także, iż pan i do innych domów dostawał się w podobny sposób, jak do tego mieszkania?

— Tak, proszę pani. Sposób dziwny, niepraktyko-

wany, wiem. Szukałem, dzwoniłem i... — zostało mi otworzone.

Zaśmiała się.

— I jakże bywało?

— Różnie! Byłem pewny, że wrócę samotny.

— A gdyby tak było?

— Być może, iż jutro rozpocząłbym nową wędrówkę i nie znalazł pani. Bo przecież nie wracałbym do tych samych drzwi, rzecz prosta.

Niewidzialne drżenie przeleciało go i przeskoczyło na nią.

— Więc ci rzekomi przyjaciele pana...

— Pierwszy raz w życiu przeczytałem ich nazwisko na bilecie. Czy ono jest równocześnie..?

— Nie! To dalecy moi krewni. Wyjechali właśnie na święta.

— Jak to dobrze, że nie znam nazwiska pani! Nie mamy zatem żadnych wzajemnych długów.

— I lohengrinowską metodą nic o sobie wiedzieć nie będziemy,

Oczy jej zabłysły, zanim zdołała zapanować nad niemi. A potem wrócił dawny ironiczny wyraz ust. Ruchem, świadczącym o rytmie w jej postaci, zwróciła się do Ralfa.

— Owszem, zgadzam się, mimo, iż jest to podjazd na spokojnej drodze.

— Nie — tylko to jedno, że jesteśmy ludźmi — którzy... ciążą ku sobie. Kiedy tu wszedłem, nie wiedziałem, czy pani jest ładna, czy brzydka. Wiedziałem tylko, że twarz pani zwróciłaby moją uwagę w tysiącznym tłumie i że za tą jedną twarzą poszedłbym. Teraz, im dłużej patrzę na panią, jestem prawie pewny, że należy pani do ogromnie rzadkiego typu ludzkiego, który nie przypomina obrazów.

— Cóż to znów za dziwactwo?

— Żadne dziwactwo! Przecież obrazy i ludzie zyskują, gdy patrzymy tylko z odległości.

— Panie! Panie! Pan mnie zna dopiero od pół godziny.

— Pani darzy mnie nieufnością. Jestem jednak tak uradowany obecną chwilą, że mnie to zmartwić nie może. Dziwiłbym się nawet może, gdyby było inaczej. A przecież mówię prawdę, tylko prawdę. Wiem, że jest pani tą jedyną osobą, której, cokolwiek się stanie, nigdy nie zapomnę, nie zdołam zapomnieć. Czuję, że będę kochał panią do szaleństwa, że mogę panią tak kochać, a to jest jeszcze ważniejsze.

Odwróciła oczy, więc nie mógł widzieć ich wyrazu. Po chwili odparła chłodnym tonem:

— Skoro to panu sprawia przyjemność...

— Jestem szczęśliwy, że świadomość ta pozwala mi odczuwać przyjemność. Niezawsze tak bywa. Niezawsze tak bywało w życiu mojem. Zdaje się, że frazes: „Kocham, bo kocham“ — nie został wymyślony dla mnie.

— Czy pan mi nic ważniejszego nie ma do powiedzenia?

Uśmiechnął się po raz pierwszy, lecz zaraz spoważniał.

— Owszem, nie powiedziałem pani rzeczy najważniejszej, o której pani, mimo naszą lohengrinowską umowę, wiedzieć musi.

Widział, że przez oczy jej przeleciał jakiś błysk.

Milczenie zapadło na chwilę.

— Przed pół rokiem wyszedłem z więzienia.

Rzuciła się wstecz, na poręcz krzesła. Brwi jej zbiegły się. Chciała coś powiedzieć, lecz po namyśle słuchała dalej.

— Tak zręcznie rzecz przeprowadziłem, że nie mogli udowodnić mi winy. Pani powiem prawdę. Tak, sprzeniewierzyłem dużą część powierzonych mi pieniędzy.

Widząc pytające spojrzenie, dodał:

— W banku, w którym zajmowałem ważne stanowisko, stała się ta przykra sprawa. Działałem w zaślepieniu, w szale. Choć trybunał uwolnił mnie — cień pozostał na mej osobie. Jestem obecnie pozbawiony posady. Chcę wrócić jednak do ludzi, do świata, do życia. Chcę pracować, chcę wymazać plamę, naprawić zło...

Patrzyła na niego tak badawczo, że czynił wysiłki, by nie odwrócić oczu.

— Chcę! Żałuję! Cierpię! Ale ludzie nie widzą, nie patrzą w moją duszę...

Zapalał się, mówiąc. Szczerość była w jego głosie.

— I cóż pan chce uczynić?

— Pani mogłaby mi dopomódz.

— Ja?...

— Nikt, prócz pani!

Twarz młodej kobiety, zwrócona ku niemu, była w pełnem świetle, lecz mimo wytężony wzrok, nic z niej wyczytać nie mógł. Widział tylko ten ruch poprzedni, który mógł być wyrazem lęku lub obrzydzenia. Powieki jej tylko czasem drgnęły. Czasem leżały przez kilka sekund na oczach.

— Jestem w mocy pani teraz, mimo, iż pani nie zna mego nazwiska. Może mnie pani zniszczyć, może mnie pani wydobyć z bagna.

— Pan sobie tak to wykombinował?

— Nie, proszę pani; to jest pomoc zupełnie zrozumiała i istotna.

— Więc niech pan powie!

Słowa brzmiały oschle, niemal surowo.

— Pani chciałaby... doprawdy?...

— Jeśli prawdą jest to, co pan mówi, to w takim razie dziwię się, że pan się... dziwi.

— Chodzę od owej pory zawsze sam. Nikt nie zbliża się do mnie, ja zaś tyle dumy mam w sobie, że narzucać

się nie chcę. Obecność kobiety takiej, jak pani, w mojem towarzystwie, mogłaby mnie zrehabilitować w oczach ludzkich, oddać społeczeństwu. Wiara jednego choćby człowieka we mnie — mogłaby mi wrócić wiarę innych. To jest pewne. Oto — wszystko.

Zapadła cisza. Siedzieli oboje ze spuszczonemi oczyma. Kiedy podniosła głowę, ujrzała twarz jego jakby boleśnie skurczoną Nie był jednak pewny, gdy po chwili i on wzniósł oczy, ezy pobladła doprawdy, czy był to tylko jedynie odcień zielonawej frendzli u lampy.

Wstał — jak gdyby zamierzał się pożegnać.

Wstała również.

— Jeżeli pan może przyjść jutro około szóstej — rzekła spokojnie, powolnym głosem, nie patrząc na niego — wyszlibyśmy razem. Wybór miejsca pozostawiam panu. Spacer zatem, czy lokal publiczny — obojętne.

Skłonił się. Słowa uwięzły mu w gardle.

A ona dodała jeszcze tym swoim spokojnym, nawpół ironicznym sposobem mówienia:

— Chciałabym tylko, aby pan wierzył, że nie Lohengrinowi daję moją pomoc, mimo, że ten... Lohengrin poszedłby za mną w tysięcznym tłumie.

I wyciągnęła rękę ku niemu.

Schylił się, by ją ucałować i dlatego nie widział, że w oczach jej zapaliło się jakieś światło, które zgasło, gdy podniósł głowę.

Kiedy nazajutrz wieczorem, Ralf, siedząc z nieznajomą w najwspanialszej samotni śród tłumu w cukierni, zrozumiał, że nadeszła chwila pożegnania, rzekł z lękiem:

— Wyjeżdżam na tydzień do braterstwa.

— Na święta! — uśmiechnęła się. — I ja wyjeżdżam do znajomych.

— Kiedy zobaczę panią?

— Wrócę, więc się spotkamy. Nie cofam przecież

dalszej mej pomocy, — dodała szybko, widząc jakąś nieufność w jego wzroku.

— Gdzież panią znaleźć, skoro pani zamierza zmienić mieszkanie?

— A jak pan mnie znalazł przedwczoraj?

— Nie chciałbym zgubić — znalazłszy.

Śmiejąc się, wzruszyła ramionami.

— Znajdziemy się! Los przecież łaskawy — dla pana!

— Tak, ale nie wolno nadużywać łaskawości losu. Nie chcę adresu, pragnę mieć jakiś punkt tylko, o który mógłbym zaczepić mój niepokój. W tak dużem mieście łatwo się nie znaleźć.

— Pan łamie umowę!

— Nie było mowy o tem, abyśmy nie wiedzieli, czy i kiedy się spotkamy.

— Kto pragnie przygód, nie pragnie choćby odrobiny pewności, mój rycerzu!

— Jednak muszę ją mieć! Koniecznie! — rzucił niecierpliwie.

— Więc dobrze! Zróbmy to tak: gdybyśmy się nie spotkali w mieście przez trzy tygodnie, licząc od dnia dzisiejszego, proszę zgłosić się do moich przyjaciół do mieszkania, w którem mnie pan znalazł. Dadzą panu mój adres. Zadowolony?

Usiłował się uśmiechnąć. Pożegnali się, nie odzywając się już więcej do siebie.

ROZDZIAŁ III.

W KTÓRYM RALF DOWIADUJE SIĘ, JAK SZUKAŁ JEGO PRAOJCIEC.

Nie śpiesząc się, wszedł Ralf do wagonu. Przeszedł cały kurytarzyk, znalazł pusty przedział i zajął go, zamykając drzwi za sobą. Zaciągnął firanki, złożył walizę na siatce i wszył się w kąt wagonu.

Pociąg syczał, gwizdał, skrzypiał, zapewniając jakoby tymi głosami, że zaraz ruszy. Istotnie po chwili ozwał się przeciągły gwizd, a jednocześnie za drzwiami przedziału powstał jakiś ruch. Klucz zgrzytnął w zamku.

— Tu jest wolne miejsce — zapewniał konduktor, bez ceremonji usuwając firanki. Ralf usłyszał następnie głos kobiecy i zerwał się z miejsca.

— To pani! — zawołał bez tchu.

— Niestety! — odrzekła, witając się, niemniej zdziwiona. — Widzę, że pan marzył o drzemce, zamykając się bez skrupułów przed pasażerami.

Nie słyszał słów. Patrzył na nią.

— Jak to się stało? — rzekł jak senny.

— Zupełnie prosto! Mówiłam panu przecież, że wyjeżdżam. Nie przeczuwaliśmy tylko, że o tej samej porze i tym samym pociągiem. I cóż warte są wszelkie umowy, proszę pana?

Wpadł w doskonały humor.

— Oczywiście, że nic nie warte! Wobec tego jedziemy teraz gdzieś w świat — przed siebie — czy tak?

— Może pan znowu pragnie zaspokojenia ciekawości?

— Nie! Nie! „Nie wolno pytać zdradą ni podstępem", lecz nie wolno — drwić.

Siedzieli naprzeciw siebie, a ponieważ oczy ich, w zupełnej niezależności od głosu, poczynały wieść rozmowę, więc zamilkli na moment, by mogły wypowiedzieć się swobodnie.

Lecz nieznajoma już znowu miała swój ironiczny uśmieszek na ustach.

— Patrząc na pana, pomyślećby można, iż tak wyglądają triumfatorzy.

— Jakto? — spytał, zmieszany cokolwiek.

— Powiada pan z pewnością w duchu: Zwyciężyłem na całej linji! Szukałem, znalazłem i... znowu znachodzę!

— Tak — lecz i cóż więcej? — potrząsnął głową prawie ze smutkiem.

— Szukać — to znaczy, myśleć o sobie. Szukać, by uszczęśliwić, to byłoby coś warte!

— Nie mogłem działać lepiej, niż to uczyniłem — odparł nieco posępnie. — Czuję to.

Zmrużyła oczy i twarz jej nabrała filuternego wyrazu, którego jeszcze nie znał.

— Dla siebie — być może.

— Rozczarowałem panią?

— Rzeczywiście, rycerzu! Bo jakież to byłoby piękne, gdyby pan nie przyszedł nazajutrz, lecz, jak prawdziwy rycerz, zniknął gdzieś wdali; gdybym mogła o panu śnić, tęsknić za panem, wyglądać każdej chwili, czy się pan zjawi wreszcie. To byłaby baśń prawdziwa! Szukałabym pana wszędzie, śledziła każdy cień, otaczała osobę pana kultem niezwykłym i któż wie? — może nawet płakałabym w samotności, aby wybłagać choć jedną sekundę widzenia. Jedno pana ratuje: Przyszedł pan, mówiąc: pomóż!

— To jedno tylko?

— Tak! Bo tak powinno być! Nikt tak nie umie zatracać cudowności, jak wy, opętani żądzą wygody, nikt, tylko wy ściągacie wszystko na ziemię pod wpływem waszego gadulstwa. To też wam zawdzięczamy, żeśmy utracili raj.

— Biblja mówi coś zupełnie przeciwnego.

— Ach, proszę pana! Historja o Ewie i Adamie została przez mężczyznę sfałszowana.

Słuchał, uszom nie wierząc.

— Sfałszowana? — powtórzył i zaśmiał się.

— Kilkakrotnie w życiu miałam sposobność przekonać się, ile prawdy jest w tem, co mówię. Jest to zasługą jednej z kobiet w naszej rodzinie, która napisała historję o Ewie i Adamie. Nie wiem, czy autorka tej historji była szczęśliwa, wiem tylko, że nosiła ją zawsze z sobą, jako

talizman. Kartki dała oprawić w kość słoniową, jak książkę do nabożeństwa i ta książka od szeregu lat przechowywana jest w rodzinie. W ten sposób otrzymała ją moja matka — obecnie jest w mojem posiadaniu.

— Pokaże mi ją pani kiedyś? — spytał chwytając sposobność.

— Mam ją zawsze przy sobie. Ochroniła mnie już nieraz w życiu i dodała sił, więc nic dziwnego, że się z nią nie rozstaję.

Wyjęła w istocie z torebki małą, wąską, ślicznie w rzeźbioną kość słoniową oprawną książeczkę. Otworzyła ją kluczykiem, który wisiał na złotym łańcuszku.

Ujrzał litery, malowane przedziwnie pendzelkiem, jak ongiś manuskrypty, powstałe w klasztornej celi.

Zaciekawiony, wziął ją do rąk i odczytał na pierwszej karcie:

„Ktokolwiek jesteście, siostry moje dalekie i nieznane, obecne i przyszłe, wiedzcie, iż oszukano was. Utajona, apokryficzna spoczywa wielka przeszłość wasza w każdem słowie historji o stworzeniu świata, kędy mowa o matce rodu, o Hewie. Adamowie wszystkich wieków źle ją tłumaczą, a wy, o Hewy łatwowierne, oddalone tysiącami lat od rajskich wypadków, uśpione lubystkami Adamowego wyrobu, nie wierzycie, iż mogło być inaczej, nie wierzycie tak bardzo, iż wiele pośród was powiada, iż to nawet nieprzyzwoicie, gdy niejedne z sióstr waszych łamią historji tej treść i nakaz. I miast ocknąć, stajemy się wzajem wrogami, nie wierzącymi w tę przeszłość, gdy tymczasem wszystko w tej historji wskazuje, że w jej tylko ręku, t. j. Hewy, ulubienicy boskiej, była władza i mądrość i wolność, którą podstępem zdobył Adam. Dla was ją piszę.“

— Czy mógłbym ją przeczytać? — poprosił z żywem zainteresowaniem. — Radbym wiedzieć, czy rzeczywiście zasługujemy na tytuł fałszerzy i uzurpatorów.

Odebrała z uśmieszkiem swój talizman i schowała do torebki. Potem spojrzała na zegarek.

— Czasu mamy jeszcze dość. Opowiem ją więc panu. Umiem ją napamięć — czytając od tylu lat. Usłyszy pan zatem po raz pierwszy, jaka była, jest i będzie zawsze:

— — — — — — — — — — — — —

PRAWDZIWA HISTORJA O HEWIE I ADAMIE.

Onego dnia, gdy dokonane zostały niebo i ziemia, ujrzał Bóg, iż ziemia piękna jest i zwierzęta na niej są piękne. Wówczas postanowił stworzyć coś jeszcze piękniejszego i ulepił z gliny na wzór i podobieństwo Swoje — Adama.

Osadził go w najrozkoszniejszem miejscu na ziemi, w raju. Gdy mu się przyjrzał Bóg, który dotąd widział, iż dobre jest, cokolwiek stworzył, dostrzegł z niezadowoleniem wiele błędów w budowie. Zawyrokował jednak, że to przecież pierwszy, a więc próbny okaz i uczynił pauzę w tworzeniu, dla nabrania tchu. Tymczasem obserwował Adama z wyżyn niebieskich. Adam gryzł i łamał wszystko, czego się tknął, chlubił swą siłą przed lwem i jaguarem, nie ustępując im w niczem. Czynił to także przed pośledniejszego gatunku zwierzętami, gdyż walka, a raj — to było jedno dla niego.

Nie podobało się to Panu Bogu i spytał go:

— Co ty robisz, Adamie?

Zaś Adam wytrzeszczył oczy:

— Jakto, co robię, Panie Boże? Wczoraj cały dzień walczyłem ze słoniem i tygrysem, dziś spałem, a teraz będę jadł. I Ty, Boże, pytasz się, co ja robię?

— Czyż nic innego w raju nie zaciekawia cię, nie pociąga, nie kusi? — pytał Bóg.

— A cóżby? — odrzekł Adam.

— Myślałem, że gospodarzyć tu będziesz!

— Owszem, chciałbym! — błysnął Adam zębami

w uśmiechu i muskuły ukazał. — Ale Ty, Boże, powiedziałeś, że w raju nie wolno zabijać, więc jakże mi gospodarzyć, gdy zabijać nie wolno?

Po tem powiedzeniu, Bóg stropił się nie na żarty.

— Materjał był nieszczególny, z którego powstał — powiedział archaniołom, zaś oni poradzili:

— Czekajmy!

I zapytał Bóg węża, którego wśród zwierząt największym obdarzył rozumem:

— Czy widziałeś Adama?

Wąż miał wówczas jeszcze skrzydła i mieszkał na wierzchołku drzewa wiadomości. Zaszumiał więc temi skrzydłami na powitanie i odparł, skłaniając głowę:

— Nie był tu u mnie!

A rzekł to, smutny będąc, gdyż bolała go ta obojętność pierwszego człowieka.

Lecz Adam nie marnował czasu. Po tem, co Bóg mu powiedział, wziął raj w posiadanie i zwiedzał go. Zaraz podczas pierwszej wędrówki znalazł jakąś nadobną córę goryla i stroić z nią razem począł w liście i kwiaty swą kryjówkę. Mówił jej właśnie, iż przeszukał mozolnie cały raj, by ją znaleźć, a gorylówna wierzyła jego słowom.

Lecz niedługo to trwało, bo oto pewnego dnia Adam wyszedł na dalsze poszukiwania i ujrzał... Lilith. Krzyk radosny Adama na jej widok przeraził wszystkie zwierzęta.

— Zwiedziłem cały raj, aby cię znaleźć — mówił Adam, nie wiedząc nawet, że mówi nieprawdę. — O Lilith, któż jest piękniejszy od ciebie? Ciebie tylko brak było w raju!

Lilith była mądrzejsza od poprzedniej towarzyszki Adama, jednak uwierzyła w te słowa, bo takiej mowie trudno się oprzeć wszelakiemu stworzeniu.

Widział to wszystko Pan Bóg i pomyślał:

— Adam wpadł w nienajlepsze towarzystwo. Trzeba go ratować!

Po długim namyśle wziął się Bóg do pracy. Każdy szczegół, każdą linję miał obmyśloną, nie powtarzając już błędów. I już nie z samej gliny, ale z żebra Adamowego i z gliny powstał nowy twór — Hewa. Gdy stanęła w raju przed Bogiem i całem rajskiem towarzystwem, uśmiechnął się Bóg, albowiem widział, iż stworzył śliczny poemat, jak to później powiedzieli znawcy i poeci. A choćby nawet nie był pewny, czy Hewa jest arcydziełem, powiedziałby mu to ryk i szloch wszystkich samic, z których żadna tak szczodrze nie została obdarowana, jak niewiasta. Bóg zatarł ręce z radości i wraz z aniołami patrzył, co się stanie.

Hewa rozejrzała się dookoła i widząc szczyt wspaniałego, najwyższego drzewa, a na niem dziwną skrzydlatą istotę, pobiegła czemprędzej ujrzeć ją bliżej.

— Ktoś ty jest i co tu robisz? — było pierwsze jej pytanie.

Wąż zaszumiał skrzydłami uradowan, po raz pierwszy słysząc głos ludzki i rzekł:

— Wąż jestem, mądrością także zwan i Bóg poruczył mi opiekę nad drzewem wiadomości, by zeń zwierzęta owoców nie zrywały. Czego chcesz Hewo ode mnie?

— Pragnę wiedzieć, kto jestem i skąd się tu wzięłam. Czy raj znajdował się przede mną, czyli powstał dopiero jako i ja? Czy będę w nim zawsze?

— O Hewo — odpowiedział wąż, którego dotąd bolała obojętność Adama — wytłumaczę ci wszystko, skoro wiedzieć pragniesz. Jesteś pierwszym człowiekiem, który zadaje pytanie mnie, stróżowi wiadomości wszelakiej i znalazłaś się tu z woli boskiej. Rajem zowie się miejsce, w którem się znajdujesz, lecz rajem stało się, odkąd ty w niem przebywasz. Czy będziesz w nim jednak zawsze — to już od ciebie zależy. Nikt, prócz ciebie samej, nie wygna cię z raju.

— Nie zapomnę o tem!

— A jeśli pragniesz wiedzieć więcej jeszcze, zjedz owoc z drzewa, którego pilnuję. Zjedz, lecz pamiętaj, by gniewu bożego nie ściągać, iż pysznić ci się tem nie wolno przed żadnem stworzeniem na ziemi, bo to wszystko bracia i siostry twoje. Tak rzekł Pan, a kto powie inaczej, znieważa Go! Nie zapomnij o tem!

— Pragnę! — odrzekła Hewa i wyciągnęła ręce po owoc.

Tak rozpoczęła się pierwsza rozmowa od stworzenia świata między wężem, którego Bóg największym obdarzył rozumem, a człowiekiem, którym była Hewa.

I stało się, iż Bóg, widząc drugi twór swój piękniejszy i mędrszy niż pierwszy, władzę wszelką w raju i nad rodem ludzkim, który miał w nim powstać, oddał Hewie. Wszystko dookoła było na jej skinienie, a raj patrzył na nią z dumą.

Adam w tym czasie wykrzykiwał hymn radosny na cześć Lilith, a potem borykał się ze słoniem. Po niedługim czasie porzucił jednak Lilith i znów niezadowolony włóczył się po Edenie, a wówczas zwierzęta i ptaki poczęły go pytać, czy widział Hewę.

— Hewę? — zaśmiał się Adam. — A cóż to takiego?

— Człowiek, jako i ty — odpowiedziały zwierzęta.

Adam skoczył, zapieniony z gniewu.

— To kłamstwo! Tu ja tylko jestem człowiekiem!

Cały raj wybuchnął śmiechem, a wtedy nagle nadeszła Hewa. Na jej widok Adam zdumiał i porwał zaraz wielką gałąź, widząc jednak, że ona nie zamyśla wcale się z nim zmierzyć, wyciągnął ręce i chwycił ją za ramiona. Uczuł, że są gładkie w dotknięciu i krągłe, więc wrzasnął coś wesoło i począł ją ciągnąć do swej kryjówki.

— Czekaj! — broniła się Hewa. — Czekajże! Przemów do mnie! Daj popatrzeć na siebie!

— Szkoda czasu! — burknął Adam.

— Nie pytasz nawet, czy ja pragnę być z tobą?!

— To wszystko jedno! Pan Bóg stworzył cię dla mnie i koniec!

— Chyba i ciebie dla mnie w takim razie!

— O nie! Widać, że niedługo jesteś w raju, skoro nie wiesz, że Pan wszystko stworzył tu jedynie dla mnie. Spytaj zresztą Pana Boga!

— Panie! Boże mój! — wołała Hewa — czy Adam mówi prawdę?

— Hewo, dlaczego obrażasz Stwórcę, wierząc słowom Adama? — rozległ się głos boży.

— Wiedzże więc, żeś się zbytnio chwalił — roześmiała się matka rodu ludzkiego i teraz dopiero weszli do kryjówki, gdzie Adam zapewnił Hewę, że jest najpiękniejsza, że przeszukał cały raj, by ją właśnie znaleźć. Tylko, gdy Hewa zapytała go, czy czekał na nią od początku świata, zakłopotał się i odparł, iż spyta Pana Boga.

— Ale jesteś moja i jesteś do mnie podobna! — wołał z pychą. — Moja niewiasta! Od dziś mój towarzysz, mój przyjaciel!

Nazajutrz Adam w pysznym humorze poszedł swoim zwyczajem między lwy i jaguary, Hewa zaś pośpieszyła do węża.

— Spotkałam istotę, podobną do mnie, człowieka! A przecież, jaki on inny! Krzyczy i dusi, jak lew, a zarozumiały, gdyby paw. Poradź, co czynić, aby go zmienić, gdyż nie mogę się z nim porozumieć.

— Zostaw go! Niech będzie nadal, jako lew i jako paw!

— O wężu! Nie mów tak! Chcę, by stał się inny. Mówiłeś, że Bóg dla człowieka stworzył owoce drzewa, którego strzeżesz. Pozwól nasycić się niemi Adamowi, jako i mnie pozwoliłeś.

— Nie rób tego — ostrzegał mądry wychowawca

Hewy. — Narazić się możesz Bogu. Skąd li wiedzieć możesz, czy Adam pragnie odmiany, skoro tu dotąd nie przyszedł? Czy będzie inny, gdy przejrzy? I jaki będzie?

Lecz napróżno mówił wąż.

I przywiodła Hewa Adama do drzewa wiadomości i z rąk jej wziął Adam owoc jego.

Otworzyły się oczy jego i ujrzał świat. Rozpoznał węża i usłyszał głos jego.

Gdy spostrzegł, że oboje są nadzy, popadł w okropny gniew.

— To ty nago po raju chodzisz? Skryj się zaraz — krzyknął na Hewę — skryj!

— Ależ... dlaczego?

— Może cię zobaczyć który z aniołów.

— A cóż w tem złego?

— Nie odzywaj stę, tylko rób co ci każę! Skryjmy się, mówię ci!

Ledwie znaleźli się pod namiotem z liści, rozległ się głos Boga:

— Adamie! gdzie jesteś?

— Ładnie mnie urządziłaś! — krzyknął Adam. — Teraz muszę się tłumaczyć przed Bogiem.

— Bo i pocóż się kryłeś? Bóg jest zdziwiony. Nigdy tego przed Nim nie czyniłam.

— Ech! bo i co ty wiesz! — brzmiała lekceważąca odpowiedź.

Adam znał wraz z całym rajem zakaz boży, lecz nie rozmawiając nigdy z wężem, nie wiedział o prawach człowieka. Bał się więc i choć wstyd mu było przed Hewą, lekko począł się trząść przed karą.

— Wyjdźmy — radziła Hewa. — Nie rozumiem, dlaczego ty się boisz! Czyżbyś nie wierzył w Boga?

— Wolę odpowiadać z ukrycia.

A Bóg zawołał w tej chwili po raz wtóry:

— Adamie, dlaczego kryjesz się przede mną, Bogiem twoim?

Wtedy Adam, zapominając, że nazwał Hewę swą niewiastą, towarzyszem, przyjacielem, zawołał na cały raj głosem, jakim następnie wołali uczniacy:

— To nie ja, Panie Boże, to nie ja! To Hewa, ta niewiasta, którą stworzyłeś, zerwała owoc z drzewa wiadomości i dała mi go, abym zjadł. Jabym tego nie zrobił, Panie Boże!

Piorun oburzenia bożego, wywołany słowami Adama, zagrzmiał nad światem. Adam, nie rozumiejąc jego znaczenia, odsunął się od Hewy i padł na kolana.

— Wiedz — mówił Bóg — że Hewie wolno czynić w raju, jako jej wola. A ty — żali tak czyni mąż niewieście, przyjaciel przyjacielowi — jako ty uczyniłeś? Wynijdziesz przeto z raju, wynijdziesz precz, na tułaczkę! — wołał Pan.

— Z Hewą? — nieśmiało podniósł głowę Adam i przysunął się do niewiasty.

— Adamie! A cóżeś uczynił, by Hewa raj dla ciebie opuścić miała? Hewa pozostanie tutaj!

Zapadła cisza, gdy odszedł od nich Pan. Znękany, zbolały, odepchnięty przez Stwórcę, przywlókł się Adam do Hewy.

— Pomóż! — wyrwał się jęk z jego piersi. — Nie chcę zostać sam, bez ciebie! Daruj! Nie daj mi zginąć!

Lecz Hewa milczała i tylko czasem spadały z jej oczu gdyby krople rosy, o których nie wiedziała jeszcze, że są to łzy — albowiem płakała po raz pierwszy.

A gdy nadszedł dzień, stanęli u bram raju archaniołowie z mieczami ognistymi, by wygnać Adama.

Jakież było jednak ich zdziwienie, gdy ujrzeli, iż wraz z nim idzie Hewa.

I skłoniwszy przed nią swe płomieniste miecze, rzekli:

— O Hewo! azaż nie powiedział Pan, że zostaniesz z nami w raju?

— O Hewo! co czynisz? — zawołał wąż i zatrwożony, skrzydłami zaszumiał posępnie na pożegnanie.

— Idę na wygnanie z Adamem, bo przecież rzekł Bóg, że wola moja czynić, jako chcę!

— Władzy się wyrzekasz? Raju?

— Nie mogę zostawić go samego!

— A wiesz-li, co uczyni Adam z tobą poza rajem? Uważ iż tam rozpocznie się jego panowanie.

Hewa chciała coś odpowiedzieć, Adam wszelako szarpnął ją za rękę i syknął:

— Nie pozwalam ci rozmawiać z wężem!

Zaś Bóg, patrząc ze swego tronu z dumą na Hewę, rzekł do węża:

— Wynijdź za nimi! Będziesz pełzał po ziemi, aby nie zapomniała o krzywdzie, jaką Adam wyrządził jej i rodowi ludzkiemu. A gdy zbyt wielce zapanuje nad nią siła mężczyzny, zjaw się przed nią, by zrozumiała, iż posłannictwem jej jest dokończyć dzieła mego: ulepszyć Adama. Wówczas bowiem znajdzie drogę powrotną do raju i dla siebie i dla Adama. I wówczas także skrzydła twoje znowu wyrosną!

. . . .

O Hewo! Kiedyż zaszumią z powrotem skrzydła wężowe?

ROZDZIAŁ IV.

W KTÓRYM RALF ZNAJDUJE, CZEGO SIĘ NIE SPODZIEWAŁ.

Pociąg gnał przed siebie, przystawał i znów pędził dalej. Nieznajoma milczała, śledząc na twarzy Ralfa wrażenie opowiedzianej historji.

— Pani mnie potępia? — zapytał Ralf półgłosem.

— Skądżeby? Chciałam panu tylko opowiedzieć, jaką to chęcią awanturek pałał już pierwszy mężczyzna.

— Dziwna jest jednak ta Ewa, opisana przez prababkę pani! Nie wymówiła ani razu słowa: kocham!

— Hewa dopiero poza rajem dowiedziała, się o frazesach, przedtem widocznie znała tylko czyn.

— Czy pani dostrzega coś złego w tem, iż ja szukałem właśnie takiej — Ewy? Praojciec mój zataił swe poprzednie znajomości, ja wyznaję szczerze przed panią, że w życiu mojem przesunęła się galerja kobiet i dlatego dziś rozumiem, jaka może być radość w chwili prawdziwego znalezienia.

Usta jej wygięły się drwiąco.

— Zdaje mi się, że myśli pana wybiegają za daleko.

— A pani chce koniecznie podkreślić, że chciała dźwignąć mnie, jedynie jako człowiek — człowieka?

— Tak! — odparła po chwili milczenia.

— A gdybym ja, zaczął powoli — gdybym ja był inny, gdyby historja o mojem uwięzieniu i hańbie była zmyślona?

Drgnęła. Fala krwi zabarwiła w okamgnieniu jej twarz, spływając aż na szyję.

— Pan mnie podszedł?

Nie odpowiedział. Prosił oczyma o słowo dobre.

— Dlaczego pan to zrobił, dlaczego? — zniecierpliwiła się.

— Powiedziałem to pani zaraz pierwszego wieczoru. Dążyłem do pani i, jak już wspomniałem, chciałem mieć pewność, czy pani jest istotnie tą Ewą z raju, znającą nietylko frazes. Myślałem: jeśli pani dla obcego tyle zrobić może, ileż serca, duszy dałaby pani temu, który stałby się...

Urwał.

— I drugi jeszcze jest powód, dla którego postąpiłem tak, jak postąpiłem — mówił po chwili dalej. Widzi pani,

nietrudno zrobić coś dla bohatera, odprowadzając go na szafot, na wygnanie, pod szubienicę, czy mur więzienny, jako takiego. A kobiety zawsze do takich tylko się garną, bo wiedzą że blask może lub musi spłynąć i na nie. Niechże mu jednak powinie się noga, — a już ich niema! Nie wymawiają więcej jego imienia, odrzucają nazwisko, jeśli je im zostawił. Otóż nie o blask idzie, proszę pani, ale o cień potępieńczy, o ten cień, dźwigany wspólnie. Można przecież i tak zrozumieć historję pani, prawda?

Zamknęła oczy. Krew spłynęła już z twarzy.

— Owszem! — odparła jakimś ciemnym głosem. — Tylko w takim razie powinien pan wiedzieć, że Adam na czyn Ewy nie odpowiedział dotąd czynem, bohaterstwem na bohaterstwo. Następstwem jest ciągłe nieporozumienie. Następstwem jest także fakt, że istnieje nowa Ewa, nowego Adama jednak niema. Dlatego tak trudno znaleźć drogę powrotną do raju.

— O, nietylko dlatego! Chociaż jest już, jak pani powiada, nowa Ewa, jednak nieufność gra dużą rolę, nawet wówczas, jeśli tu i ówdzie znajdzie się jakiś inny Adam, któryby gotów był uczynić wszystko. Musi on zdobyć wprzód tę pewność, czy ma przed sobą rzeczywiście człowieka płci żeńskiej — czy tylko kobietę.

— Pan rozdziela te pojęcia? — spytała szyderczo.

— Rozdzielam, proszę pani. I mogę dać dowód, że znajdują się śród nas typy nienajgorsze. Muszę w tym celu podzielić się z panią tajemnicą, która przyniosła mi szczęście.

— Jakich wielkich słów pan używa!

— W tym przypadku — chyba tylko za małych!

— Przypomina mi pan w tej chwili moją przyjaciółkę, zapewniającą mnie zawsze, iż jest w jej życiu jakaś tajemnicza rzecz, która stała się jej szczęściem. Jednak, ile razy prosiłam, by mi ją powierzyła, ociągała się. Mówiła: kiedyś, później, w odpowiednim momencie...

— Chciałbym ją znać, tę przyjaciółkę pani.

— Zamężna, proszę pana!

— O! chciałem przez to powiedzieć, że i ona musi być inna, skoro jest przyjaciółką pani.

— Ale pan zapomina o tajemnicy — rzekła wymijająco.

Przyszła kolej na niego uśmiechnąć się.

— Widzę, że pani pragnie ją poznać. A ja... ja się nie ociągam.

To mówiąc, wyjął kopertę z listem.

— List? — zdziwiła się.

— List od mego brata. Dostałem go w dniu, w którym panią poznałem. Odtąd nie rozstaję się z nim. On tchnął we mnie nową odwagę, nowe życie. Dlatego też chcę, muszę — nie! powinienem nawet przeczytać to pani, mimo, iż dotykam tajemnych, powierzonych mi spraw. A potem... potem pomyśli pani może, wobec tego, iż starszego brata pani już zna, że jesteśmy rodziną oryginałów, ale — powtarzam, w każdym razie z tych, którzy szukają — powrotnej drogi do raju.

— Zaciekawia mnie pan!

— Osądzi pani sama. Jeszcze jedno tylko: przebacza mi pani mój podstęp? Bo w tej opowieści prawdą jest tylko to, że w banku, o którym mówiłem pani, zajmuję posadę dyrektora

Szybkim ruchem zamknęła uszy dłońmi.

— Ładny Lohengrin z pana! Mówi pan, niepytany

Uradowany, spojrzał jej w oczy.

— Czyżby list zaciekawiał panią więcej, niż...

— Oczywiście! Niechże go pan czyta wreszcie!

Posłuszny, wyjął list z koperty.

— Mógłbym, podobnie jak pani, dać tytuł tej historji. Wie pani — to byłoby nieźle! Tak! Koniecznie! Szkoda, że prababka pani słyszeć jej nie może! Będą to bowiem:

— — — — — — — — — — — — —

KŁOPOTY DOJRZEWAJĄCEGO ADAMA.

Drogi mój Bracie!

Niech cię nie przeraża ten poważny nagłówek, mój drogi. Nie idzie o podpis na wekslu, ani o ułatwienie schadzki w twem mieszkaniu, jak to dawniej bywało. Zmieniłem się — ot co! Nie mówiłem, jak to się stało — ale dziś — wiesz, trzeba mój kochany, trzeba ci to wyjawić. Rok mija właśnie, gdy wyjechałeś od nas po świętach. Oczarowałeś kilka mężatek i wszyscy, prócz mnie, no wszyscy byli pewni, że jesteś najszczęśliwszy z ludzi. Być może, iż miałbym to przekonanie, ale zdołałem pochwycić raz twój wzrok, wiesz, kiedy Ludwika po jakimś spóźnionym powrocie z sąsiedniej wsi — podczas burzy — wybiegła mnie witać. No, mój drogi, ludzie szczęśliwi nigdy takim wzrokiem na szczęśliwych nie patrzą. Ho! ho! domyślam się, że wolisz samotność, choćby męczącą, niż kobietę, którą nauczyliśmy kłamać. Chcę ci właśnie powiedzieć, że i ja miałem podobne wątpliwości i w jaki sposób one zniknęły.

Sześć lat upłynęło od owej pory. Karnawał jeszcze się nie skończył i ja dojeżdżałem stale ze wsi do miasta. W tym czasie jeden z moich przyjaciół zapoznał mnie ze swą rodziną, u której spędzała ów karnawał ich krewna, panna Ludwika. Znałem ją z zabaw, lecz nie zwracałem na nią zbytniej uwagi. Moi znajomi twierdzili, że nie umie dobrze tańczyć w lewo, co w ich ustach brzmiało, jak gdyby to była wada charakteru. Podczas jednego z wieczorów w tym domu, weszliśmy po walcu do buduaru i czy to pod wpływem różowego oświetlenia, czy ambicji, by nie pomyślała, żem idjota, czy poprostu z przyzwyczajenia, objąłem ją przez piersi i przycisnąłem do siebie. Nie odtrąciła mnie. Popatrzyła tylko na mnie, uważasz? — tak dziwnie, że momentalnie zwolniłem ją z uścisku.

— Przepraszam panią — powiadam do niej — nie wiedziałem, że pani gra rolę purytanki przede mną.

Strzepnęła coś z sukni. Nie wiem — może ślad mojej ręki.

— Nigdy w życiu! — zaśmiała się. — Wiem, że uścisk to coś bardzo, a bardzo miłego, tylko nie wolno z niego robić dowcipu. Pan za dużo, zdaje się, dowcipkował i... dowcipkuje.

Ukłoniła się z przesadną grzecznością i zostawiła mnie samego.

Byłem wściekły! Byłem wściekły na nią i na siebie. Wyszedłem natychmiast, nie żegnając się z nikim. Dowcipkowałem! Czułem, że wypowiedziała prawdę, jak nikt dotąd i... byłem jeszcze bardziej wściekły. Cóż ci powiem? Musiałem ją widocznie pokochać tego samego wieczora. Rozpoczęła się między nami głucha walka Chciałem ją odszukać w niej samej, lecz jak to zrobić, skoro „dobrem wychowaniem" jest tak opancerzona, że znając ją doskonale, właściwie nie znam jej wcale.

Oświadczyłem się i — zostałem przyjęty. Zacząłem się wtedy trapić myślami, iż poprzedni fakt to był zapewne tylko zręczny manewr, pułapka, jak to bywa zwyczajnie. Byłem znowu wściekły! Ostatecznie nie jestem potworem i posiadam majątek najlepiej zagospodarowany w całej okolicy. Może będę kochany dla tej policy, która, na wypadek mej śmierci... i t. d.

Więc postawiłem wszystko na jedną kartę. Karnawał dobiegł końca i moja narzeczona postanowiła wrócić do rodziców. W przeddzień jej wyjazdu pożegnaliśmy się w gronie znajomych. Ubolewałem, że nie będę jej mógł odprowadzić, gdyż bardzo pilne sprawy wzywają mnie właśnie jutro w inne strony. Wyjechałem w istocie, ale końmi do jednego z miasteczek. Była to trzecia stacja, przez którą szedł pociąg z Ludwiką Nazajutrz czekałem, jak w febrze. Pociąg zajechał, stał przepisaną liczbę minut

i odjechał. Wreszcie, wreszcie ujrzałem przed dworcem Ludwikę, zakłopotaną, a obok niej Piotra. Mój leśniczy tłumaczył jej coś, prawdopodobnie wedle instrukcji. Wyszedłem z za muru i zbliżyłem się do nich.

— Pan tutaj? — zawołała zdziwiona, ale widziałem, że i uradowana.

— Musiałem przyjechać niespodzianie do notarjusza. Ale co się stało? — pytam, witając się.

— Proszę sobie wyobrazić — wyszłam z wagonu z moim towarzyszem podróży do restauracji kolejowej, a pociąg umknął tymczasem.

— To ja namówiłem panią — wtrąca niewinnie mój leśniczy, składając mi ukłon, jak obcemu.

— Dowiedzieliśmy się, że następny idzie dopiero około wieczora. Co tu robić?

— Nie denerwować się przedewszystkiem. Pokażę pani miasto i okolicę. Przejedziemy się, dobrze? Są tu moje konie.

Pojechaliśmy, żywo rozmawiając. Po jakiejś chwili jednak umilkła. Szybkość jazdy, znajoma okolica, którą wracaliśmy do wsi, zbudziły widocznie w niej podejrzenia. Pamiętam każde słowo, które wówczas padło.

— Dokąd my tak pędzimy? — spytała.

— Do mnie! — odparłem, nie chcąc jej dłużej okłamywać.

— Do pana? Co to znaczy?

Uniosła się. Spojrzała na mnie badawczo. Potem rzuciła się do drzwiczek. Chwyciliśmy ją za ręce. Konie rwały, jak opętane.

— Pan chce mnie... pan śmiał!...

— Zwracam uwagę, że krzyczeć nie warto. Jesteśmy w pustem polu. A zresztą, w przeciwnym razie, ważę się na wszystko i nikt głosu pani nie usłyszy.

— Dawno pana przejrzałam!

— Tem lepiej! Zatem zbyteczne, bym mówił, że zostanie pani u mnie, jak długo zechcę.

— Cóż to, porwanie? Pan sądzi, że to się ukryje?

— Ukryje!

— Dziś jeszcze wrócę do pociągu!

— Nie wróci pani! Napisze pani list do rodziców, że po drodze zabrali panią do siebie na nieokreślony czas znajomi. Specjalny posłaniec pojedzie z tym listem.

— Nie napiszę! Pan mnie zmuszać nie może!

Znowu rzuciła się ku szybie powozu. Całą siłą panowałem nad sobą, by jej nie uspokoić. Nagle ucichła. Popatrzyła na mnie. Czułem, że zmienia taktykę.

— Panie Henryku! — szepnęła prosząco.

Zwróciłem się natychmiast ku niej.

— Dlaczego pan to zrobił? Niech pan powie. Co to za pomysł?

— Pamięta pani naszą pierwszą rozmowę? Chcę panią przekonać, że nie dowcipkuję więcej

— Ale pan mnie dziś jeszcze odwiezie z powrotem?

— Nie, tego nie zrobię!

Rozbudzona czujność była w jej spojrzeniu, w całej postaci. Wtuliła się w kąt powozu i nie odzywała się więcej do mnie.

W pewnym momencie zawołała:

— Moje rzeczy! Trzeba zatelegrafować na stację!

— Jadą za nami! W tym czasie, gdy pani była w restauracji, mój chłopak wziął rzeczy z wagonu.

Warto było widzieć jej zdziwienie.

A ja wtedy:

— Tak, proszę pani, wszystko obmyśliłem do ostatecznego szczegółu.

Gdyśmy zajechali przed leśniczówkę, widziałem, jak badawczo patrzyła dookoła. Pokój, który przeznaczyłem dla niej, urządzony był prymitywnie. Zostawiłem ją samą.

Ledwo wszystko ucichło pod wieczór, próbowała uciec. Za progiem zaraz spotkała Piotra, przed domem czuwałem ja. W ciągu nocy zmieniliśmy posterunki. Słyszałem, siedząc niedaleko drzwi, że płacze. Myślałem, że oszaleję, ale nie ruszyłem się z miejsca. Potem wszystko ucichło. Widocznie zmęczenie przemogło i usnęła.

— Czy zdobędę ją? Czy zdobędę? — myślałem ustawicznie.

Gdy na drugi dzień, około południa, wszedłem do jej pokoju, drżała z oburzenia. Musisz wiedzieć, że w nocy kazałem zabrać jej suknie, torbę podróżną, a zostawić starą spodnicę, bluzę i buciki Piotrowej. Chciałem ją widzieć bez akcesorjów elegancji. Nie była zupełnie zeszpecona, więc choć syknęła, żem podły, wyłuszczyłem jej moje powody i oświadczyłem, iż wieczorem otrzyma swą torbę podróżną, by znów mogła się uczesać, upudrować i t. d., że jednak suknie zatrzymam.

Natychmiast bryznęła mi w oczy pytaniem, jak długo zamyślam ją więzić, czy to jest postępowanie człowieka, który rzekomo kocha?

Wtedy wybuchnąłem:

— Uprowadziłem cię, tak — bo cię kocham, bo myślałem, że odpłacając mi tem samem uczuciem, ucieszysz się, że możemy być wreszcie razem! A ty liczysz, obmyślasz, zastanawiasz się! Nie żądam, byś powiększyła moje dochody, abyś umeblowała mój dom, nie pytam czyś kochała kogo przede mną, czyś należała już do kogoś. Wiem, że cię kocham i nic mnie poza tobą nie obchodzi! Pragnę — mam prawo pragnąć — aby było odwrotnie!

A ona do mnie, zdziwiona:

— Ależ jest tak, Henryku...

— Nie! Nie jest tak! — krzyknąłem prawie, bo już byłem w pasji. — Gdybyś mnie kochała, nie żądałabyś formy, pewności, tylko mnie, mnie samego! Nie chcę być

kochany, gdy tobie i mnie pozwolą na to pewnego dnia, o pewnej godzinie, kiedy nas pewne grono osób zapisze do uroczystej księgi — nie chcę! Mówisz, że kochasz! Kochaj! Na co czekasz? Daj dowód, że chcesz być moją, a nie panią tego domu! Bądź raz chociaż sobą! Bądź szczerą!

Ludwika spojrzała na mnie lękliwie, jakby zmieszana.

— Mówisz niezrozumiale, Henryku, nie wiem doprawdy, co się z tobą dzieje...

Daję ci słowo, że omal nie rozpłakałem się wowczas, dlatego, że słowa moje były dla niej niezrozumiałe.

— Dobrze więc, oprę się zatem na twoich zapewnieniach miłości, kochana moja narzeczono! Tu, w tym skromnym pokoju będziesz mieszkała, w tych starych sukniach chodzić będziesz. Nie trzeba ci innych, bo dla mnie i w nich jesteś piękna i najdroższa. Tu zostaniesz, choćby miał być skandal, choćby cię mieli odtrącić rodzice, choćbyś się lękała, że cię potem porzucę. Nie zapewnię ci przyszłości, nie będziesz moją spadkobierczynią. Daję ci tem dowód, że wierzę w twoją miłość.

Wybiegłem z pokoju, gdyż byłem u kresu sił.

Otoczyłem ją najczulszą opieką, byliśmy godzinami całemi razem, poznawałem ją dopiero teraz i widziałem, jakie wrażenie czynią na niej moje słowa. Nie zbliżyłem się jednak serdeczniej, nie dotknąłem nawet ręki, choć chwytałem czasem jej zdziwiony wzrok.

Od owej rozmowy nie ponawiała prób ucieczki. Po kilku dniach przyniosła mi list do swych rodziców. Co się wówczas ze mną działo, łatwo się domyślisz. Ale nie zmieniłem postępowania.

Myślałem tylko: Czyżby moja kobieta najsłodsza naprawdę zbliżyła się ku mnie? O krok chociaż? Codzień o krok!

Znowu upłynęło kilka dni. Raz, wieczorem, siedziałem jakiś smutny, zgnębiony. Spytała, co mi jest.

— Walczyłem za długo. Jutro zwrócę ci twoje rzeczy i jeśli chcesz odwiezie cię Piotr do domu.

Ludwika zbladła.

— Nie chcesz mnie? — powiedziała tak cicho, że domyśliłem się raczej, niż usłyszałem.

Czułem, że i ja blednieję.

— Byłaś szczera cały ten czas. Dziękuję ci więc, że nie chcesz mnie nadal okłamywać.

Odwróciłem głowę, by nie widziała, jak mi twarz drga. Ludwika przytuliła policzek do mojej ręki.

— Nie będę twoją spadkobierczynią, nie chcę twego nazwiska — zostanę, choćby miał być skandal, choćby mnie odtrącili wszyscy. Porzuć potem — tylko nie odtrącaj... teraz — nie odtrącaj...

Porwałem ją na ręce. Mówiłem coś do niej, ale nie pamiętam, co mówiłem. Pierwszy raz w życiu poznałem wreszcie szczęście. Nazajutrz wyjechaliśmy do rodziców.

Widzisz zatem —

— Pan nie kończy?

Zakłopotanie ukazało się na twarzy Ralfa.

— Ach! bo tu jest znowu taki dziwny pomysł mojego brata...

— Nie chce pan podzielić się nim ze mną?

— Ma pani słuszność, skoro wtajemniczyłem panią w jego życie, mogę i dalsze karty odsłonić. Zgóry jednak zaznaczam, że się z nim co do owego pomysłu już nie godzę, właściwie — nigdy nie godziłem — — — — — — — — — — — — — — — — —

...Widzisz zatem, że zdarza się czasem, iż kobiety, zamiast tabliczki mnożenia, mają serce. Być może, iż bę-

dziesz miał sposobność poznać u nas na świętach taką istotę. Jest to serdeczna przyjaciółka Ludwiki i wyobraź sobie: już w młodości obie plany układały, by w niecodzienny sposób znaleźć swych mężów. Chcieliśmy Cię nawet prosić, byś ją odwiózł do nas, gdyż pisała, że najpewniej przyjedzie Ale nie znamy jej adresu, bo niedawno dopiero otrzymała posadę w stolicy w jednem z tamtejszych gimnazjów Przeczuwam, iż żona moja coś nie coś musiała jej donieść o Tobie, bo Alicja Irena w jednym z listów odpisała złośliwie, iż nie wierzy w męską oryginalność. O bytności twej na świętach nie pisaliśmy jednak Alicji i sądzę, że tak dobrze. Do widzenia zatem, drogi Ralfie!

Twój Henryk.

— — — — — — — — — — — — —

Towarzyszka Ralfa wstała nagle i opadła z powrotem na poduszki wagonu.

— Jak pan powiedział? Alicja Irena?

— Tak, Alicja Irena.

Spojrzał na list.

— Najwyraźniej — Alicja Irena. Czy pani zna tę osobę?

— Nie! — odparła lodowato.

Torebka wypadła jej z rąk. Podniósł ją szybko i spojrzał na nią, zaniepokojony tym tonem.

— Dlatego pan ukrywał tak starannie powód swej jazdy do brata. Teraz rozumiem!

— Ależ zapewniam panią...

— Poco ta komedja?

— Mogę nie poznać Alicji Ireny, jeśli pani na tem zależy. Czy... czy doprawdy zależy pani na tem?

— Bardzo! — odrzekła głosem, który go przejął radością.

— Nienawidzę jej już teraz! Jest to z pewnością zarozumiała, nieznośna panna, która nie rozumie dwuznacz-

nych dowcipów, a w ciemnym pokoju da z sobą zrobić, co zechcą.

— Pysznie pan to powiedział. I z pewnością nie myli się pan!

Wtem wszedł konduktor i wywołał najbliższą stację.

Ralf wzdrygnął się.

— Tu wysiadam! — rzekł prawie z jękiem.

Wstał.

— Muszę już pożegnać panią. Za tydzień — prawda? Za tydzień zobaczymy się?

— A jeśli Alicja Irena przecież ujarzmi pana?

Rzucił się niecierpliwie.

— Chyba pani sama w to nie wierzy!

— Dlaczegożby nie? Skoro brat tak bardzo pragnie ożenić pana...

Nie zwracając uwagi na słowa, wziął jej ręce i przytulił do nich usta. Wysunęła łagodnie jedną dłoń i sięgnęła po swoje walizy.

— Niech się pan uspokoi, rzekła cierpko. Ja tu również wysiadam.

Pochylił się cały ku niej. Zdawało mu się. że źle słyszy.

— Tutaj? Doprawdy — tutaj? Cóż to za radość! O! niedobra, po stokroć niedobra! Trzeba było powiedzieć zaraz, gdy wszedł konduktor. Tak mi trudno oderwać się od pani! Więc zobaczymy się jutro, zaraz jutro. Przyjadę końmi ze wsi i...

— Może nawet wcześniej się zobaczymy, niż jutro. Jestem Alicja Irena.

Zbladł.

Odsunął ją od siebie na długość ramienia i patrzył nieprzytomnemi oczyma. Nagle wybuchnął śmiechem i zanim zdołała uczynić jakiś ruch, objął ją żelaznym poprostu uściskiem i ucałował.

— To ty jesteś Alicja Irena — ty? Którą znałem przedtem — niż ujrzałem?

— A ty jesteś Ralf i opowiedziałeś mi tajemnicę mojej przyjaciółki, którą ona tylko przed moim ślubem postanowiła mi wyjawić!

— Ale przedtem nie mówiłaś o tem, obłudnico!

— Postanowiłeś przecież nie poznać Alicji Ireny, rycerzu!

Ponieważ pociąg, mijając krzyżownicę, trząsł mocniej, stracili równowagę i upadli na to miejsce, na którem poprzednio siedziała Alicja — sama.

I dlatego zapewne Ralf całował bez przerwy Alicję, zupełnie nie zważając, iż wagon ich zbliża się już ku stacji.

Lwów. luty 1921.

Bellissima Giulietta.

J'aime à vous voir dans vos cadres ovales
Portraits fanés des belles du vieux temps,
Tenant en main des roses un peu pâles,
Comme il convient à des fleurs de cent ans.

CZĘŚĆ I.

POMYSŁ MARKIZY.

Było to w lecie 1807 roku.

Na zamek w Coppet, wiosce szwajcarskiej, zjechał właśnie książę August. Siostrzeniec Wielkiego Fryderyka przybył na zaproszenie pani de Staël, która, wygnana przez Napoleona, spędzała lato w otoczeniu swych przyjaciół.

Książę, wzruszony, ujrzał panią Récamier. Jechał do Coppet, myśląc ustawicznie o pięknej bankierowej. Zadrżał, ogarniając ją spojrzeniem. Była bowiem piękniejsza, niż malowały ją jego myśli.

Zamek pełny już był gości.

Choć Europą wstrząsnęła rewolucja, a rewolucją Napoleon, tu w tym zakątku zeszły się w spokoju i przyjaźni różne narodowości. Przybył tego lata poeta włoski, Monti i Zacharjasz Werner, autor dziwnych dramatów, od których dziwniejsze było tylko życie tego pobożnego rozpustnika. Uśmiechem radości powitani zostali historyk Sismondi i pisarz szwajcarski Bonstetten. Poprzednio zaś razem ze chatelaine'ą przybyli, w wóz jej triumfalny wprzęgnięci: poeta Eleazar de Sabran, rozkochany, u progu ży-

czeń miłosnych, Wilhelm Schlegel, literat, były wychowawca jej dzieci, w pełni namiętnych pragnień, oraz Benjamin Constant, również literat i polityk, u schyłku owego szalonego uczucia, które złączyło go przed laty z panią de Staël i kazało pójść z nią na wygnanie.

Po zamku włóczyły się szepty miłosne i wyimki z literatury świata. Intryżki niewinne biegły od gościa do gościa. Często siedziało całe towarzystwo nad brzegiem jeziora. Fale szumiały, tworząc niejako basso profundo, dźwigające ów zespół głosów.

I oto rozmawiano:

Monti (zwrócił swą piękną głowę na lewo, a potem na prawo): Kwestją jest jednak niewyjaśnioną, czy Homer miał kochanki, czy też nie miał żadnych.

Schlegel (przeleciał w pamięci wszystko, co o Homerze kiedy i gdziekolwiek pisano): Wartoby się tem zająć i poczynić odpowiednie studja.

Skrzywił się i wzdrygnął na te słowa jedynie Zacharjasz Werner, który zdobył niemiłe doświadczenie, zmieniając w życiu trzy razy żony.

Werner: Wątpię, czy je miał. To był lepszy polityk niż kochanek

Pani de Staël (zdziwiona): Polityk?

Werner: A tak, skoro aż siedm miast nie wiedziało, kędy było jego miejsce urodzenia, mimo, iż o to walczyły.

Bonstetten: Zaś ja radbym wiedzieć, czy Horacy biedny był, czy bogaty. Nie wyobrażacie państwo sobie, jaki to mogłoby mieć wpływ na emocję w czasie czytania jego ód, a przedewszystkiem jego „Ars poetica".

Schlegel (oparł z powagą głowę na ręku i pytał, ważąc każde słowo): To znaczy: jaki jest punkt widzenia człowieka genjalnego a głodnego? Nieprawdaż?

Bonstetten (z równą powagą): Świetnie mnie pan zrozumiał. Bo idzie o to, czy idea jego, będąc in statu na-

scendi, ostoi się wobec prózni żołądka. Pojmujecie państwo? Czy może jednak dojrzeć, dojść do rozkwitu?

Werner (spoglądając wokoło z twarzą pełną nabożnego wyrazu): Trzeba zawsze zapisać dzień, w którym powstają pomysły, dzień i godzinę. To bardzo ważne, kiedy się urodziły.

Głosy rozmówców opadając, to znów się wznosząc wylatywały chwilami jak rakiety, pod to niebo pogodne, pod ten błękit bez skazy, opadający nakształt welarjum na ziemię, na szczyty, na zieloność. Zdala, z bogatych fałd owego welarjum wychylały się mury Lozanny, jak ramiona obnażonej kobiety, jak biały uśmiech, chwycony w kształt widzialny. Czasem, skądciś, z tego błękitu czy z tej zielo ności wylatywał ptak smukły, czarny, przebijał powietrze, gdyby achat dziwnej formy, tajemniczą mocą nie spadający wdół. Wtedy, na chwilę niedługą, rozmowa milkła zupełnie, bo oczy pani de Staël biegły za tym ptakiem, a był w nich taki ogrom tęsknoty, iż przyjaciele, siedzący wokoło, odczuli ją, jak krzyk.

Pani Récamier: Czy to była jaskółka?

Ks. August (wpatrzony w rysy pani Juliety): Nie wiem, nie widziałem.

Pani de Staël: Leci może do Francji, tylko ja w przepisanej muszę się znajdować odległości. A iluż jeszcze wraz ze mną?

Wygnanka zerwała się z miejsca i wyciągnęła ręce w stronę lecącego ptaka.

Pani de Staël: Nie mogę tak żyć, nie mogę! Kocham ten mój zamek, tu, dzieckiem będąc, bawiłam się, i stąd w świat się wyrwałam. Tu snują się przed memi oczyma: matka moja dobra, ojciec mój umiłowany, jak nikt na świecie! Kocham całe Coppet bardziej, niż dawniej, bo dziś jest nietylko moją, ale i moich przyjaciół siedzibą. A jednak tam chcę być, we Francji! Tam, w Paryżu moje miejsce! Wy dźwigacie ze mną ten ciężar wyg

A ja duszę się, duszę wszędzie, gdzie ziemi francuskiej nie czuję pod stopami, gdzie nie słyszę szumu paryskiej ulicy. Kto mnie stąd wyrwie? Kto mnie uwolni? A przecież powinnam mieć skrzydła! Przecież nazwano mnie krukiem, tuczącym się intrygą i szaleństwem!

Wybuchnęła śmiechem, który pozostał samotny. Lecz Corinnie zdawało się, że odpowiedział nań zdaleka, z przestrzeni tych najmilszych sercu, głos korsykańskiego Attyli, który jednak bał się... kobiety.

Ks. August: Zdaje mi się, że niemasz większego mistrza w prowadzeniu intryg, nad Napoleona.

De Sabran (obejmuje rozkochanym wzrokiem panią de Staël): Właśnie dlatego wietrzy ją wszędzie.

Pani Récamier: Jakże chętnie chciałby dosięgnąć nas tutaj!

Ks. August (szepnął z upalną adoracją swych dwudziestu czterech lat): Któż ozdobiłby bardziej jego dwór, niż pani?

Constant (wzgardliwie): Napoleon! Jego władza nie dosięga nawet komina w Coppet, choć gdzie indziej wali trony. Pani de Staël i ja myśmy pierwsi zwrócili uwagę na jego wysokopienne plany. Myśmy je pierwsi przejrzeli, ale nie wierzono nam.

Pani de Staël: Tak, my!

Wyraz ten powtórzony za kochankiem, dziwnego nabrał wdzięku w ustach Corinny. Oparła na ukochanym spojrzenie oczu w których była noc, rozświetlona wiecznym płomieniem. Kochanek bawił się kwiatem, znalezionym po drodze. Bolesne wzruszenie, które owładnęło poprzednio Corinną, zdawało się wracać, choć inne były jego powody. Constant pochylił głowę, jak człowiek cierpliwy, czekający ciosu, bo doń przywykł. Lecz pani de Staël zdołała się opanować. Twarz skurczyła się, powieki zamknęły, palce zwinęły i splotły ze sobą, gasząc pożar, co rozszalał w duszy. Odetchnęli towarzysze, patrząc na zmaganie kochan-

ków, którym już źle było z sobą, lecz którzy jeszcze nie mogli żyć bez siebie. I Bonstetten. który umiał czasem powiedzieć coś uspokajającego, pogładził dłoń byłej ambasadorowej szwedzkiej.

Bonstetten: Czekamy z niecierpliwością następnego przedstawienia, kochana przyjaciółko! Kto ma tak wielki talent sceniczny, grzechem jest, bv nie sprawił rozkoszy swym bliźnim.

Pani de Stael: Może powtórzymy Fedrę? A może pan de Sabran napisze dla nas nową komedję?

Lecz wszystko zepsuł Schlegel.

Schlegel: Gdyby Racine widział, jak pani gra Hermionę w „Andromace", nikomu poza panią nie pozwoliłby grać tej roli.

W oczach Corinny natychmiast zabłysły łzy. Spojrzała na Constanta, siedzącego ze znużoną twarzą, na Pyrrhusa, który ją zdradzał.

Julieta poruszyła się gniewnie na ten widok i na te słowa, oburzona niezręcznością Schlegla. A Constant nietyle zły, ile przelękły, iż owo powiedzenie przyśpieszy burzę, gdy zostanie sam na sam z kochanką, krzyknął:

Constant: A jednak pan umie, jako aktor, rzeczy bardziej jeszcze niesłychane. Jest pan bowiem wesoły w tragedji, a tragiczny w komedji.

Schlegel (poważnie): Zapewniam pana, że potomność potrafi i to ocenić.

Postanowiono wrócić do Coppet, gdyż agonja dnia już się rozpoczęła. Przestwór zbladł i powlekał się chwila za chwilą fioletowym cieniem. Wolnym krokiem zbliżano się do zamku. Książę August rozmyślnie zwalniał bardziej jeszcze swe kroki, by pozostać z Julietą poza całem towarzystwem. Wziął wówczas jej ręce i ukrył w nich usta. Pani Récamier wchłaniała owego pocałunku ciepło, które wzdłuż ręki dochodziło do serca.

Ks. August: Pamiętaj o twem przyrzeczeniu!

Pani Récamier: Pamiętam i lękam się właśnie tego, że pamiętam. Mój mąż...

Ks. August: Nie opowiadaj mi o nim! Musisz być wolna! Przysięgłaś, że będziesz moją, Julieto, że natychmiast po powrocie do Paryża rozpoczniesz kroki rozwodowe. Moją będziesz, ty cudna, ty jedna na świecie godna królewskiej korony!...

Zmrużyły się śliczne oczy. Westchnienie, z westchnień najmilsze, uleciało w stronę rozkochanego księcia.

Pani Récamier: Pierwszy raz w życiu jestem szczęśliwa!

Ks. August: Powtórz to!

Pani Récamier: Pierwszy raz w życiu jestem szczęśliwa!

Ks. August (wzburzył się jednak, choć byłby nieszczęśliwy, gdyby usłyszał coś przeciwnego): Mówisz tak, aby mnie uspokoić.

Pani Récamier: Nie! Życie moje dotąd było szare, choć nad niem był ciągle blask. Szare, najdroższy, bo samotne. Choć mam męża, który mnie nie męczy, widziałeś przecie, jak przygnębiona przyjechałam. Zanim przyszło zaproszenie pani de Staël, by spędzić lato w Coppet, straciłam matkę. Jednak dzięki tobie — odżyłam na nowo!

Ks. August: Bo lubisz hołdy. Iluż ich było przede mną, tych, którzy umilali ci życie? Wiem przecież, jak byłaś i jesteś uwielbiana. Wiem, jak cię prześladowano miłością. A ty przecież dla każdego jesteś uprzejma i słodka, bo każdemu chcesz się podobać, nawet kobietom. Nie możesz być inna! Ta przeklęta chęć podobania się leży w twej naturze. Wasza pani Tallien mówiła do rewolucjonistów: quand on me demande une grace, elle est déjà accordée. A ty tak mówiłaś do swoich kochanków.

Drżąc, stuliły się ramiona.

Zagadkowy wyraz wyszedł na twarz, jak księżyc na niebo i znikł za chmurą melancholji.

Pani Récamier: Może tak mówiłam, może!

Ks. August: Nie odpierasz nawet podejrzeń?

Pani Récamier: Gdy zostanę twoją żoną, pojmiesz wszystko.

Znowu ten sam dziwny błysk pojawił się w oczach, gdy spojrzała na księcia. Słowa i spojrzenie odebrały księciu przytomność. Objął ukochaną kobietę gwałtownym uściskiem. Przylgnęła do niego i radość przenikła ją całą. Może to widmo, wlokące się za nią krok w krok, przeczuwane bojaźnią serca, okaże się kłamliwe? Może wreszcie będzie szczęśliwa, tem szczęściem dotąd nieznanem, a dostępnem każdej kobiecie?

Wyrwała się z ramion księcia, gdyż towarzystwo, przodem idące, zatrzymało się nagle. Pani de Staël podbiegła do przyjaciółki i objęła ją.

Pani de Staël: Czekamy na ciebie, Julieto.

Werner (patrząc na przyjaciółki, szeptem gdzieś w powietrze): Najmędrsza obok najpiękniejszej.

Sismondi: Gdy patrzę na nie, zdaje mi się, że są symbolem tego piękna, którego rewolucja nie zdołała zniszczyć.

A one stały tak chwilę, złączone objęciem, koło zaś otaczających je mężczyzn zdawało się zacieśniać w drugi uścisk. Potem, jednocześnie prawie, zwróciły głowy ku towarzyszom.

Wzrok przeleciał po nich. Wzrok daleki, nieobecny, pochłonięty zamyśleniem, zabiczowany cierpieniem. Trwanie jego było... sekunda. Mężczyźni ledwo zdołali go pochwycić. Lecz one już odzyskały równowagę

Pani de Staël: Zastanawialiśmy się, jak spędzić wieczór. Poradź — Julieto droga!

Pani Récamier: Dawno nie urządzałyśmy charades en action.

Sismondi: Proponuję, niech Monti przeczyta swe wiersze.

De Sabran: Rozdajmy role z „Merope'y" i urządźmy czytaną próbę.

Werner: Ach, nie! prosimy, by pani Récamier zatańczyła ten swój przepiękny taniec z szalem

Schlegel: Sądzę, że byłoby dobrze, gdybyśmy się zastanowili, kto jest bardziej chrześcijański: Herder, czy Chateaubriand.

Monti: Czy podobałby się państwu następujący projekt: Zagrajmy komedję, ale nie z drukowanego egzemplarza. Bądźmy sami autorami i aktorami w jednej osobie.

Constant: O, tak! To byłby ciekawy eksperyment!

Pani de Staël (już podniecona): A temat? A konflikt? A osoby?

Monti: Obmyśliłem już wszystko w czasie spaceru Cztery osoby grają: Obie panie, pan de Sabran i ja.

Pani Récamier: Doskonale! Gramy w naszych strojach, czy w kostjumach?

Monti: W kostjumach. W szafach pani de Staël coś się znajdzie.

De Sabran: I wolno będzie dać swej fantazji lot w lubych słowach?

Schlegel: Byle nie uleciała za daleko od treści, panie de Sabran.

Ks. August: Ile godzin będą trwały przygotowania?

Monti (wesoło): Drwijcie, drwijcie! Gramy za godzinę. Tymczasem omówimy dokładnie treść, charaktery, następstwo scen.

Czwórka grających oderwała się od towarzystwa, żywo rozmawiając.

Schlegel: Panie, a myśl przewodnia?

Monti: Troskę wyłowienia jej pozostawiam panu.

Tajemnem życzeniem poety było rozweselić chatelainę, opóźnić jej rozmowę z Constantem, gdyż przeczuwał katastrofę.

Pani de Staël ożywiła się istotnie.

Posiłek wieczorny minął szybko. O niczem innem już nie mówiono. Monti szeptem porozumiewał się z paniami i panem de Sabran, który raz wraz pieszcząc wzrokiem panią de Staël, zdawał się być bardzo zadowolony z przeznaczonej dla niego roli. Następnie przeszli wszyscy do sali, gdzie odbywały się owe przedstawienia, które pani de Staël urządzała dla swych gości i przyjaciół, ilekroć zjawiała się w Coppet i które miały swoją sławę w okolicy.

Tym razem garstka tylko widzów zasiadła wprawdzie na widowni, lecz mimo to, dawno już nie było tak podnieconego oczekiwania.

Rozmawiano półgłosem.

Z za kotary dolatywały stłumione ostatnie narady. Światło pełgało dokoła, bawiąc się w chowanego z przedmiotami. Wtem za sceną ktoś klasnął trzy razy w dłonie. Nastała cisza.

Z tej ciszy, splecionej z mrokiem, wychynął się głos Montiego:

— Posłuchajcie mnie! Tu, w tym zamku, w którym gości nas nasza droga Corinna, urodzi się przed waszemi oczyma, przed waszemi uszami... komedja. Za chwilę opowiedzą wam dzieje swych serc:

Markiza.

Markiz.

Margrabia.

Dziewczyna wiejska.

Niech oczy wasze ujrzą wpierw ogród rozkoszny, gdzie gęste śnią drzewa, a wśród nich posąg Wenus. W ogrodzie jest altanka. Noc połyska gwiazdami. Zdaleka, z gąszczy, dolata słodki głos fletu Słyszycie? Muzyka coraz jest bliższa.

Fałdy kotary drgnęły, poczęły pierzchać, pomykać w górę.

SCENA I.

(W altance ukryta siedzi dziewczyna. Na głos fletu zerwała się i cofnęła głębiej. Margrabia wychodzi z za gąszczy i gra. Potem ręka z fletem opada).

Margrabia (szeptem): Markizo... markizo...

(Po chwili smutny opuścił głowę, poczyna znów grać. Pianissimo. Wolnym krokiem odchodzi w głąb ogrodu.)

Dziewczyna (wyjrzała za nim i śmieje się): Czekaj i graj! Graj i czekaj! Może doczekasz się pani markizy.

(Znowu cofa się szybko, słysząc kroki. To markiz wbiegł, patrzy badawczo dokoła, przesuwa się obok altany i szybko odchodzi.)

Dziewczyna: Nareszcie!

SCENA II.

(Po chwili nadchodzi markiza. Jest w stroju wiejskiej dziewczyny. Bosa, włosy w nieładzie.)

Markiza: Zuzetto! pst, Zuzetto!

Dziewczyna: Jestem, czekam tu w altance, pani markizo!

Markiza: Czy widziałaś markiza? Mów zaraz!

Dziewczyna: Pani markiza może być spokojna.

Markiza: Przeszedł tędy do pałacu? Widziałaś dobrze, mimo, iż mrok tu dokoła?

Dziewczyna: Ale gwiazdy świecą. I one ukazały, że pan markiz nie przeszedł, ale przebiegł przez ogród, by go nie dojrzało oko niczyje. Był także. .

Markiza: Wiem, już, wiem! Margrabia!

Dziewczyna: Wołał: markizo, markizo i grał na flecie.

Markiza: Jak zwykle. Daj mi moje suknie, prędko!

Dziewczyna: Oto są. (Markiza ubiera się, dziewczyna pomaga). Och, co tu cudów!

Markiza (wesoło): Oszalałaś, Zuzetto!

D z i e w c z y n a: Napewno nie ja, ale pan markiz, który ślepy jest na te wszystkie cudności.

M a r k i z a: Cicho bądź! Markiz je zna, to jego własność Twoje cuda widzi teraz, bo inne, bo nie jego.

D z i e w c z y n a: Jakie tam cuda!

M a r k i z a: Zuzetto, nie kłam, wiesz dobrze, żeś ładna i rosła, podobasz się markizowi; dostrzegłam to natychmiast, gdyśmy tu przyjechali.

D z i e w c z y n a: Jakże się bałam, gdy pani markiza rozpytywać mnie zaczęła, o czem pan markiz mówi ze mną, czego chce.

M a r k i z a: Czego chce — o tem wiedziałam, Zuzetto, szło tylko o to, byś nie jego, ale mojej woli zadość uczyniła.

D z i e w c z y n a: I stało się wedle woli pani markizy.

M a r k i z a: Tak Zuzetto, nie zapomnę, coś uczyniła dla mnie.

D z i e w c z y n a: Ach, jak pani markiza zdołała to zrobić, doprawdy uwierzyć trudno!

M a r k i z a (nawpół ubrana pobiegła do posągu Wenus): — To Wenus tak się mną opiekowała, to ona myśl tę mi poddała, o Wenus, niech ci będą dzięki! (składa kwiaty)

D z i e w c z y n a (schyla się): Coś upadło!

M a r k i z a: Co?.. ach tak! Mój medaljon.

D z i e w c z y n a: Pani markizy? Zdaje mi się, że pan markiz go nosi?

M a r k i z a (szybko): Tak, tak, ale trzeba go naprawić. Nie zdradziłaś się dotąd ani słówkiem — powiedz!

D z i e w c z y n a: Ani słówkiem, przysięgam! Mówię tylko to, co pani markiza mówić mi każe.

M a r k i z a: A on? a on?

D z i e w c z y n a: Mówi że.. że...

M a r k i z a: Nie wstydźże się!

D z i e w c z y n a: Mówi, że coraz bardziej lgnie do mnie nie może rozstać się.

Markiza (śmieje się trochę nieszczerze): Świetnie! Doskonale! Czuję przecież, jak bardzo ty mu się podobasz.

Dziewczyna: Ale pan markiz mówił... mówił... że przyjedzie wnet... że będzie się starał przyjeżdżać potem, choćby na jeden dzień.

Markiza: Chce przyjechać? Oo! — tak więc bardzo pragnie tej — — – tej zabawy z tobą!

Dziewczyna: Co wtedy będzie? Co ja pocznę?

Markiza: Czego się boisz, Zuzetto?

Dziewczyna: Pani markiza pyta, czego ja... Ależ, gdy pan ma kiz się dowie, że to nie ja nocą ciemną w izdebce leżę, tylko pani markiza?

Markiza: Jego własna żona, którą zdradzał, nie zdradzając.

Dziewczyna: I że tak było przez dwa miesiące, noc w noc prawie.

Markiza: Nie przeczuwał, jakiego figla mu wypłatałyśmy.

Dziewczyna: Więc cóż to będzie, pani markizo, cóż to będzie?

Markiza: Żałujesz może, żeś się zgodziła grać tę komedję?

Dziewczyna: Pani markizo!

Markiza: Żartuję, Zuzetto, więc bądź spokojna. W jakiż sposób się dowiedzieć może pan markiz? A gdyby tu wrócił, wiesz już, jak się zachować.

Dziewczyna: Czy pan markiz uwierzy?

Markiza: Musi uwierzyć. Powiesz, że twój ślub wnet się odbędzie, a twój narzeczony zazdrosny. Nie zapomnę o tobie. Ten domek z ogrodem, w którym mieszkasz teraz z matką, to twoja własność.

Dziewczyna: Pani markizo, czy ja dobrze słyszałam?

Markiza: To twoje wiano!

Dziewczyna: Teraz łatwo i męża znajdę!

Markiza: Podaj mi szal! Tak, jużem ubrana. Weź tę koszulę, niech leży wśród siana, jak zwykle. Jutro, wieczorem, dasz mi ją znowu. Zawsze jesteś taka zdziwiona, gdy zrobić to każę.

Dziewczyna: To pan markiz doprawdy...

Markiza (obojętnie): Lubi właśnie ten zapach, jakże inaczej zdołałabym go w błąd wprowadzić? Przecież twoja koszula, przecież ty cała...

Dziewczyna: Ale ja w tej koszuli do kopania chodzę w ogrodzie, do obory...

Markiza: Nie myśl o tem, bo nie zrozumiesz, rób, co każę. Muszę jeszcze pewien twój ruch poznać. Stań tu, tak z boku... dobrze... i schyl się.. A teraz podnieś się... Ach, tak podnosisz ramiona, już wiem! Pokaż włosy. Myłaś je dziś w mięcie?

Dziewczyna: Tak, dziś rano.

Markiza: Ja moje także dziś rano miętą zwilżyłam, pachły w całej izdebce. Wiesz, Zuzetto, nawet ręce mam już prawie tak szorstkie, jak ty. W Paryżu trzeba będzie je znowu pielęgnować.

Dziewczyna: Takie szorstkie, jak moje? To niemożliwe!

Markiza: Ale tak, tak, zwilżam je wodą, a później na wiatr idę, by je osuszył. A teraz chcę wiedzieć, czy przygotowałaś wszystko.

Dziewczyna: Wszystko gotowe.

Markiza: Zawołam cię, gdy będziesz potrzebna. Cyt! (Flet się ozwał.) Zniknij, zanim margrabia nadejdzie.

SCENA III.

(Margrabia zbliża się, grając na flecie. Ach! jaki piękny jest margrabia w swem atłasowem ubraniu, które uwydatnia jego postać. Markiza widzi to, lecz odwraca oczy.)

Margrabia (przestał grać położył rękę na sercu): O, markizo, tyżeś to, czy odbicie tęsknoty mojej?

Markiza: Przecież wiesz dobrze, margrabio, że często siedzę o tej porze w altanie, lubię sierpniowe noce.

Margrabia: Lecz ja nie codzień rozmawiać tu mogę z tobą, markizo, o tej porze.

Markiza: Czyżby markiz przeszkadzał ci?

Margrabia: Zamiast mówić o markizie, pozwól, że usiądę u stóp twych, które oby były moje!

Markiza: Takiemi to słowy przemawiasz do żony przyjaciela twego?

Margrabia: Odwieczna to prawda, iż nie można być przyjacielem żony, nie będąc wprzód przyjacielem męża.

Markiza: Sądzisz, że mnie do zdrady skłonisz?

Margrabia: Nie sądzę, ale wierzę.

Markiza: A jeśli ja kocham mego małżonka?

Margrabia: Tem lepiej! Żadna to rozkosz, gdy zdradzasz obojętnego dla ciebie człowieka. Ach! chciałbym właśnie, byś wyrzuty gorzkie sobie czyniąc, z bolejącem sercem zdradziła go jednak, zdradzić musiała, nie mogąc mi się oprzeć. Taką chcę cię mieć!

Markiza (śmieje się): I wyjechałeś, by z nami przepędzić lato! I pewnym już byłeś, że ci ulegnę. Pewny!

Margrabia: Jestem cierpliwy, umiem być cierpliwy, potrafię być cierpliwym. Ty dziwna markizo — ty! Tak długo jednak nie opierała mi się żadna kobieta! Nie rozumiem, skąd ta siła w tobie? A wiem, że nieraz w myśli pieściłaś mnie.

Markiza: Co za zuchwalstwo!

Margrabia (radośnie): A więc nie myliłem się!

Markiza: Twoje doświadczenie jest odpychające!

Margrabia: Zbierałem je tylko poto, wierz mi, by je złożyć u twoich stóp, by tobie dać pełnię rozkoszy.

Markiza: Nie mogę ci tem samem odpłacić.

Margrabia: Czy być może? Przez siedm lat małżeństwa o, markizo, nikt nie dotknął tych ust, nikt nie poznał uderzenia twego serca?

Markiza (poważnie): Nikt!

Margrabia: O, ja nieszczęśliwy! Więc ja mam przygotować dla innych ognisko urocze? Ja rozmiłuję cię w tajemnicach, by plon inni zbierali? Ach, to okropne!

Markiza: Margrab o, oszalałeś chyba!

Margrabia: Nigdy trzeźwiejszy nie byłem. Ale w rozpacz wtrąca mnie myśl, że pierwszy będę, co zdejmie z ciebie to pierwsze także pragnienie, z nudów powstałe. Bo przecież nie poto zdradzisz twego męża ze mną, by nie zdradzić mnie potem z innymi.

Markiza: To kłamstwo!

Margrabia To fakt!

Markiza: Przestań!

Margrabia: Markizo, jesteś zdradzana. Znasz rywalkę równie dobrze, jak ja.

Markiza (z uśmiechem): Doprawdy nie wiem, o kim mówisz.

Margrabia: Wiesz dobrze. Ta dziewczyna wiejska...

Markiza: Ach! Zuzetta! Mówiłeś mi już o niej.

Margrabia: Rozkochany w niej nad pojęcie, coraz bardziej.

Markiza: Jakże się cieszę!

Margrabia (zdumiony): Cieszysz się?

Markiza: Nie posądzisz mnie chyba o zazdrość wobec tej dziewczyny wiejskiej.

Margrabia: Nie pojmuję...

Markiza: Skoro ona letnie wywczasy markiza umila, skoro, niby zapach łąki, go odurza... Wszak tak mi opowiadałeś? Prawda, że się nie mylę?

Margrabia: Markizo cudna, ale ty się nie opieraj! Wwiodę cię w świat rozkoszy, którego wszystkie oszała-

miające czary, wszystkie słodkie tajemnice znane mi są każdym nerwem!

Markiza: Chwalisz się zbytnio.

Margrabia: Markizo, nie znam sposobu, któregobym nie znał. Pamiętaj, czas kochania mija... mija... (bierze kilka pasaży na flecie)

Markiza: Tak szybko... mija?

Margrabia: Nawet jeszcze szybciej... (grając, krąży dokoła niej)

SCENA IV.

Markiz: Markizo, margrabio, jesteście tu?

Markiza: Jesteśmy! — Czekamy właśnie na ciebie.

Margrabia (kwaśno): Czekam właśnie na ciebie.

Markiz: Chèrie, czy spóźniłem się? — Miałem tak ważne zajęcie...

Markiza: O tej porze?

Markiz: O! już od kilku godzin. Bardzo ważne...

Markiza: W samą porę przychodzisz.

Markiz: To dobrze. Podoba mi się twój pomysł, by przed spoczynkiem pożegnać jeszcze ten zakątek przy blasku księżyca i gwiazd.

Markiza: Tak dobrze nam tu było...

Markiz (wzdycha): Bardzo dobrze...

Margrabia (zły): Bardzo dobrze!

Markiza: Ale cóż! Wnet wyjedziemy i wówczas...

Markiz: Skończona idylla!

Markiza (ze smutkiem): Skończona!

Margrabia (wściekły): Skończona? Idylla?

Markiza (łagodnie): Nie rozumiesz, margrabio. Lato skończone, lato..

Markiz: Trudno będzie zapomnieć o niem.

Markiza: Ach, jak trudno!

Markiz: I dni i noce były rozkoszne...

M a r k i z a: I dni (spojrzała na margrabiego) i noce (szybko musnęła okiem markiza)

M a r k i z: Kto wie, czy lato nie zachęci mnie, bym tu w jesieni przyjechał na polowanie.

M a r g r a b i a: A ty, markizo, zostałabyś w Paryżu?

M a r k i z a (obojętnie): Być może. Pożegnajmy teraz tę miłą porę roku! — Zuzetto!

M a r k i z (drgnął): Zuzettę wołasz?

M a r k i z a: Kazałam jej przygotować wino. — Zuzetto!

M a r k i z: Mało służby tu mamy. — Możeby popatrzeć...

M a r k i z a: Czekaj! Popatrzę sama!

SCENA V.

M a r g r a b i a: Jakby posmutniała markiza.

M a r k i z: Posmutniała? Rzeczywiście? To smutne! Nie zauważyłem!

M a r g r a b i a: A dotąd w tak świetnym była humorze.

M a r k i z: W świetnym? Doprawdy? To dobrze!

M a r g r a b i a: Bardzo wypiękniała w czasie lata.

M a r k i z (ziewa): Markiza zawsze jest piękna.

M a r g r a b i a: Dlaczego jednak posmutniała?

M a r k i z: Ach! Wapory dam!

M a r g r a b i a: Źle jesteś dla dam usposobiony, jak widzę.

M a r k i z: Przyjacielu, bo powiadam ci: zbyt często nie wiemy, gdzie jest rozkosz.

M a r g r a b i a: Ty szczęśliwcze jesteś przecie u celu!

M a r k i z: I u jakiego celu! Dziewka jak żar, jak piekło! Nie spodziewałem się tak rozkosznej niespodzianki. Byłem pewny, że znudzi mnie po kilku dniach. Nie śmiej się ze mnie, ale trudno mi pomyśleć o naszym wyjeździe. Tęsknota mnie chwyci z pewnością za pieszczotami tej wiejskiej uwodzicielki.

Margrabia: Nigdy nie miałem podobnych upodobań.

Markiz: A mnie znudziły już fryzowane głowy, skóra jedwabna, pachnąca, mówiłem ci to już nieraz przecież. Zuzetta pachnie łąką, ziemią. Odurza mnie ten zdrowy, tęgi zapach. I te jej włosy naturalne i te nieupudrowane bez muszek policzki, te usta nieukarminowane i ta z grubego płótna zwykła koszula. Gdy ją ściskam, zdaje mi się, że obejmuję całą przyrodę Drżę na samo jej wspomnienie.

Margrabia: Ależ cię usidliła!

Markiz: Pomyśl, co za czar! Gdy ściemnieje, zakradam się do niej. W izdebce, w ciemności zupełnej, szukają jej me ręce i znajdują gorącą, drżącą, milczącą, jak zaklętą! Milczymy oboje, gdyż obok śpi jej matka i głośno westchnąć mi nawet nie wolno. Powiadam ci, jak w bajce! Przytem ta wiejska czarodziejka umie kochać, kochać oszałamiająco!

Margrabia: Czyżby intuicja?

Markiz: Genjalna intuicja!

Margrabia: A jeśli markiza...

arkiz: Skądżeby? Markiza bardzo lubi Zuzettę, zwraca się do niej z zadziwiającą przychylnością. Zresztą markiza ma chłodną naturę.

Margrabia (ironicznie): Markiza chłodną ma naturę?

Markiz: Zapewniam cię! Co zaś do mnie... Wiesz jak to bywa w miłości. Przywykłem i dlatego odwykłem. Jesteśmy najlepszem jednak stadłem małżeńskiem. Ja robię, co ja chcę, a markiza...

Margrabia: A markiza wogóle nic nie robi.

Markiz: C'est ça. Tak powinno być! Jak to dobrze, że wybrałeś się z nami na wieś! Wiem, że się nie nudzisz. Markiza lubi muzykę i książki, mniej więcej, jak ty.

Margrabia (kwaśno): Więcej...

Markiz: Tymczasem ja i Zuzetta...

Margrabia: Otóż i ona!

SCENA VI.

(Zuzetta wnosi stolik, ubrany kwiatami).

Dziewczyna: Pani markiza w altanie kazała ten stolik...

Markiz: Pomogę ci!

(Margrabia bierze pasażyk na flecie i usuwa się dyskretnie.)

Markiz: Prędko, — niech cię jeszcze uściskam. Jedna tylko, jedna jeszcze tylko noc przed nami!

Dziewczyna: A tak, jedna!

Markiz: Jakaś ty słodka była przed godziną! Jak gorąco tuliłaś!

Dziewczyna: Panie markizie... ja.. tak... ja... bardzo ..

Markiz: Taka nieśmiała jesteś, gdy mówimy z sobą. Ledwo mnie dotykasz ustami.

Dziewczyna: Bo w dzień... bo gdy pan markiz mówi do mnie... O! ale w ciemności...

Markiz: Rozumiem. To właśnie takie urocze u ciebie, ta nieśmiałość i ta namiętność równocześnie.

Dziewczyna: O! bo ja jestem... ja... jestem czasem odważna...

Markiz: Pamiętasz jak ugryzłaś mnie wczoraj w ucho? Do krwi!

Dziewczyna: Ależ... panie markizie!

Markiz: Ty filucie! Już zapomiałaś?

Dziewczyna: Nie... nie.. tak... tak... ależ tak! Trudno wszystko zapamiętać, panie markizie!

Markiz: Och, Zuzetto, prawdę mówisz! Zwłaszcza, gdy taka gorączka w duszy zapanuje. Byliśmy szczęśliwi. Mówiłem bratu mojemu, że ten folwarczek — wiesz, co do lasu przytyka, to dla ciebie!

Dziewczyna: Dla mnie? O Boże! To ja już będę miała dom i folwarczek!

Markiz: Jaki dom?

Dziewczyna: Pani markiza darowała mi ten dom, w którym mieszkam z matką. W którym my właśnie...

Markiz: Pani markiza bardzo cię lubi.

Dziewczyna: Pani markiza jest jak anioł!

Markiz: Bo ciebie trudno nie lubieć. Ciebie nawet kobiety... O, Venus, ty zrodziłaś Zuzettę! Tobie zawdzięczam to piękne lato! (Składa kwiaty — zdziwiony) Tu już ktoś składał ofiary!

Dziewczyna: To.. to ja.

Markiz: Zuzetto droga! Więc doprawdy byłaś szczęśliwa ze mną?

Dziewczyna: Piękne było lato!

Głos markizy: Zuzetto!

Dziewczyna: Lecę! Dom i folwarczek! Och, jakie piękne było lato! (Wybiega).

SCENA VII.

(Dziewczyna wnosi wazę, z które ulatuje płomień. Markiza idzie za nią.)

Markiza: Podaj kieliszki!

Markiz: Zapach lasu unosi się z tej zupy.

Margrabia: Wiecznie śnisz o tym zapachu lasu i łąki.

Markiza: Bo też jest upajający!

Markiz: Ty także go lubisz?

Markiza: Ogromnie!

Markiz: I precz poszły paryskie perfumy?

Markiza: Wieś nauczyła mnie cenić ten zapach.

Markiz: Wieś ma wogóle niezgłębione czary.

Markiza: Teraz żyć będziemy wspomnieniami. Pijmy! Żegnajmy miłe chwile, spędzone tutaj ten ogród, tę Venus.

Markiz: Venus przedewszystkiem!

Markiza: Czemu nie pijesz margrabio?

Margrabia: Nie witałem się z Venus, więc jej nie żegnam.

Markiz: Jesteś godny pożałowania.

Margrabia: Grałem na flecie...

(Markiz wybucha śmiechem.)

Markiza: Będzie pusto, gdy wyjedziemy — prawda Zuzetto?

Dziewczyna: Pusto i smutno.

Markiz: Przedtem jednak spędzimy jeszcze kilka nocy...

Markiza: Nocy?

Margrabia: Nocy?

Markiz: Takich nocy, jak dzisiejsza, z winem i z gwiazdami. Czemuż się tak dziwicie?

Margrabia (przeciągle): Ach, tak...

Markiza: Masz słuszność, musimy jeszcze kilka takich nocy spędzić. Czy tylko Zuzetta nie będzie śpiąca?

Markiz: Zuzetta? Skądżeby Zuzetta? Nie rozumiem!

Markiza: Zazwyczaj wcześnie udaje się na spoczynek. A wino trzeba przygotować i nas tutaj obsłużyć. Ale Zuzetta jest dobra i chętna.

Margrabia: Bardzo chętna.

Markiza: I uległa.

Markiz: Bardzo uległa.

Dziewczyna: Skoro pani markiza każe...

Markiz: Jak to dobrze, że jesteś tak posłuszna, Zuzetto. Wogóle nie wyobrażam sobie, cobyśmy poczęli bez ciebie, prawda chèrie?

Markiza: Pan markiz mówi prawdę, Zuzetto. — Nie dalibyśmy sobie rady bez ciebie.

Margrabia: A teraz pijmy na powodzenie i szybkość wyjazdu.

Markiz: Daj pokój, jeszcze gotowiśmy doprawdy prędko wyjechać.

Markiza: Pijmy na powodzenie wyjazdu, skoro margrabia go pragnie.

Margrabia: Do widzenia w Paryżu, markizo.

Markiza: Niestety — do widzenia! (po chw.) Zabierz to, Zuzetto. Albo nie! Zostaw! Możesz już odejść.

Dziewczyna: Dobrej nocy!

Margrabia: Późno już! Pozwól markizo, że odejdę.

Markiza: Tak nagle?

Margrabia: Jestem zmęczony tem, że jestem niezmęczony. (Odchodzi, obrzucając niechętnem spojrzeniem markiza.)

Markiza: Dobrej nocy!

SCENA VIII.

Markiz: Czas i na nas. Dobrej nocy, chèrie.

Markiza: I ty zmęczony jesteś? Tak rzadko bywamy z sobą razem, nawet tu, na wsi.

Markiz: Doprawdy? Nie martw się jednak tem. Całe życie będziemy przecież razem.

Markiza: Jesteś jakiś dziwny. Powiedziałabym — przygnębiony.

Markiz: Zdaje ci się, nie mam powodu.

Markiza: Od dwu dni, to znaczy od dnia, gdy przybył kurjer z Paryża z wieścią, iż musimy wracać.

Markiz: Przyznasz sama, że nam tu nadspodziewanie dobrze.

Markiza: Nadspodziewanie!

Markiz: Proszę cię, nie drwij.

Markiza: Ja? Ależ nigdy w życiu! Wiesz, napijmy się jeszcze razem... we dwoje.

Markiz: Nie, nie, — późno już!

Markiza: Więc cóż? Tu tak przyjemnie. Co za noc! Szkoda iść spać...

Markiz: Widzę, że noc cię rozmarza i wino.

Markiza: Sądzisz, że w taką noc nie moglibyśmy być szczęśliwi, jak dawniej? (chce go objąć)

Markiz (uwalnia się łagodnie z uścisku): Markizo, ty miewasz pomysły...

Markiza: Lepsze niż przypuszczasz.

Markiz: Jesteśmy przecież najlepszem małżeństwem.

Markiza: Zostawiasz mnie tak ciągle samą z margrabią i nie pomyślisz...

Markiz: Dajże pokój! On kocha muzykę, a ty...

Markiza: A ja?

Markiz: A ty nie masz zdolności na kochankę.

Markiza: Co ty mówisz?

Markiz: Należysz do kobiet, które przyjmują pieszczoty, ale same kochać nie umieją.

Markiza: Cóż jeszcze? Lubię sluchać, gdy mówisz o mnie.

Markiz: Nie bądź ciekawa.

Markiza: Więc wolałbyś, abym w miłości była stroną czynną?

Markiz: Nie potrafiłabyś! Rzadko zresztą spotyka się szczere, bujne, nie kryjące się ze swemi pragnieniami kobiety, ze swą żądzą rozpaloną do szaleństwa. Czy ty umiałabyś objąć kochanka, jak płomień? Zacałować go na śmierć, z której się zmartwychwstaje, ogarnąć go, jak topiel, jak morze... Ach!

Markiza: Może ja umiałabym być taką...

Markiz (wybucha śmiechem): Ty?

Markiza: Nie śmiej się.

Markiz: Przepraszam, ja mimowoli... ale czasem powiesz coś tak rozbrajającego...

Markiza: Może wina jest po twojej stronie, może nie dostrzegłeś, że ja...

Markiz: Słucham, słucham markizo.

Markiza: Że ja jestem jak żar, jak topiel...

Markiz (zanosi się od śmiechu): Ach, markizo, daruj, ale komu ty to opowiadasz? Mnie, który cię wprowadził w tajniki cudów miłosnych, który zna twój upór, twoją bierność?

Markiza: A jednak to ja jestem jak żar, jak piekło.

Markiz: O! noc bardzo cię rozmarzyła, markizo.

Markiza: Przestań szydzić, bo jedno moje słowo..

Markiz: Nie szydzę i nie skarżę się. To ja dałem ci szczęście, rozkosz, ja zdołałem doprowadzić cię do nieprzytomności najsłodszej na świecie, gdy ty...

Markiza (porywa się): A któż to doprowadzał ciebie w izdebce Zuzetty do najsłodszej nieprzytomności, jeśli nie ja?

Markiz: Coś... coś ty powiedziała?

Markiza (zmieszana): Nic, nic... nic! nie słuchaj... zapomnij!...

Markiz: W izdebce Zuzetty? Coś ty robiła w izdebce Zuzetty?

Markiza: Zostaw mnie...

Markiz: Mów! zapóźno na żarty. Czyżbyś ty zdradzała mnie?

Markiza: Z tobą tam byłam w każdą noc.

Markiz: Ze mną? Ze... mną? Mylisz się. W żadnej izdebce u żadnej Zuzetty nie byłem. Musiałaś tam być z kim innym, przyznaj się!

Markiza: Czy ten inny posiadał taki medaljon, który schowaliśmy razem do kieszonki, by się nie zgubił?

Markiz (bez tchu): Medaljon! mój medaljon! mam go w kieszonce! Nie! nie mam go! Zgubiłem...

Markiza: Nie zgubiłeś. Oto jest. Nie mieliśmy dwu.

Markiz: To ty? Więc to ty byłaś tą łąką, tą przyrodą, tem morzem... Ależ byłbym przysięgał.. A Zuzetta?

Markiza: Czekała na mnie w altance.

Markiz: Zgodziła się?

Markiza: Uspokój się. Gorących słów, któremi we dnie cię obdarzała, ja wyuczyłam ją.

Markiz: To nie była Zuzetta!

Markiza: O, jak ty mnie zdradzałeś! Już teraz zaprzeczyć nie możesz!

Markiz: Przesadzasz!

Markiza: Nigdy, nigdy nie byłeś dla mnie taki, jak dla Zuzetty.

Markiz: Nigdy nie byłaś dla mnie taką, jak w roli Zuzetty.

Markiza: Jak to dobrze poznać uczucia swego męża dla innej kobiety! Wtedy dopiero zna się go nawylot.

Markiz: I ja, ja dałem się oszukać!

Markiza: A mnie zdawało się, że ty mnie kochasz, że żadnej kobiety na świecie nie umiałbyś nawet, nie mógłbyś tak objąć, jak mnie. Tymczasem...

Markiz: Pocóż wdzierałaś się w moją idyllę?

Markiza (z filuternym, trochę smutnym uśmiechem): Poco? Właśnie, aby się przekonać, jaki ty jesteś.

Markiz: A mnie w takim razie pozostaje odwołać wszystko, co mówiłem o tobie. (Zbliża się. Markiza wyciąga ku niemu ramiona miłośnie. Markiz całuje ją... w czoło.)

Markiza (dziwnym głosem): I nic więcej?

Markiz: Więcej?

Markiza (cofa się): Zdawało mi się, że po tem że między nami..

Markiz: Dodam to chyba, że...

Markiza (ucieszona): Że?

Markiz: Że mistrza miałaś we mnie.

Markiza: Ach! to chciałeś powiedzieć!

Markiz: Że nagrodę zato odebrałem.

Markiza (chłodno): Nie pragnąc jej wcale.

Markiz: Czy gniewasz się na mnie?

Markiza: Cóżeś ty winien, żeś wcześniej się nasycił ode mnie? A ty, czyś niezadowolony?

Markiz (uprzejmie): Co za myśl! Właściwie winien ci jestem wdzięczność, bo zaoszczędziłaś mi zapewne rozczarowania. Sądziłem, że to jest... morze, a jednak to mogła być sadzawka. Z pewnością była sadzawka. Ale jeszcze w tej chwili uwierzyć mi trudno, że to my byliśmy... Noc w noc... my!

Markiza: Mąż i... żona.

Markiz: I ja się tak wzruszałem! Nie powinnaś była pozwolić. Stało się! Przepadło lato! Nie zostanę tu jednak dłużej. Za nic! nie mogę! Wyjeżdżamy zaraz jutro o świcie! Wyjeżdżamy, markizo! (szybko wychodzi).

Markiza (zadumana, po długiej chwili): A ja wysilałam mózg i serce, by mu zachować wierność...

SCENA IX.

Markiza: Kto tu?

Margrabia (wychodzi z za drzew): To ja.

Markiza: To ty, margrabio?

Margrabia: Nie mogłem usnąć. Tak nagle odszedłem, zdawało mi się, że uraziłem cię, markizo. Chciałem jeszcze pod twoje okna...

Markiza: Myślałeś o mnie?

Margrabia: Spytaj, czy umiałbym, czy mógłbym nie myśleć o tobie, cudna moja! Dlaczego ty jednak czuwasz jeszcze?

Markiza: Niepokoją mnie dziwne sny... na jawie. Oto śnię, iż zmieniło się w kwiat serce moje i ktoś po nie dłoń wyciąga. Kwiat się broni, broni... i czeka nagrody. Stworzył sobie zaporę tak mocną zda się, że wyciągnięta dłoń zerwać go nie zdoła... Lecz...

Margrabia: Lecz?...

M a r k i z a: Lecz zapora prysła. Widocznie nie trzeba stwarzać zapory.

M a r g r a b i a: Nie trzeba, markizo.

M a r k i z a: I kwiat opada, bo dojrzał owoc.

M a r g r a b i a (drgnął): Markizo... Kiedyż opadnie owoc?

M a r k i z a (zgięta w ukłonie): Owoc można zerwać, margrabio!

M a r g r a b i a (bez tchu): Markizo!

M a r k i z a (ciągle w ukłonie): Czyż nie mówiliśmy o tem, margrabio?

M a r g r a b i a (zgięty również w ukłonie): Ja umiem być cierpliwy, potrafię być cierpliwy... Nie! Nie! Nie potrafię... Nie zdołam...

M a r k i z a (cofa się ku wyjściu): Dobrej nocy, margrabio!

M a r g r a b i a (opanowuje się, oddaje jej ukłon): Dobrej nocy, markizo ukochana! Markizo cudna... Markizo!

— — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — —

Przyjaciele zerwali się z miejsc.

— Monti! Pani de Staël! — wołano z zapałem. — Pani Récamier! Sabran!

A wołani wyszli, kłaniając się i kłaniając się bez końca. Potem, nie zrzucając kostjumów, zeszli między przyjaciół, rozbawieni, opromienieni swemi rolami.

W pani de Staël zerwał się potok słów o sztuce, o miłości. Groziła dysputa — choć dochodziła druga po północy, pora, w której pani domu czuła się dopiero w swym żywiole. Constant jednak spojrzał z rozpaczą na zegar. Corinna ujrzała ów wzrok i brwi jej zbiegły się na czole, jak prądy elektryczne w chmurach. Zanim wypadł z nich piorun, wstała Julieta i z tym wdziękiem niezrównanym, który ją cechował rzekła, do przyjaciółki:

— Zmęczona jestem. Radabym powiedzieć, jak markiza poprzednio: dobrej nocy, Corinno i wy wszyscy!

Propozycję przyjęto bez szemrania. Dłonie uścisnęły się i po chwili już cisza była w pokojach.

Nad zamkiem w Coppet, straż trzymając, wędrował księżyc. Stróżował tym westchnieniom, które ulatywały zeń, jak dym z płonącej ofiary. Na łożu swem, jedwabnego baldachimu zielone rozsunąwszy firanki, leżała pani Récamier. Najpiękniejsza z kobiet w Europie płakała bezgłośnie. Ból zarzucał raz po raz harpun swój w cudne rysy i rozszarpywał je Przysięgi miłosne księcia spadały na nią, gorące, jak pieczęć. A ona... cofała się przed niemi. Lęk podnosił się w jej ciele, jak potworny łeb krokodyla, lęk przed miłością. Co to znaczy? Co opiera się we mnie tak strasznie? Czyż nigdy nie zaznam rozkoszy? — ledwie widocznie poruszały się wargi, na których igrało światło księżyca.

I opadła na poduszki, zwalona ciężarem bez nazwy. Lecz już w tej samej chwili wiedziała, że nie zostanie Augusta.

W innem skrzydle zamku zmagali się jeszcze z sobą: pani de Staël i Constant.

— Podziwiałem cię, jako markizę! Skąd wzięłaś te słowa pogodne? Skąd tę miłość uśmiechniętą? — mówił Constant. — Ty. która w życiu jesteś zupełnie inna, stworzyłaś taką jasną postać! Czy z rozmysłu to uczyniłaś, aby mnie upewnić, iż potrafisz być nawet i dobrą?

— Jakże w takim razie podobał ci się markiz? — z przekąsem odrzuciła pani de Staël.

— Czy ty doprawdy nie możesz pojąć, że można przestać kochać własną żonę, a nawet — kochankę?

Pani de Staël zbladła.

— Masz odwagę mi to powiedzieć po dziesięciu latach naszego współżycia?

Benjamin usiłował uspokoić ją, podczas gdy jego oczy biegały chytrze po pokoju.

A gdzieś, daleko, daleko, huczała wojna...

Z łuny, nad Sekwaną powstałej, szło wołanie:

— Równość! Wolność! Braterstwo!

Płynęło na oparach krwi w głąb Europy i po drodze stawało się sławą Napoleona.

Księżyc chodził po niebie, jak gdyby o żadnej zbrodni nie wiedział.

W Coppet była cisza.

Cień zwycięzcy z pod Marengo nie dotykał nawet jego kominów, jak powiedział Constant, republikanin i niewierny kochanek, który o świcie umknął z zamku, będącego jego więzieniem.

CZĘŚĆ DRUGA.

UZDROWIONA TYTANJA.

— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

L'exemple de la terre et l'exemple des cieux
Tout en sentiment vous apelle
Aimez donc! — à sa voix laisser vous entrainer
Méritez le bonheur daignant le deviner
Et soyez la plus tendre, ainsi, que la plus belle!

Talma umilkł, a gdy pochylił głowę przed tą, która tej poezji była natchnieniem, pięknej Juliecie zdawało się, iż zanim ją skłonił, spojrzenia artysty i Benjamina Constanta, stojącego opodal, skrzyżowały się błyskawicznie. Poza tem czuła swym nieomylnym instynktem w tych sprawach, iż goście jej, podobnie, jak ona, dziwią się, dlaczego Talma nagle odświeżał w pamięci obecnych ów wiersz Legouve'go, poświęcony jej przed laty, a więc zdawna wszystkim znany.

Lecz już w salonie, po krótkiej ciszy, w której słuchano deklamacji słynnego aktora, uczynił się gwar i ruch. Julieta podeszła do Talmy ze słowem podzięki. Za nią, jak paziowie usłużni, pobiegły spojrzenia mężczyzn.

Stała w pośrodku salonu nakształt białej kolumny. Oddech, unoszący na cudnych piersiach biel jej sukni, drżenie szala, spływającego z boskiego łuku ramion, dowodziły, iż życie jest w tej kolumnie. A nadewszystko mówiły o tem oczy, których blask wystrzelał z pod włosów, upiętych na szczycie głowy i przytrzymanych czarną aksamitną wstążką, opadającą z jednej strony, aż ku brwi.

...Et soyez la plus tendre — — —

Unosiły się jeszcze słowa, z takim naciskiem wymówione przez Talmę, jak gdyby przez jego usta wydzierała się gorąca prośba wszystkich wiernych wielbicieli Juliety.

Pani Récamier, stojąc w pełnem świetle, jakie rzucały na nią olbrzymie kandelabry, patrzyła na nich swemi oczyma, w których była słodycz, obietnica i wdzięk, z których szedł niepojęty urok.

Nikt nie umiał mu się oprzeć.

Czar jej rósł z latami i porywał, gdziekolwiek się zjawiała, spowita w swój ulubiony biały kolor.

W Rzymie, czy w Londynie...

Bowiem Czas był również ujarzmiony przez nią, a miłość jego, w przeciwieństwie do zwyczajów ziemskich hołdowników, objawiała się w ten sposób, iż... unikał całej jej osoby. Wieczyście młodą, oplatał różaniec serc, napełniając atmosferę dookolną nieuchwytną, błagalną melodją, upałem uczuć, z których żadne nie więdło z latami.

...Soyez la plus tendre — — —

Wwiewała się w salon prośba najcichsza, jak akord, wzięty na szpinecie ręką Cherubiniego, coraz cichszy, coraz bledszy...

Rozmawiała.

Delikatne nozdrza drżały lekko, po olśniewającej cerze przelatywały czasem różowe cienie, czyniąc ją podobną do abażuru z najcieńszej porcelany, rozświetlonej od wnętrza zapalonem światłem. Chwilami wzrok odrywał się od Talmy i biegł w róg salonu, skąd wychylał się dziwaczny turban pani de Staël, prowadzącej namiętną polityczną rozmowę z Metternichem. Uczyniła nawet krok naprzód, lecz wstrzymała się, wiedząc, że zbliżenie się w tej chwili do pani de Staël zwróci uwagę obecnych.

— Patrz, lordzie, jak pani Julieta gawędzi z Talmą — odezwał się siwawy już kawaler de Boufflers. — Jednaki ma uśmiech dla młodych i dla starych.

— Odurzająca kobieta... — westchnął lord Wellington. — A kto jest ten brzydal obok niej?

— To Ballanche — objaśniał uprzejmie Boufflers, — filozof i mistyk.

— Ale przedewszystkiem wielbiciel.

— Najpewniej, generale! Przyjeżdża często z Lionu do Paryża, gnany tęsknotą.

— Jak on ją całuje spojrzeniem!...

— Przysiągłbym, że tylko... oczyma. Żadnemu z mężczyzn, których lordzie widzisz i którzy jak zahypnotyzowani patrzą w nią, nie zwisło jej ciało w ramionach ciężarem żądzy, sytej lub niesytej.

Generał zwrócił się szybko ku swemu rozmówcy.

— A hr. Montmorency? A książę August?

— Żadnemu!

— A więc jest...

Kawaler de Boufflers podniósł ramiona nieokreślonym ruchem.

— Niesłychane, ale prawdziwe. Mimo, że pani Récamier dochodzi już..

Spojrzał dokoła i szeptem dokończył:

— Dochodzi już do czterdziestki.

— A mąż? — wyrzucił Wellington bez tchu prawie.
Boufflers mrugnął powiekami.

— Pan Récamier? Bankrutuje czasem, ale mimo to Julieta go nie opuszcza. Poza tem bywa nieraz na przyjęciach swej żony, która mogłaby być raczej jego córką i która dziś już jest sławną, choć nie napisała jednego wiersza, nie wymalowała jednego obrazu i nie skomponowała jednej piosenki. Nie znam milszego opiekuna dla pięknej kobiety.

Wellington nie ochłonął jeszcze ze zdziwienia. więc Boufflers mówił dalej:

— Tak, tak, lordzie, fenomenalną zagadką jest pani Récamier. Gdybym ją spotkał w wieku, w którym traci się równowagę, zgłupiałbym. Na szczęście spotkałem ją w latach, w których się już dziecinnieje i to mnie ocaliło.

— I sądzisz kawalerze, że nikt nie zdobędzie tego serca?

Pani Récamier zwróciła w tej chwili ku nim głowę i biorąc z rąk przechodzącej właśnie służby filiżankę herbaty, zbliżyła się ku rozmawiającym.

— Madame, rewolucja zdetronizowała taki królewski napój, jak czekolada i wprowadziła herbatę, nie mniej jednak z rąk twoich ją biorąc, zapominam o tem.

— O rewolucji?

— O jej smaku, madame.

Dłoń Wellingtona, odbierając filiżankę, z tajemnem drżeniem przyjęła dotknięcie palców cudnej kobiety.

— Nie wolno mi odczuwać wdzięczności dla Napoleona, a jednak, gdyby nie on, któż wie, czy poznałbym panią?

— Generale, gdyby cię usłyszała pani de Staël...

— Albo Metternich — rzucił Constant, wyrósłszy jak z pod ziemi obok pani Récamier.

— O mnie zapominacie? — jak duch również zjawiając się odezwał się Pozzo di Borgo. Gdzie nienawidzą Napoleona, tam i ja być muszę.

— Moi panowie — uśmiechnął się Boufflers — jesteśmy wprawdzie wrogami Napoleona, ale każdy z nas jednak marzy i przygotowywa swój 18 brumaire... w miłości.

— Proszę jednak nie zapomnieć, że mimo to nie minęło go Watterloo — odcięła pani Récamier, topiąc spojrzenie zalotne w źrenicach Wellingtona.

— To nic! Byle chwilę szczęścia osiągnąć, — szepnął zbliżając się Montmorency.

— Sekundę choćby, cudna Julieto — usłyszała głos tuż obok hr. Forbin.

Julieta zaśmiała się cichutko i odeszła z Constantem.

Benjamin, uprowadziwszy panią Récamier, rzucał w nią jak oszczepem swojem „kocham cię", a ona słuchała, gdyż lubiła to słowo, nie mogła bez niego żyć, choć ono szczęścia jej nie przynosiło.

Przez twarz Benjamina, okoloną włosami, wijącemi się w lokach, przelatywał gorący, młodzieńczy prawie rumieniec. Usta drżały, gdy pochylał się ku ubóstwianej.

— Tu siedzi kochanka, której słowo w słowo mówił pan to samo przed laty!

— Proszę nie mówić o niej — wykrztusił, a nienawiść zalała mu oczy. — Kocham cię — ty jesteś kobietą, pani de Staël jest mężczyzną z ciałem kobiety. Zostawię wszystko, sławę, karjerę polityczną, byleś ty była ze mną, ty, którą znam tak dawno, a którą nagle dopiero zobaczyłem. Uciekajmy gdzieś Julieto, bądźmy razem!..

— Poco? — Poto, by znowu się rozwieść, panie Constant, jeśli się nie mylę, po raz drugi?

Drwiące chochliki usiadły w kątach ust pięknej Juliety.

— Czy to zemsta za panią de Staël?

— Proszę pohamować swą nienawiść! Gdyby nie pani de Staël, Francja niewiele wiedziałaby o Benjaminie Constant.

— Och! tego już za wiele!... — dusił się niemal sło-

wami. — Wiem, co zawdzięczam pani de Staël, a co... sobie. Zbyt wierna przyjaźń zaślepia panią i oto ona odbiera mi dziś twoje serce.

— Odbiera? — Dziwne określenie, skoro go nigdy nie miałeś.

— Wiem, co mówię. Mnie jednak trudno oszukać.

Julieta patrzyła na szczyt jarzących się świec. Drgnęła, słysząc słowa Benjamina.

— Nikt się o to nie stara — odparła chłodno i zwróciła się do wchodzącego w tej chwili ks. Augusta, który odwiedzał ukochaną zawsze jednakowo Julietę, ilekroć bywał w Paryżu.

Nie widziała, lecz czuła spojrzenie, które poleciało za nią, cudem tylko nie przemienione w strzał.

— Kokietka bez serca! — zgrzytnął Constant.

— Benjamin prześladuje panią — usłyszała głos Ballanche'a.

Odetchnęła, czując go przy sobie.

— Kiedyż będziemy mogli spokojnie porozmawiać?

— Może jutro — odparła.

— Czuję, jak piękną jest twoja dusza, piękniejsza, niż ciało, Julieto — mówił Ballanche, nie wiedząc, jak dziwnie wygląda jego mała, brzydka postać obok pani Récamier. — Chciałbym ją wchłonąć w siebie, Julieto.

Słyszała prawie bicie jego serca.

— Przyjdź jutro, przyjacielu — dotknęła go ramieniem.

Korzystając z ogólnej rozmowy, która w tej chwili powstała w salonie wraz z nadejściem księcia, zbliżyła się szybkim krokiem ku pani de Staël.

— Boję się — wymówiły usta, uśmiechnięte dla zmylenia oczu patrzących.

— Co się stało? — zwróciły się pałające oczy Corinny ku przyjaciółce.

— Boję się Constanta. Pewna jestem, że on skłonił

Talmę, by deklamował ów wiersz. On coś knuje przeciwko nam.

— Chérie, przecież ja jestem przy tobie!

Objęły się spojrzeniem, jak ramionami. Utonęły w sobie na moment, jak w głębinie.

— A może ty go kochasz i tylko ukrywasz to przede mną?

— Wiesz dobrze, że szczerze i wiernie kocham tylko ciebie.

Opadający szal skrył przeciągły, gwałtowny uścisk dłoni, które się znalazły i objęły. Powieki opadły, jakby rozkosznie zmęczone i podniosły powolnym ruchem. by na drodze spojrzeń zapalić się mogły ogniki, jak w tajemniczym lesie i... zgasnąć.

— A oni? Oni wszyscy? — wyrwało się pytanie z ust Corinny.

— Ty wiesz, jaka jestem — szepnęły, szare nagle jak mgła, wargi.

Pani de Staël spojrzała na przyjaciółkę. Jaka cudna była z tą bladością, która ją nagle powlekła! Za rzęsami, jak za barykadą, stała tajemnica jej życia, dziwna, okrutna tajemnica. I czem były wobec niej wszystkie powodzenia, zaszczyty, hołdy? Dziś już znała ją, dziś wiedziała już, że przez próg szczęścia nigdy nie przejdzie.

— Ta jedna chwila rozkoszy tylko, ta... nasza... — szepnęła, kurczowo ściskając rękę pani de Staël.

Wtem:

— Benjamin nas śledzi!

Szybko rozplotły się dłonie.

Włócząc się po salonie, Constant zbliżył się istotnie do przyjaciółek i patrząc na obie kobiety, które kształtowały jego życie silniej, niż jego obie żony, rzekł zjadliwie:

— Od czternastu blisko lat widzę was razem i o dziwo! — rozmowa zawsze was jeszcze nęci!

— Przyjaźń nasza jest widocznie coraz silniejsza.

— Przyjaźń? — rzucił szyderczo, wybuchając śmiechem, który nie licował z jego wyglądem. Zapomniał o swych latach, o swej powadze. Czuł tylko, że miłość go rozpala, a chłód upragnionej kobiety odbiera przytomność. Lecz po kilku sekundach otrzeźwiał. Siadł obok i podniósł głos, by zwrócić uwagę towarzystwa.

— Jakże pragnąłbym was obie, mes dames, uwiecznić. Poemat, w którym opisałbym przyjaźń żeńskiego Kastora i Polluksa, miałby niesłychane powodzenie. Chciałem już nieraz bodaj szkic rzucić tu przed wami, moi mili i gdyby nie gwałtowny sukces Chateaubrianda wśród dam, zrobiłbym to już wcześniej — zapewniał Constant, niewinnie, jak dziecię.

— Nie wiedziałam, że jesteś zazdrosny — odrzuciła pani de Staël, mając przytem prawie widoczny wyraz politowania dla dawnego kochanka.

— Nie! Nie lubię tylko być na drugim planie. Wedle moich studjów, takim przykładem byłaby Safo i Kallirhoe.

— Kallirhoe? Nie słyszałem o takiej przyjaciółce Safo — sadowiąc się obok pani Récamier, rzekł Ballanche.

Obecni otoczyli rozmawiających szerokiem kołem.

— Tak, nikt o niej dotąd nie słyszał. To jest owoc mej pracy. Historja życia greckiej poetki zmienia się wskutek tego zupełnie. Okazuje się, że Safo nie zginęła wcale samobójczą śmiercią, lecz dzięki Kallirhoe, żyła szczęśliwie do późnej starości. Była to niewątpliwie zasługa tej... przyjaciółki. Losy ich są tak silnie splątane, iż nie można mówić o jednej, nie wspominając o drugiej.

— Zatem odkrycie literackie? — pytano z różnych stron salonu.

— Coś w tym rodzaju — mogę wam je powierzyć!

— Drżę cała — szepnęła pani Récamier, lecz Constant już mówił dalej, a w głosie jego był syk.

— — — — — — — — — — — — —

— Dzień był pogodny, gdy Safo zjechała na igrzyska. Sławna poetka przybyła, by zadziwić i porwać swych ziomków po raz ostatni.

— Po raz ostatni? — pytali Grecy struchleni. Nikt nie wiedział, co poetka zamierza. Mimo owe groźne słowa, łaknąc wrażeń i wzruszeń, spadała Safo oczyma na mężczyzn i kobiety, jak Zeus na Ganimeda. Któż bowiem, jak Safo, umiał kochać, cierpieć, pożądać, zdobywać? Jej zdolności poetyckie nie ukazywały się tylko w sprawach miłości, których początek był jak bukolika, zaś rozstanie przypominało Sofoklesa tragedję.

W tem właśnie była natura i słabość kobieca, bo jak wiadomo, od Anakreonta począwszy, a na nas tu wszystkich skończywszy, pragniemy, by raczej odwrotnie było.

Spojrzenie pani de Staël oparzyło opowiadającego, jak pokrzywa. Poprawiła turban żywym, jak zwykle, gestem. Palce jej puściły się potem w jakąś sarabandę.

— Miłość bowiem, co poczyna się dopiero i niewiadomo, jaki obrót weźmie, zawsze jest tragedją. Gdy jednak się kończy, zanim przejdzie w nienawiść lub nudę, czyż to nie zjawisko pogodne i dobre?

Safo była oczywiście innego zdania.

— Zostaniesz przy mnie, Megisteusie — wołała w uniesieniu, całując kochanka — bo taka moja wola!

I chciała, by noc miłości była trzy razy tak długa, wskutek czego Megisteus nieszczęsny bywał często i senny. Zgubiła się w pamięci Safo owa opowieść o Zeusie, który przedłużył wprawdzie noc, gdy pragnął być z Alkmeną, lecz stało się to z jego woli. Niedobrze zaś się dzieje, gdy bywa odwrotnie.

Eros umykał, a Safo nie mogła zrozumieć, że go już niema między nimi. O bogowie! Megisteus przestał ją ko-

chać! Ośmielił się przestać kochać ją, Safo! Chociaż była Safo! Nic to, że zabrała całą młodość kochanka dla siebie, że nie wolno mu było westchnąć bez jej zezwolenia. Wszak ona była Safo, chluba Grecji!

To też poetka była pewna, że w owym dniu Grecja przestanie istnieć, jak Iljon. Zaś Megisteus pójdzie na męki, podobnie, jak Ixion. Gdy jednak nic podobnego nie następowało, Safo poczęła ciskać groźby, lepiej, niż Apollo swe strzały.

— Zginę i przez wszystkie wieki przeklęte będzie imię Megisteusa, który powodem był śmierci Safo.

Kochanek zadrżał i by groźby nie spełniła, poszedł znów dźwigać swe jarzmo, niepewny, o której godzinie wolno mu będzie oddychać, o której iść spać, o której myśli zebrać. Miast Erosa siedziała między nimi... Eris.

— Więc chcesz mojej śmierci? — wołała bezustannie Safo!

— Nie chcę! Niech zginę, jak Akteon, jak Hyleas, jeśli nie pragnę, byś żyła — beze mnie! — zapewniał Megisteus.

Nie pomogły jego przysięgi. Ponowna burza gróźb wybuchła i poetka wzięła Olimp za świadka, iż rzuci się z Leukadyjskiego głazu w morze, skoro w sercu kochanka z miłości zostały jedynie popioły. Tylko raz jeszcze przed śmiercią chciała zajaśnieć przed całą Grecją na igrzyskach, a potem...

Potem postanowiła odejść tam, gdzie rosną asfodele, których woń chciała wdychiwać razem z Persefoną. Achillem i innemi znakomitościami.

Zaczem udali się razem na igrzyska.

Właśnie Safo mówiła:

— O niewierny! Ostatni raz patrzę na wóz Heljosa!

Megisteus słuchał struchlały, gdy wtem ukazał się ich oczom orszak dziewic, dążący do świątyni. Wśród nich zaś kroczył po ziemi cud — Kallirhoe.

Kallirhoe była tak piękna, że w Grecji zastanawiano się, czyby też nie postawić jej posągu w świątyni. Gdy zjawiała się na uroczystościach panatenejskich, niosąc wśród dziewic wybranych kosz pełen czar i dzbanów ofiarnych, nie było wśród tłumu jednego Ateńczyka, któryby, patrząc z zachwytem na tę postać, nie myślał: O Kallirhoe, ty sama jesteś najcudniejsze naczynie ofiarne, do którego oby mi bogowie raz chociaż pozwolili przyłożyć usta.

Zbiegali zewsząd młodzieńcy, by ją ujrzeć. Tworzyły się wówczas na skrajach Agory zebrania, kędy mówiono z takim zapałem o każdym szczególe piękności Kallirhoe, iż starsi obywatele, dążąc do Prytanjonu, byli pewni, iż młodzież rozprawia o wiedzy platońskiej.

— Na doświadczenie Zeusa klnę się przyjaciele, niemasz piękniejszej nad Kallirhoe! Umieram, gdy widzę nogę jej, wychylającą się z pod peplum.

— A nad lewą brwią ma śliczny mały znak.

— Nie, nad prawą!

— Mylicie się, nad lewą, nad lewą!

— Boska Kallirhoe powinna być kapłanką!

— O nie, bosko-ciała Kallirhoe powinna być Fryne!

Tak rosła jej sława. Kallirhoe w obłoku tych wielbień stawała się coraz piękniejsza. Lecz żaden z młodzieńców nie zdołał rozwiązać jej przepaski, gdyż...

Pani Récamier uczuła nagle, że blednieje. Jej przyjaciółka widząc to, wrzuciła w tę pauzę, którą doświadczony mowca uczynił:

— O! znamy twą zdolność wyjaśniania spraw wszelakich. Jaka szkoda, że Bonapartyści nie mogą cię pozyskać! Ty jeden zapewne potrafiłbyś im wytłumaczyć, że słuszność jest po ich stronie.

— Zbyt wielkie zaufanie, Corinno, zbyt wielkie! Lecz Kallirhoe rzeczywiście nikt tej przepaski nie zdołał, nie umiał rozwiązać, ponieważ... rodzice chowali ją w zbyt wielkiej pobożności, twierdząc, iż jedynym młodzieńcem,

w którego objęciu ledz może bezpiecznie każda dziewica, to — Morfeusz. I Kallirhoe im wierzyła.

To tylko chciałem powiedzieć.

Spodziewali się, że pewnego dnia zjedzie jakiś eupatryda lub może słynny Polemarchos i uczyni ich córę dostojną w całej Grecji. Lecz, jak to już bywa, Zeus błyskawicą ciska, a Satyr piorun nosi. Wystarczyło, by Safo i Megisteus ujrzeli Kallirhoe, a już nie strzała, ale cały kołczan Erosa utkwił w ich sercach. Zapomnieli o sobie zupełnie.

— Zdobędę ją! — wołał Megisteus.

— Będzie moją! — zaśmiała się po raz pierwszy od wielu dni Safo.

Nie było nigdy jeszcze podobnej nagrody na igrzyskach w Grecji, o jaką walczyli niedawni kochankowie.

Daremnie jednak wysilał się Megisteus.

Duch poetki, głębia jej doświadczenia, żar jej oczu, zapanowały nad Kallirhoe i stała się bezwolną istotą w ręku Safo, ku wielkiemu zmartwieniu wszystkich młodzieńców. Myśl o śmierci zniknęła zupełnie z serca Safo. Odtrącony został Megisteus. Safo wiedziała, jak wielkiem uczuciem zapłonął Megisteus dla boskiej Kallirhoe. Z drwiącym jednak uśmiechem zabrała ją z przed jego oczu i wywiozła na Lesbos.

Tam żyły obie w najczulszej serdeczności. Tam powstały dla Kallirhoe najcudniejsze pieśni Safo, o których mówiono, że rozpalały powietrze wokoło. Nigdy nie widziano Safo bez Kallirhoe, nigdy Kallirhoe bez Safo. Safo znalazła w niej tę uległość, tę słodycz, której sama nie miała, a której wymagała od kochanków.

Tak żyły razem, a gdy wreszcie Thanatos przyszedł po Safo, ubłagała go Kallirhoe, by zabrał je obie w krainę cieniów.

I tak stały się symbolem najwierniejszej przyjaźni.

— — — — — — — — — — — — —

Pani de Staël czyhała na zakończenie. Patrzący na nią wiedzieli, że w mózgu jej wzbudziła się odpowiedź, która zaraz pojawi się w słowach.

Pani Récamier zręcznie pokryła wzburzenie. Wstrząsnęła się jednak boleśnie. Zemsta Constanta, którą przeczuła, była jak niemiłosierny nóż zbójecki. Czyżby znał jej tajemnicę? Jeśli jednak znał, czegoż chciał od niej?

— Co za żywa imaginacja! — odezwała się, panując nad swym głosem, a Constant usta zacisnął, widząc, iż zwróciła się natychmiast do Ballanche'a.

— Bardzo piękna opowieść — potakiwała pani de Staël.

— Słyszę w powietrzu krzyżowanie szpad — szepnął Boufflers złośliwie do Wellingtona.

— Więc Kallirhoe uratowała Safo! Tej dziewicy postawiłbym pomnik — rzekł Ballanche — jeśli to prawda!

— Sądzę, że moje studja nie pójdą na marne!

— Jaka szkoda, że nie znałam tej historji przedtem! Gdybym ją znała, zanim pisałam Corinnę, kto wie. może ostatni rozdział tej mojej książki byłby inny.

— Inny? — odniechcenia spytał Constant.

— Odrzuciłabym ten smutny rozdział, który znacie i na jego miejsce dałabym obraz zmienionej Corinny.

— Opowiedz nam, jakbyś go napisała — poprosiła Julieta, przenikając zamiar przyjaciółki.

— Pani de Staël chce mówić — przebiegło salon.

— A więc dobrze, Julieto, opowiem wam, jakbym go napisała.

— — — — — — — — — — — — —

Corinna wróciła ze Szkocji do Włoch i osiadła w okolicy Florencji, gdyż miasto owo ukochała całą siłą swego biednego, zbolałego serca, które po tylu przejściach, po tylu torturach łaknęło wypoczynku.

Jakże inną była teraz!

Kędyż znikła promienność jej lic? Kędyż duma niebosiężna i siła jej ducha? Kędyż entuzjazm czarowny, wiecznie płonący w jej duszy na widok cudów dookolnych tej boskiej ziemi, którą kochał Dante i Petrarka?

Nie widziała tych cudów.

Jej oczy, w których zastygły łzy, widziały jedynie postać lorda Nelvila. Zdawało się jej chwilami, że z fal Arna, w które patrzyła szczęśliwa tak niedawno jeszcze, wypływa wnętrze kościoła w Szkocji, w którym modliła się owego dnia, gdy już wiedziała, że jej Oswald, jej ukochany, należeć będzie do innej. Powtarzała to sobie ustawicznie, a jednak jakże trudno było pojąć tę prostą prawdę! On, który tyle razy klęczał przed nią i ze łzami mówił o swej miłości, który przysięgał, że żyć nie będzie bez niej — stracony już był na zawsze!

Jakże to być mogło? Na mocy jakiego prawa to samo, co w nich tak silnie gorzało, w nim zgasło wcześniej?

Gdzie była prawda? Czy w tem, co mówił, czy w tem, co zrobił? Gdzie było uczucie? Kiedy kłamał? — czy wtedy, gdy ją chciał zdobyć?

Całymi dniami leżała bezczynnie. Nie tworzyła, nie improwizowała. Myślała nieraz o tych dniach przepięknych, gdy na Kapitolu wieńczono ją, poetkę uwielbianą, jak ongiś Tassa, a tłum korzył się przed nią, gdyby przed wyższą siłą.

A teraz zagasło wszystko pod dłonią jednego człowieka, zwiędło wszystko pod jego oddechem.

Książę Castel-Forte odwiedzał stale Corinnę. Przeniósł się nawet w te okolice, byle niedaleko być istoty, którą wiernie czcił. Z rozpaczą patrzył, jak marniała. Zjawił się również drugi przyjaciel, hrabia d'Erfeuil. I obaj przemyśliwali tylko nad tem, jak wyleczyć z tej choroby drogą przyjaciółkę.

— Widzisz hrabio — rzekł urywanym ze wzruszenia głosem Castel-Forte — ona gaśnie.

D'Erfeuil, który był energiczniejszy, odrzekł:

— Musimy ją ratować!

I odwiedzali codzień Corinnę, pogrążoną w głębokim smutku.

Pewnego dnia wpadł d'Erfeuil do księcia z rozradowaną twarzą.

— Co się stało? — spytał Castel-Forte, niemile zdziwiony, bowiem odkąd Corinna cierpiała, nie znosił wesołości.

— Zdaje mi się, że znalazłem lekarstwo dla Corinny!

Książę zaraz się ożywił:

— Mów, kochany hrabio, mów!

— Otóż spotkałem wczoraj Edgermonda, krewnego Nelvila. Znając historję miłosną Corinny i lorda i słysząc, iż poetka w ciągłej żyje rozpaczy, zmartwił się tem równie głęboko. Nagle Edgermond przypomniał sobie, iż we Florencji bawi odniedawna słynny Hindus M'Ohatma.

— M'Ohatma? Zdaje mi się, że słyszałem o nim wczoraj. Są tacy, którzy posądzają go o znajomość z piekłem.

— Tego nie wiem. Powiedziano nam natomiast, że przybył on z Indyj i podróżuje po Europie, a za nim wślad idzie zdumienie i błogosławieństwo. Zna przeszłość i przyszłość. Na nasze życzenie sprowadza kwiaty, kwitnące w jego ojczyźnie. Jeśli jego wola, ślepniemy nagle lub widzimy miasta dalekie. Zapominamy o wszystkiem, lub w jasnowidzeniu widzimy rzeczy, które się staną. Edgermond dowiedział się również, że jest to lekarz dusz.

— Lekarz dusz? Nie słyszałem dotąd o czemś podobnem!

— Posłuchaj, książę! Edgermond opowiadał mi, że

M'Ohatma uleczył już kilka osób, opętanych miłością. Duchessa Kamila — wszak znasz ją, książę? Chciała otruć się ubiegłego roku. Kochała hrabiego Henryka, który ją oszukiwał, wyśmiewał poza oczyma, a w jej obecności twierdził, że żyć bez niej nie może. Nęcił ją obietnicą małżeństwa, a jednocześnie wyłudzał pieniądze. Kamila była podwójnie nieszczęśliwa, gdyż zdawała już sobie sprawę, że padła ofiarą nikczemnika, lecz mimo to nie mogła przestać go kochać. Gdy dowiedziała się o pobycie M'Ohatmy, poszła do niego, opowiedziała mu wszystko, prosząc o radę i ratunek. I czy uwierzysz? Nie minął miesiąc, a Kamila nietylko zerwała wszelkie stosunki z hrabią, ale rozmawia z nim w salonie, na ulicy, tak wesoło i spokojnie, jakby zamierzała go dopiero pokochać, choć już nie pamiętała dobrze jego imienia.

— Niesłychane!

— Lord Bonghinham, który w pojedynku stracił syna i od owej pory od zmysłów odchodził, uspokoił się dzięki M'Ohatmie i zamyśla wyjechać do Indyj, on, który świata widzieć nie chciał.

— Hrabio, błagam cię, sprowadźmy tego człowieka!

— Dziwny on jednak być musi! Opowiadają również, że Łucja d'Orvieux, nasza aktoreczka kochana, była u niego i prosiła go: Spraw, bym zapomniała, że było dużo mężczyzn w życiu mojem i żem ich wszystkich kochała. A na to M'Ohatma: Nie leczę ludzi zdrowych! Idź i kochaj dalej.

— Wezwijmy M'Ohatmę natychmiast na naradę! — błagał książę.

Z niepokojem i niecierpliwością czekali przyjaciele przybycia Hindusa. Jedno pytanie drżało ustawicznie na ich ustach: Co powie? Czy zdoła uleczyć Corinnę?

Wprowadzony przez Edgermonda w kilka godzin po rozmowie, ukazał się Hindus na progu. Wysoki, chudy, bronzowy, skłonił głowę przed gospodarzem domu. Z ra-

mion spływał mu płaszcz brunatny, rozcięty na lewem ramieniu, na którem nosił znak Yogów, Lingam-yoni.

— Oby nad domem waszym czuwały zawsze Hevasy. Jakie żądanie jest wasze? — zapytał głosem, jakby z za ściany.

— Pozdrawiam cię w domu moim i oby ci danem było umrzeć, patrząc na wody Gangesu.

Milczano przez chwilę i trzy pary oczu męskich tkwiły w dziwnym gościu. Po chwili rzekł książę:

— Słyszeliśmy, o M'Ohatma, że umiesz dokonać rzeczy wielkich i niebywałych. Czy mógłbyś sprawić, by ktoś nieszczęśliwy zapomniał o swem nieszczęściu?

— A czy ten ktoś nie pozbawiony jest choć odrobiny rozumu?

— Co to znaczy? — oburzyli się przyjaciele.

— M'Ohatma nie zna zwyczajów europejskich — uspokajał ich Edgermond — i ma zapewne swą odrębną filozofję.

— Dobrze mówisz, saeb, mam moją odrębną filozofję, różną od indyjskiej i od waszej. Głosić ją — to cel mego życia.

— Osoba, o której mówimy, posiada wysokie zalety serca i umysłu. Jest to duch twórczy, przed którym ugina kolano Italja — objaśniał Edgermond

— I to dumie jej jeszcze nie wystarcza? — zapytał Hindus, podnosząc brwi tak wysoko, iż utworzyły trójkąt.

— Ależ nie! Kochanek, którego nad wszystko kochała, opuścił ją i ożenił się z inną.

Powieki Hindusa po raz pierwszy uniosły się w górę.

— U nas co drugi człowiek choruje z miłości — rzekł znudzony. — I poto wezwano mnie tutaj?

Trzej mężczyźni zerwali się z miejsc.

— Jakto, czy wy tam w Indjach nie wiecie, co to jest miłość?

— O, tak, ale nie czynimy z tego powodu tyle hałasu. My, Yogowie, wiemy poza tem, że miłość jest to po-

zbywanie się tchu drogą westchnień, wzdychań, szybkiego mówienia. Nic tak nie przyśpiesza gwałtownego oddechu, jak miłość. Ale powodu do smutku i rozpaczy w tem niema. Przeciwnie, o Europejczycy, objaw to zdrowia. Chyba, że Corinna za wiele wzdycha i za wiele z niej uchodzi tchu. To objaw szkodliwy.

— Nie wiesz zatem, co jest zdrada miłosna?

— Niema zdrady miłosnej, jest tylko plotkarstwo.

— A cierpienie, miłością spowodowane?

— Niema cierpień z powodu miłości, tak samo, jak słońce nie może być ciemnością. Jest tylko niedojrzałość ludzka, albo... urwał i zamyślił się.

— Skoro mówicie, że to duch wielki, przyczyna może być inna. Musiałbym ujrzeć poetkę. Wtedy wam to wyjaśnię.

Przyjaciele spojrzeli po sobie uradowani.

— Ten człowiek uratuje Corinnę! — wyrzekł książę Castel-Forte. Chodźmy do niej!

— Chodźmy natychmiast!

— Jej los jest w twoich rękach, M'Ohatma. To tylko powiedzieć ci mogę, że cień został z dawnej Corinny.

Poszli.

Poetka leżała na fotelu, patrząc obojętnym wzrokiem przed siebie. Jej piękna głowa, blada i pełna smutku, spuszczona była na ramię beznadziejnym ruchem. Gdy książę przedstawił Hindusa, spojrzała na niego przelotnie, ledwie uniósłszy głowę i rzekła zmęczonym głosem:

— Minął czas ów, gdy Corinna cieszyła się przybyciem obcych, którzy mówić z nią chcieli. Dziś nie mam nic do powiedzenia.

Hindus uczynił krok naprzód. Twarz miał skupioną, jakby zamarłą. I cofnął się. I znów po chwili uczynił krok naprzód i jeszcze silniej cofnął się wstecz, jak gdyby natrafił na zaporę. Przyjaciele milcząc patrzyli. Wtem Corinna zwróciła się do dziwnego gościa, jak gdyby dźwignięta jakąś obcą siłą. M'Ohatma pochylił się ku niej.

— Czy to ty jesteś Corinna, wielka poetka włoska?

Corinna poruszyła się i cień zdziwienia ukazał się na jej twarzy.

— Przyszedłeś tu i nie wiesz?

— Jakże mogę wiedzieć, skoro ty sama zapomniałas o tem.

— Bo jestem nieszczęśliwa.

— Pali cię ból twego brata czy siostry, co są na ostatnim krańcu świata?

— Boli mnie mój własny ból.

— I ty długo nad nim rozmyślasz?

— Kilka już minęło lat...

— I nie znudziło cię dotąd to ciągłe zajmowanie się własnym bólem?

Z niepokojem śledzili przyjaciele wrażenie rozmowy. Hindus stał nieruchomy nad Corinną, jak słup, a obecnym zdawało się, że z oczu jego wylatują skry i spadają na tę, która tak ciężko zaniemogła.

Corinna znów poruszyła się zdziwiona.

— Kto ośmielił cię mówić tak do mnie?

— Kto ośmielił cię zamieniać siebie samą w wiadro wody i gasić radość życia, które w darze ci dano?

— Ja sama!

— To kłamstwo! Pozwoliłaś rządzić sobą, więc dusza twa wejdzie w ciało psa, który staje się wierny i posłuszny wtedy, gdy go biją.

— Ja jednak nie chcę zapomnieć o moim ukochanym!

— Bywają różne obłąkane!

I wyszedł bez ukłonu.

Książę był pewny, że Corinna czynić im będzie wymówki, ale poetka, oparłszy się na łokciu, patrzyła za Hindusem. Potem po długiej chwili spytała:

— Czy tu ktoś był?

Książę z przestrachem spojrzał na swych towarzyszy. Objaśnił.

— Był przyjaciel nasz nowy, M'Ohatma. Rozmawiałaś z nim.

— Z nikim nie rozmawiałam. Słyszałam tylko głos, który drwił ze mnie. I widziałam, wyobraźcie sobie, jak powietrze dokoła mnie porusza się, gdyby kłęby chmur. Lżej mi oddychać. Która godzina?

— Wieczór się zbliża.

— To niemożliwe! Przecież tu tak jasno!

Głowa jej opadła na poduszki. Corinna usnęła. Wierna służąca Teresina została przy niej. Wyszli bez szmeru. Hindus czekał na nich.

— I cóż? I cóż? — drgającemi ustami spytali przyjaciele.

— Stan jest taki, jak przypuszczałem. Corinna otoczona jest atmosferą. Jest to sprawka owego człowieka, o którym mówicie. Atmosfera jest tak gęsta, że ledwo mogłem się do niej zbliżyć. Ona to sprawia, że Corinna poza nim nic odczuwać, ani widzieć nie może. Udało mi się ją przebić w kilku miejscach.

— Niech ci będą dzięki, o zacny M'Ohatma.

— Wtedy, gdy rozbiję, rozproszę ją zupełnie, będzie uzdrowiona. Czy ów człowiek, który umiał ją tą atmosferą otoczyć, jest we Włoszech?

— Nie! Lord Nelvil jest w Anglji.

— Dobrze byłoby, gdyby tu przybył.

— M'Ohatma! Co ty mówisz?! Toby ją dobiło!

— Nie! — Jeśli możecie, zróbcie tak, aby się zjawił.

Edgermond wmieszał się w rozmowę.

— Otrzymałem niedawno list od Nelvila. Wtedy byłem oburzony, bo wyobraźcie sobie, Nelvil pisze, że chce przyjechać z żoną i z dzieckiem. Skoro jednak M'Ohatma twierdzi, że dobrze byłoby...

— Więc napisz, że go czekamy!

Od owego dnia Hindus codzień bywał u Corinny z księciem Castel-Forte i z hr. D'Erfeuil. Przedziwne wprost

były sztuki leczenia. Po każdej bytności M'Ohatmy sen ogarniał Corinnę, z którego budziła się zdrowsza i rzeświejsza, nic nie wiedząc o dziwnym lekarzu.

— Tak być musi, dopóki nie rozprószę całej atmosfery. Pacjentka zaś będzie przeświadczona, iż dźwignęła się o własnych siłach.

Pewnego dnia oświadczył:

— Powietrze czyste wokoło niej. Teraz dam się jej poznać.

Corinna powitała Hindusa i swych przyjaciół z dawną swą żywą uprzejmością. Pytała, skąd przyjeżdża, czy długo zostaje we Florencji, gdyż radaby mu pokazać miasto.

— Nie wiem, jak długo zostanę, w każdym razie nie wyjadę przed przyjazdem lorda Nelvila, którego radbym poznać.

Corinna podniosła właśnie rękę, by odrzucić włosy z czoła i znieruchomiała w tym ruchu.

— Lord Nelvil? — Znałam go dobrze.

Widać było, że pamięć jej czyni szalone wysiłki.

— Ależ tak — znałam go! Zdaje mi się nawet, że go kochałam.

Książę i hrabia pochylili głowy. Hindus słuchał z założonemi na piersi rękami.

— To dziwne! Widzę go czasem przed sobą. Szybkim krokiem biegnie tu przede mną w tym pokoju, nakłada na twarz maskę, którą często zmienia. Czy to było jego zwyczajem, hr. d'Erfeuil?

— Dla mnie zwyczaj ten nie był tajemnicą.

— Nie zauważyłam tego dawniej. Widzę, jak również bardzo często nie może się zdecydować, którą maskę włożyć. Widzę go tak dokładnie, że aż mnie dziw zbiera. A potem słyszę go mówiącego. Czerpie z siebie słowa bez końca i rzuca je we mnie. Same kamyczki! Byłam pewna, że są ze złota. Jakże się stać mogło, że nie odróżniłam kamyka od złota?

— To się czasem zdarza.

— Czy ja byłam chora?

— Gorzej! Byłaś śmieszna!

Po kilku dniach cała Florencja mówiła o uroczystych przygotowaniach, które czyniono w domu ks. Castel-Forte. Miał to być wieczór pożegnalny na cześć M'Ohatmy, opuszczającego Włochy. Pałac księcia w dzień ów przystroił się kwiatami. Szmer radości powitał wchodzącą Corinnę.

— Jesteś znów między nami — witali ją ze łzami w oczach książę i jego goście.

Corinna miała na sobie strój, w którym wieńczono ją na Kapitolu. Szal, tkany w dalekich Indjach, okrążał kilkakrotnie głowę, łącząc się cudownie z jej czarnemi włosami. Biała suknia, spięta niebieską draperją pod piersiami, okrywała jej postać. Wzruszona powitaniem, poczęła zwolna, zwolna promienieć. Wtem wszedł lord Nelvil. Corinna ujrzała go natychmiast.

— Jakto? Nie drżę? — pytała siebie sama zdziwiona. — Serce moje nie przestaje uderzać?

Lord Nelvil zbliżał się powolnym krokiem. Był zmieszany. Nie spodziewał się spotkania. Przykre powstało w nim zdziwienie, gdy ujrzał strój i ożywienie poetki. Przecież mówiono, że kona już z miłości. Cóż się więc stało? Corinna była sławną i wieść o jej miłości dla lorda rozniosła się daleko. We Włoszech i Anglji mężczyźni zazdrościli mu, a kobiety widziały aureolę nad jego głową. I to wszystko miałoby minąć?

Tymczasem Corinna wyciągnęła ku niemu rękę.

— Jak to dobrze, że przybywasz znowu do Włoch!

— Przybyłem z żoną i z dzieckiem — odrzekł, myśląc równocześnie: „Jak świetnie gra komedję. Ale ta wiadomość ją ukłuje."

— Muszę poznać twą żonę i twe dziecko. Bardzo się cieszę, że jesteś szczęśliwy.

Lord niezadowolony, patrząc na jej twarz, która była

pogodna i spokojna, chciał coś odpowiedzieć, lecz w tym momencie nadbiegł d'Erfeuil z wieścią, iż M'Ohatma nadchodzi. Wszyscy zwrócili się ku drzwiom. Książę powitał Hindusa i uwiódł go między gości, którzy poczęli obsypywać go mnóstwem pytań i próśb. Służba roznosiła wina, owoce i ciasta. Po jakiejś chwili odezwał się książę:

— Ciebie witaliśmy dzisiaj, droga Corinno, zaś ciebie M'Ohatmo żegnamy. Prosimy cię, nie zapomnij o nas, którzy tyle dobrego ci zawdzięczamy i wróć jeszcze do Włoch, z tej samotności, do której tęsknisz.

— Nie zapomnę! — odpowiedział M'Ohatma, pochylając głowę w ukłonie.

— Przyrzekłeś w ten wieczór zadziwić nas zjawiskami, których tajemnicy ani siły nie znamy. Prosimy cię gorąco, spełń obietnicę!

Na znak Hindusa wszyscy usiedli. Postać M'Ohatmy poczęła schylać się ku ziemi nieznacznie, powoli, jak gdyby w nią wsiąkała. Aż usiadł na podgiętych nogach, nieruchomy, jak statua. Płomienie świec pogasły nagle do połowy, chwiały się w niewidzialnym podmuchu, wreszcie zgasły. Po upływie kilku sekund przed ciemność przeleciał sztylet światła, jeden, drugi i trzeci. Zrobiło się dziwnie jasno. Dźwięki muzyki cichej, anie zmiernie słodkiej, ozwały się z oddali, a z sufitu poczęły opadać na Corinnę kwiaty lotosu.

— Niech hrabia d'Erfeuil wzbudzi w sobie jakieś życzenie — wyszedł głos z postaci, siedzącej nieruchomo pod ścianą — a będzie spełnione.

Cisza zapadła jeszcze głębsza.

Przez wpół otwarte drzwi wszedł służący księcia. Szedł i zatrzymał się w pośrodku salonu. Oczy jego patrzyły gdzieś przed siebie. Po chwili służący począł mówić .. Iljadę, skandując bez zarzutu.

A potem zabrzmiała Dantego „Boska Komedja“.

Goście poruszyli się zdziwieni.

— Czy takie było życzenie? — spytał Hindus.

— Tak, o M'Ohatmo!

Służący jakby ocknął, spojrzał dokoła i dostrzegłszy gest księcia, zbliżył się doń, podając cygara.

Wyszedł — nie wiedząc o niczem.

Zaś przez pokój powiał wiew, przesycony oszałamiającą wonią. Białe, świetliste postacie wysypały się niewiadomo skąd i ponad głowami gości wykonały w powietrzu przedziwny taniec, który jakąś dziką rozkoszą napełniał patrzących. A potem wszystko znikło. Wtem rozległ się cichy okrzyk. Salon zalany był wodą, prześwietloną słońcem, pełną stworzeń morskich, migocących orgją barw. Damy przerażone skoczyły na fotele, mężczyźni mieli bezradne twarze. Woda z szumem wzbierała, już dochodziła do bioder, do piersi, już groziła zalaniem i nagle... opadła. Suknie były suche, tu i ówdzie tylko połyskiwało kilka kropel rosy.

— Cudowne! — szepnął jakiś głos kobiecy.

M'Ohatma znów wyrzekł:

— Książę Castel-Forte niech wzbudzi w sobie życzenie, a będzie spełnione!

Minęła krótka chwila.

W oczach patrzących zapadła jedna ściana salonu i poza nią ukazała się głąb czarna, jak przepaść. W tej głębi zabłysło światło, w którego blasku ukazał się dziwny obraz. Po leśnej polanie wolnym krokiem szła postać kobieca w stroju królewny Tytanji. Czekała z widoczną w rysach tęsknotą. Ale wnet już na polanę wbiegł osioł. Tytanja powitała go, tuląc jego głowę do łona, całując jego ośle oczy i czoło z prawdziwem przejęciem. A potem na tę ukochaną głowę włożyła wieniec z kwiatów. Lecz osioł był niezadowolony i kopnął królewnę. W powietrzu zabrzmiał śmiech.

— Tytanjo, przecież ten osioł cię kopnął! — śmiały się gdyby setki głosów.

— O nie! — usłyszeli goście dźwięczny, jasny głos.

idący z tej głębi, gdzie była polana. — To jest pieszczota mego najmilszego — mówiła z rozanieloną twarzą — to jest dowód miłości mego ukochanego!

Wstrzymano oddechy. Nikt nie śmiał się poruszyć.

— Czy takie było życzenie księcia?

— O tak, drogi M'Ohatmo, wzruszony rzekł Castel-Forte — i nie wiem teraz co czynić: podziwiać cię, czy dziękować.

Znów zapanowała cisza. Siła, idąca z oczu lekarza dusz, zmusiła głowy obecnych, by wszystkie zwróciły się ku niemu, mimo, że nie znikł jeszcze obraz Tytanji, pieszczącej osła.

M'Ohatma mówił:

— Ten osioł był zapewne przedtem człowiekiem, i kto wie czy nie zostanie nim powtórnie. Bywa tak często na świecie. W każdem zwierzęciu tkwi już coś z człowieka, w każdym człowieku jeszcze ciągle pokutuje coś ze zwierzęcia. — Czasami z ptaka, czasem z gada. Ukryte ono bywa zazwyczaj tak głęboko, że trudno je dostrzec nawet rodzonemu bratu. Ale spróbujmy je wywołać!

— Nie! Nie! — runął okrzyk, lecz, jak gdyby zawstydzony, zamilkł natychmiast. Tylko Corinna i książę siedzieli zadumani.

Jednakże wzrok M'Ohatmy odebrał już zebranym wolę.

Niespokojnie spozierał sąsiad na sąsiada. Nagle ukazała się na progu salonu głowa kreta, z drugiej zaś wychylił się łeb konia. Ktoś krzyknął, ujrzawszy niedaleko błyszczące oczy wilka, gdy w tym samym momencie ów wilk ujrzał w krzyczącym drugiego wilka — i też krzyknął.

Były głowy baranie i pawie, było kilka hien i tygrysów. Śliczna głowa jelenia ukazała się nad księciem, a nad Corinną unosiła się jaskółka.

Wtem — — — Corinna krzyknęła i chwytając księcia za ramię, zawołała: patrz!

Z poza szyi lorda Nelvila wychylił się łeb lisa i pa-

trzył na nią gorejącemi ze złości oczyma. Za chwilę jednak zmienił się w pudla, a potem w koguta, który uleciał na poręcz fotelu i zapiał.

Była taka cisza, że słyszano łoskot serc swoich bliźnich.

Jeden widział wszystkich, nikt nie widział siebie.

Salon zaś pełen był zwierząt...

Wówczas niespodziewanie zapadła ciemność. Zwolna — zwolna — poczęły z powrotem same rozjarzać się świece. Czerwień ich stawała się coraz jaśniejsza, aż przeszła w biały płomień. M'Ohatma wstał wówczas, a twarz jego była jak zwykle kamienna, spokojna i nieprzenikniona.

Goście powstali i patrząc wszędzie i nigdzie, rozpoczęli gwarną i żywą rozmowę, dając przedewszystkiem wyraz swemu zachwytowi.

Raz tylko przerwano ją, gdy na prośbę księcia Castel-Forte, Corinna poczęła improwizować.

Przejęta nieznanem oddawna uczuciem swobody, czując powracającą siłę, przemówiła:

— O duchy wielkiej, drogiej mojej Italji! Wejrzyjcie na mnie, która znów przychodzę do was i korzę się. Przebaczcie, żem ośmieliła się zapomnieć o was! Oto wołam dziś: o życie! o radości! — o radości! o życie! — bądź pozdrowione!

A podczas gdy słowa jej płynęły, gorące, jak lawa, szybkim i cichym krokiem wymknął się lord Nelvil z pałacu.

Lecz odejścia jego nikt nie zauważył, prócz służby.

— — — — — — — — — — — — —

Zaledwie Constant mógł zgrzytnąć zębami, a Boufflers złośliwą uwagę szepnąć Wellingtonowi, gdy u drzwi uczynił się ruch i do salonu wszedł zdyszany Chateaubriand, wołając już u progu:

— Czy wiecie, co się stało?

Pani Récamier wstała szybko na jego widok i oczy jej, nie umiejąc, czy nie chcąc panować nad swym wyra-

zem, powiedziały mu natychmiast, z jakiem utęsknieniem go czekała.

Goście tymczasem, śmiejąc się, zwrócili również ku poecie.

— Nic dziwniejszego, chyba nad to, cośmy tu właśnie słyszeli — zaopinjował Wellington, całując rękę pani de Staël.

— Napoleon uciekł z Elby, lada dzień przybędzie do Paryża!

— Napoleon? — krzyknęła pani de Staël, zrywając się z miejsca i przerażonym wzrokiem oblatując salon.

— Kiedy uciekł? W jaki sposób? Czy to tylko prawda?

— Mówże — Réné! Co z nami będzie, jeśli to prawda? — rzucili się wszyscy do Chateaubrianda, który dotarł właśnie do Juliety, łącząc rozkochane spojrzenie z jej tęsknym wzrokiem.

— Nadchodzi znowu czas wygnania — syknął Constant. — Tylko ja już rzeczy pakować nie będę. Własnych, ani niczyich.

I wybiegł.

Metternich i Wellington zniknęli wkrótce, a po ich odejściu pole pytań, domysłów, niepokoju wzrosło jeszcze bardziej.

Otoczono Chateaubrianda, domagając się po raz wtóry, trzeci, tej samej wiadomości.

Piękny Réné, piękny tą drugą młodością którą bogowie czasem, gdy pierwsza już minie, obdarzają swych ulubieńców, stał w tem kole zadowolony i dumny.

Był w swym żywiole, widząc, iż wszyscy w niego tylko patrzą.

Julieta nie mogła również oderwać spojrzenia od poety, którego słowa ją upajały.

I nagle uczuła, że to jest ten człowiek, na którego tyle lat czekała, którego przyzywała bezustannie, który niepodzielnie zapanuje nad nią, nad jej życiem.

Serce pięknej Juliety po raz pierwszy znalazło swego zwycięzcę.

I po raz ostatni...